

Barbara Kosacka

POSZUKIWANIE WŁASNEJ DUSZY

Los kobiety współuzależnionej



Warszawa 2002

Barbara Kosacka

POSZUKIWANIE WŁASNEJ DUSZY

- Los kobiety współzależnionej -

Warszawa 2002

Wydanie II, uzupełnione

Skład, druk i oprawa:
Mała Poligrafia Redemptorystów w Tuchowie

ISBN 83-86744-73-1

*Książkę tę poświęcam kobietom, które w niszczącym związku z
alkoholikiem tracą nadzieję -
raz wszystkim tym, którzy w mroku zwątpienia tracą wiarę w Miłość,
Dobroć i Piękno na tym świecie...*

Autorka

Wstęp

W czasie terapii grupowej, na którą uczęszczałam w związku ze współuzależnieniem¹ poznałam wiele kobiet, które bardzo cierpiały. Cierpiały podobnie jak ja, co jeszcze bardziej uwrażliwiało mnie na ich ból. Pragnęłam im pomóc, dać nadzieję, wzbudzić w nich wiarę, pomimo, że sama jeszcze bardzo cierpiałam. Potem, gdy stawałam się coraz silniejsza i pewniejsza siebie zaczęłam zastanawiać się jak mogłabym im pomóc? Czy mogę coś dla nich zrobić, aby ulżyć ich cierpieniu? W jaki sposób choć trochę mogę złagodzić tę trudną drogę stawania się samodzielnym człowiekiem, aby potem stać się w pełni człowiekiem? Kiedy udało mi się jakoś pomóc swoją wypowiedzią, czy przykładem własnej drogi ku samodzielności, odczuwałam błogie szczęście, którego dotąd nie znałam. Szczęście, które miało głębię, sens, a co najdziwniejsze, ono mnie bogaciło i rodziło jeszcze większe pragnienie dawania niż przed tym przeżyciem. To było jak nagłe porażenie światłem, od którego oczy bolały a dusza jakby przeczuwała wieczność.

W czasie terapii musiałam pisać wiele prac na określone tematy. Z początku pisałam z wielkimi oporami. Właściwie przez cały okres terapii pisanie sprawiało mi wiele trudu. Również mój Mistrz Duchowy, przy którym dane było mi narodzić się duchowo, a który jest profesorem medycyny i obecnie moim szefem, zadawał mi wiele prac pisemnych twierdząc, że mam nierozbudzone zdolności pisarskie. Niektóre prace pisałam zgrzytając zębami, ale pisałam. Zresztą tak bardzo chciałam się zmienić, że gotowa byłam na największy trud. Potem coraz łatwiej i chętniej pisałam. Nawet czasami zaczynałam czuć przymus spisania swoich myśli lub refleksji.

To właśnie mój Przewodnik Duchowy zagadnął mnie pewnego dnia na temat książki o sobie. Ja nie mogłam uwierzyć w to, że to co napiszę będzie nadawać się do czytania. Lecz On ciągle mnie o tym przekonywał z cierpliwością mędrca. W końcu zaczęłam zastanawiać się na tym - może by chociaż spróbować? Pragnęłam również nie zawieść mojego Mistrza, jakoś spłacić wobec Niego, choć częściowo, duchowy dług ogromnego wysiłku, jaki włożył w moje dojrzwanie. On z taką cierpliwością ukazywał mi to, co posiadałam w sobie, a zupełnie nie byłam tego świadoma. Zresztą Jemu zawsze bezgranicznie wierzyłam, więc jeśli on twierdził, że posiadam zdolności pisarskie, to musi coś w tym być. Również spełniłoby się to, czego tak bardzo

¹ Współuzależnienie - emocjonalne uzależnienie od osoby uzależnionej od alkoholu lub innego środka chemicznego.

od dawna pragnęłam - móc jakoś pomóc podobnie do mnie cierpiącym kobietom.

Choć myślałam, że to jeszcze długo nie nastąpi, to jednak pewnego dnia u schyłku lata poczułam gotowość do pisania o sobie. Wystarczyło tylko zacząć jedną stronę, aby nabrać pragnienia pisania dalej. Im więcej pisałam, tym większy rodził się we mnie zapał. Każdy wolny dzień pragnęłam wykorzystać na pisanie. Rozpierała mnie radość i niecierpliwość, aby jak najszybciej swoją pracę ukończyć. Tak bardzo chciałam, opisując własne cierpienia, ulżyć innym w ich cierpieniach. Jak również poprzez własne życie ukazać innym nadzieję i wzbudzić wiarę.

Myślę, że właśnie dzięki cierpieniu miałam szansę odnaleźć samą siebie. Tę siebie najbardziej ludzką i głęboką, której nigdy pewnie bym nie odkryła, gdyby moje życie nie było pełne udręk duchowych. Właśnie takich udręk jak: poczucie głębokiego osamotnienia, niezrozumienia, inności i gorszości. Poczuciu osamotnienia towarzyszyło zwątpienie w miłość, najbardziej dotkliwe z ludzkich zwątpień. To właśnie miłość budzi w nas życie i nadaje wszystkiemu sens. Dlatego ja żyłam jakby na poły umarła w świecie cieni, które pozostały po żywych istotach z mojego dziecięcego świata. Opisując swoje życie pełne cierpienia i duchowego wzrostu poprzez cierpienie mam nadzieję, że ukazę innym głęboki sens ludzkiego bólu. Chociaż sama nadal czuję się nieodporna na cierpienie, ale już teraz pojmuję jego sens i wartość w swoim życiu. Chciałabym wszystkim tym, którym los zesłał cierpienie dopomóc w zrozumieniu jego wartości i konieczności w naszym życiu.

Wolność, szczęście i świadomość rodzą się w bólu. Ale są konieczne, aby człowiek nauczył się kochać. Kochać samego siebie i innych. Nie ma większego szczęścia dla nas tu na ziemi jak móc kochać prawdziwie i budzić tym miłość bliźnich. Kochając spełniamy się jako istoty ludzkie, jednocześnie przekraczając własne jestestwo.

Przepraszam wszystkich czytelników za błędy w zakresie stylu pisania, lecz książka ta celowo nie została opracowana redakcyjnie przez polonistę. Zapewne redakcyjnie opracowana byłaby gładsza w czytaniu i poprawna w stylu, ale obawiam się, że straciłaby ducha i nie odtworzyłaby wiernie toku moich myśli i przeżyć, którymi chciałam podzielić się z czytelnikami - zwłaszcza zaś z tymi, którzy, podobnie jak ja, ugrzęźli w bagnie beznadziejności życia z alkoholikiem. Uważam, że to przesłanie jest ważniejsze niż wszystko inne.

Swoją książką chciałabym, dodać innym otuchy w cierpieniu, wiary w jego sens i wiary, że zwyciężając cierpienie rodzimy się duchowo jako wolne

istoty. Jeśli choć jednemu człowiekowi dopomogę w zrozumieniu jego bolesnego losu, to moje cierpienie zyska wieczny sens.

Wszystko, co napisałam w tej książce jest prawdą i oparte jest na faktach. Tylko imię byłego męża zostało zmienione, aby trudniej było go zidentyfikować. Obecnie powróciłam także do panieńskiego nazwiska. Prawda o moim byłym mężu ukazuje go w złym świetle. Bardzo mnie skrzywdził, lecz nie chcę odpłacać mu się w ten sam sposób – już mu wybaczyłam.

Świat dzieciństwa

Jest wczesna jesień. Zapadł wieczór i ciemność spowiła ogród. Drzewa są jeszcze gęste od liści, w powietrzu unosi się zapach owoców. Z okien mojego domu promieniuje złote światło i oświetla mrok. To ciepłe światło oświetla cały ogród i nadaje mu tajemniczy mrok. Właśnie zastanawiałam się nad tym, jak każda pora roku i każda pora dnia zmienia obraz świata. Przypomniałam sobie rysunek z bajki, który przedstawiał śpiącego misia w przytulnym pokoju, też oświetlonym takim ciepłym światłem, a za oknem widać było gwiaździste niebo i piękny srebrny księżyc. Bardzo podobał mi się świat, który przedstawiał ten rysunek. Był taki bezpieczny, przytulny i piękny. Myślałam nad tym dlaczego ten realny świat, nie jest tak piękny, jak ten z rysunku? Przecież świat jest jeden, czy każdy z nas widzi go inaczej? Pamiętam jak pytałam o to mamę, ale chyba nie potrafiłam wytłumaczyć o co mi chodzi. Jeszcze wiele razy zastanawiałam się nad tym, dlaczego tak różnorodnie widzę świat. Lecz w tamten wieczór najważniejsze było, że mam dom ze świecącymi oknami i kochającą mamę. Od mojej mamy miłość wprost promieniowała, a ja kochałam ją całym swoim dziecięcym serduszkciem.

Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, to jeszcze długo czułam się tam obco i zimno. Pamiętam, jak siedząc na lekcji, marzyłam o ciepłym wieczorze w domu. Bardzo lubiłam te wieczory, gdy mama czytała nam, lub rozmawiała z nami, a my z siostrą wsłuchiwałyśmy się w jej słowa. Mama miała piękne, pełne mądrości, piwne oczy. Jak dobrze było przytulić się i patrzeć w te oczy. Szkoły nie znosiłam. Uczyla tam nauczycielka, która była całkowitym przeciwieństwem mojej mamy. Miała zawsze skwaszony wyraz twarzy, zaciśnięte usta i nigdy się nie uśmiechała. Wszystko w niej było zwiedłe, szare i zimne. Biła nas piórnikami po rękach, ciągnęła za włosy i uszy. Drwiła i szydziła z nas. Bałam się jej i nie chciałam chodzić do szkoły. Kiedy mama mi mówiła, że muszę się uczyć i chodzić do szkoły, płakałam i marzyłam o tym, kiedy wreszcie będę dorosła i nie będę musiała znosić takiego terroru. Od tamtej pory nigdy nie polubiłam szkoły. Największą zmorą mojego dzieciństwa był jednak dziadek, ojciec mamy, który mieszkał razem z nami. Wszędzie był jego złowrogi duch, nawet gdy go w domu nie było. Jako małe dziecko spostrzegałam go w dwóch osobach. Jako dziadka w miarę bezpiecznego i jako potwora, który zije nienawiścią – jak ogniem. Jego zmieniająca się postać prześladowała mnie na jawie i w snach. Często budziłam się z krzykiem. Dziadek nie akceptował mojego ojca i ciągle coś mu zarzu-

cał. Kiedy krzyczał, a potrafił krzyczeć bardzo głośno, ja umierałam ze strachu. Czułam, jak wszystko we mnie w środku zamiera. Im częściej krzyczał, tym bardziej ja drżałam, wystarczało już, że tylko unosił głos i był zły. W końcu robiłam się zielona na twarzy nawet na odgłos krzyków z sąsiednich domów lub z ulicy. Bałam się o ojca, że dziadek może zrobić mu krzywdę i żyłam w ciągłym napięciu. Ojca natomiast spostrzegałam jak „duże dziecko” wymagające opieki. Mama mówiła mu co ma robić, a jemu to odpowiadało. Kiedy go o coś pytałam zawsze odsyłał mnie do mamy. Czasem myślałam, że on udaje dziecko tak jak ja, czasem udaję kogoś kim nie jestem w dziecięcej zabawie. Nie rozumiałam dlaczego jest taki, jaki jest. Wydawało się jakby tylko jego ciało było wśród nas, a dusza przebywała gdzie indziej. Lecz dopóki żyła mama, zbytnio się nad tym nie zastanawiałam. Mama wystarczała mi za cały świat ludzi dorosłych.

W roku szkolnym tak szybko mijała jesień, dni stawały się coraz krótsze. Było coraz bardziej szaro, smutno i melancholijnie. Nie lubiłam późnej jesieni, wyczekiwałam z utęsknieniem zimy i świąt Bożego Narodzenia. Bowiem święta te nadawały urok całej zimie. Kiedy zaczynał padać pierwszy śnieg, moją duszę wypełniała taka dziwna, nastrojowa zaduma, charakterystyczna dla świąt Bożego Narodzenia. Okres przedświąteczny i wigilia wypełnione były niecierpliwym i radosnym wyczekiwaniem. Potem była kolacja i prezenty od Świętego Mikołaja, które sprawiały zawsze wielką radość. Późnym wieczorem siadałam przy choince i długo na nią patrzyłam. Czułam jakiś nieokreślony smutek, którego nie potrafiłam zrozumieć. Pytałam mamę dlaczego tak jest? Czy jeśli na coś długo czekam, a potem to się spełnia, czy musi być to uwieńczone smutkiem? Czy zawsze tak jest?

Ze względu na dziadka nikt do nas nie był zapraszany. Kiedyś była u nas kuzynka, która przyjechała z daleka. Miała pozostać u nas całe święta. Bardzo się cieszyłam z tego powodu. Ta kuzynka była rodziną ze strony ojca i dziadek oczywiście jej nie lubił. Po kolacji wigilijnej wyjechała. Nie wiem, co wówczas dziadek mówił. Jego głos wydawał się spokojny. Wszyscy rozmawiali spokojnie, ja zaś niezbyt rozumiałam treść tych rozmów. Wówczas jeszcze nie wiedziałam tego, że można ranić słowem tak, jak nożem. Nie rozumiałam całego zamieszania i tego, że ona musi wyjeżdżać w ciemną, zimową noc. Czułam się jakoś wobec niej nie w porządku. Byłam rozgoryczona, że wszyscy musimy znosić humory dziadka. Wiele razy czułam zbuntowanie i złość z powodu dziadka. Pytałam mamę, dlaczego my musimy razem z nim mieszkać? Dlaczego musimy znosić to wszystko? Przecież on nas krzywdzi, czemu pozwalamy mu na to? Mama mówiła: „Wiem i rozumiem, jak trudno jest z nim żyć, ale jest moim ojcem i powinnam się nim

opiekować”. Nie byłam w stanie tego wszystkiego zrozumieć, terroryzował nas wszystkich. Musieliśmy robić wszystko tak, jak on chciał. Lecz on i tak zawsze był niezadowolony. Babcia umarła gdy miałam cztery lata. Nie pamiętam jej dobrze. Potem, gdy byłam trochę starsza i patrzyłam np. na promień słońca odbijający się w kuchennym kredensie, to nagle odczuwałam jej obecność duchową. Przypominała mi się jej miłość i czułość. Wiele razy w podobny sposób odczuwałam jej obecność. To tak trudno wyrazić. Nigdy nie mogłam przypomnieć sobie babci fizycznie, natomiast pozostało wspomnienie jej miłości, innej miłości niż mojej mamy, charakterystycznej tylko dla niej.

Nie byłam w stanie również zrozumieć tego, dlaczego Bóg, który jest wszechmocny, zabiera od nas do innego świata babcię, która była dobra, a pozostawia złego dziadka, który nas krzywdzi. Skoro mama nie mogła nas od niego uwolnić, to już na pewno Bóg mógłby to uczynić, gdyby chciał. Mamie wierzyłam bezgranicznie. Jeśli twierdziła, że tak ma być, to trzeba było się z tym pogodzić. Powoli, z goryczą i smutkiem godziłam się z krzywdą, którą zadawał mi dziadek. Właśnie tak zaczęła się moja „niewola duchowa”. Przestałam się buntować i szukać rozwiązań. Postanowiłam jakoś się z tym godzić. Zakorzeniło się we mnie takie przekonanie, że inni mogą nas krzywdzić tylko dlatego, że są naszymi bliskimi.

Mama była bardzo mądra i zasługiwała na zaufanie. Zawsze odnosiła się do mnie i siostry z szacunkiem, tak jak do dorosłych. Wiedziałam, że o wszystko mogę ją zapytać. Gdy była zajęta, to mówiła, że porozmawiamy o tym wieczorem - i zawsze dotrzymywała słowa. Czasem całymi nocami pisała, ale dla nas zawsze miała czas. Również karciła nas w sposób pełen miłości i zrozumienia. Pamiętam, kiedyś latem bawiła się z nami na łące. Była tam również nasza szkolna koleżanka. Wszyscy byliśmy rozbawieni, w doskonałych nastrojach. Bawiliśmy się w ten sposób, że każda z nas biegła i wpadała w ramiona mojej mamy. Gdy zrobiła to moja koleżanka, ja ją odepchnęłam i powiedziałam do niej: „To nie jest twoja mama”! W moim głosie było oburzenie i zazdrość. Po chwili, gdy ona gdzieś się oddaliła, mama spojrzała na mnie i zapytała: „Czy wiesz, że jej zrobiło się przykro”? W głosie mamy nie było wyrzutu, ani oceny, tylko pytanie. Nagle oburzenie gdzieś uleciało i poczułam smutek. Odpowiedziałam, że nie pomyślałam o tym. Długo potem o tym myślałam. Zrozumiałam, że jej na pewno zrobiło się smutno. Przecież nie ma ona tak wspaniałej mamy, jak ja. Było mi źle z tym, że tak głupio i bezmyślnie postąpiłam. Zaczęłam również zastanawiać się nad tym, co mną kierowało dlaczego tak postąpiłam. Przecież to, że mama okazywała miłość innym, w niczym nie umniejszało jej miłości do mnie.

Dlaczego pragnę być kochana tylko ja najbardziej i wyłącznie? Co się za tym kryje?

Zawsze wieczorami odmawiałyśmy razem krótką modlitwę. Długo mama sama się modliła, z nami krócej. Nie chciała zniechęcać nas długimi modłami. Chciała nam pokazać Boga, za którym podążamy dlatego, że nas kocha, a nie po to, aby nas kochał. Wiara to nie handel. Prawdziwa modlitwa wynika z pragnienia duszy, a nie z przymusu lub powinności. Pewnego razu przed modlitwą mama poprosiła mnie o rozdanie jabłek dla nas wszystkich. Ja dokładnie przejrzałam je i wybrałam najładniejsze dla siebie. Mama spojrzała na mnie i powiedziała spokojnie: „Najładniejsze wybrałaś dla siebie”. W jej głosie było zdziwienie. Ja też spojrzałam na mamę zdziwiona i nagle poczułam palący wstyd. Odmawiałam modlitwę, ale czułam się wprost sparaliżowana wstydem. Potem szybko zamieniłam jabłka. Bałam się wymówek, myślałam, że mama jeszcze coś powie na ten temat. Lecz mama więcej o tym nie mówiła. Natomiast ja zapamiętałam to dobrze i wiedziałam, że nigdy tego nie zapomnę. Potem już zawsze dla siebie wybierałam rzeczy gorsze, niż dla innych. Wręcz wmuszałam siostrze wszystko lepsze. Ten palący wstyd pozostał na zawsze w mojej pamięci. Gdyby mama wówczas krzyczała, to znacznie mniej bym się wstydziła. Po prostu krzyk zagłuszyłby to, co najistotniejsze. Przysłoniłby całe zdarzenie, a tak pozostały obnażone moje motywy i nic w całej tej sytuacji nie było ważne, tylko ten mój czyn.

Bardzo lubiłam chodzić z mamą do kościoła i na cmentarz. Cmentarz najbardziej podobał mi się wczesną jesienią. Tak pięknie wyglądały stare drzewa, obsypane złotymi liśćmi, na tle błękitnego nieba. Nigdy latem, ani wiosną, lub zimą, niebo nie wydawało się tak intensywnie niebieskie, jak jesienią. Nigdy też nie było tak wyraźnie słychać szumiących połączonych liści.

Urzeczona wpatrywałam się w drzewa na tle nieba. Każde drzewo miało inną barwę złota, niektóre były prawie czerwone, inne brązowe, jeszcze inne zielono-cytrynowe. To piękno odurzało mnie, pragnęłam utrwalić je i próbowałam rysować, lecz gdy narysowałam, byłam rozczarowana. Zawsze było to nie to, co widziałam. Tego piękna i tej chwili zachwyty, nie dało się odtworzyć. Zaczęłam zastanawiać się, dlaczego wszystko co piękne, tak szybko mija, jest nietrwałe i takie ulotne. Również kwitnące drzewa wiosną próbowałam malować i płakałam, gdy to mi nie wychodziło. Dla mnie wszystkie te zjawiska były cudem, który zachwycał do braku tchu. Nie mogłam też się nadziwić, dlaczego inne dzieci tego nie widzą. Byłam bardzo zaskoczona, że inni nie widzą cudu zachodu słońca oraz pięknej różowej zorzy zimą. Nie raz mówiłam do koleżanki: „Spójrz jaki piękny zachód słońca”. Ona patrzy-

ła i mówiła o czymś innym. Zaczęłam zastanawiać się, czy ze mną jest wszystko w porządku. Dlaczego inni nie widzą tego co ja widzę, lub widzą to jakoś inaczej? Gdyby widzieli to co ja, musieliby się zachwycić. Co to może znaczyć? Niektóre dzieci nawet drwiły z moich zachwytów nad pięknem świata. Potem stopniowo coraz rzadziej okazywałam w obecności innych ludzi zachwyt spowodowany pięknymi widokami.

W kościele zawsze czułam się dobrze i bezpiecznie. To mama ukazywała mi Boga, który jest Miłością. Ja zadawałam wiele trudnych pytań, a mama w cudowny sposób przekazywała swoją mądrość w zrozumiałym dla dzieci języku. Pamiętam, jak bardzo trapiło mnie „pojęcie nieskończoności”, „wiecznego raju”. Nie mogłam wyobrazić sobie czegoś trwającego bez końca. Cokolwiek zaczęłam sobie wyobrażać, zawsze miało swój kres. W końcu byłam tak przygnębiona i bliska płaczu, że postanowiłam na razie przestać o tym myśleć. Wówczas mogłam mieć około dziewięciu lat.

Lubiłam podniosły nastrój mszy niedzielnej. Szczególnie latem, gdy słońce przeświecało przez witraże i nadawało piękny, uroczysty i tajemniczy blask kościołowi. Rozglądałam się po kościele, przyglądałam się twarzom ludzi, próbowałam wyobrazić sobie Boga i Maryję. Lubiłam przyglądać się obrazom powieszonym w kościele. Marzyłam o tym, że ja też będę kiedyś malować.

Postanowiłam, że zawsze będę malować ciekawe twarze ludzkie, ale w rzeczywistości tak mało spotykałam ciekawych twarzy. Przyglądałam się wszystkiemu, ale robiłam to dyskretnie, tak że mama prawie wcale nie zwracała mi uwagi. Zadumana i odświeżona wychodziłam z kościoła a na zewnątrz, jakoś wszystko nabierało innej barwy. Sprawy codzienne już nie były takie mdłe, tak jakby wszystkiemu dodawała blasku ta niedzielna, uroczysta msza.

Lubiłam również chodzić na lekcje religii. Religii uczył cudowny ksiądz Zygmunt, który był uosobieniem dobra, łagodności i miłości. Był przystojnym, wysokim brunetem o śniadej cerze i szerokich ustach. Przypominał Włocha lub południowca. Wiem, że był on kolegą mojej mamy. Mama tak wcześnie umarła, że o wiele rzeczy nie zdążyłam zapytać. Mogłam odpowiadać na jego pytanie, lub nic nie odpowiedzieć, zawsze był zadowolony i uśmiechał się do mnie. Ja byłam nieśmiałym dzieckiem, często chciałam coś powiedzieć, a gdy wstałam czerwieniałam się i gubiłam gdzieś słowa.

Pewnego razu właśnie przydarzyło mi się coś takiego, a on uśmiechnął się i powiedział: „Usiądź kochanie, może potem”. Późem powiedział jakby do siebie: „To taka delikatna i dobra dziewczynka”. Przy nim czułam się tak, jak przy mamie, czyli bezpiecznie i dobrze. On, podobnie jak mama, potrafił

przekazywać głęboką, mądrą treść w zrozumiały dla dzieci sposób. Krótco potem gdy mama umarła, on też gdzieś daleko wyjechał. Pamiętam, ile razy tęskniłam za nim i marzyłam o tym, aby móc go znów zobaczyć i trochę przy nim pobyc. Wiele razy z zapłakanymi oczami wspominałam jego twarz. On, podobnie jak mama, promieniował mądrą miłością i taki był ludzki, że prawie pozaziemski.

Przeważnie na religię przychodził z nami ojciec. Mama zawsze była bardzo zajęta, dużo pracowała i prowadziła cały dom. Pewnego razu, w czasie lekcji religii obchodziliśmy uroczystość wigilijną. Rodzice, jak zwykle, siedzieli na końcu sali. Pięknie ubrana choinka, jakiś film o Chrystusie. Było tak miło i uroczyście. Za oknem była gęsta ciemność, a wokół mnie ciepło, złote światło, choinka oświetlona różnokolorowymi lampkami. Ksiądz Zygmunt mówił coś, z jak zawsze, łagodnym i kochającym wyrazem twarzy. Czułam się cudownie, jakbym unosiła się do lepszego świata. Czułam ciepło, wzruszenie i miłość. Zapatrzona byłam w księdza i choinkę. Potem, stojąc śpiewaliśmy kolędy. Nagle z tyłu podszedł do mnie jakiś starszy ode mnie chłopak i uszczypnął mnie boleśnie w policzek. Powiedział przy tym z wyrazem nienawiści na twarzy: „Jaka lalunia”! – Bardzo mnie to zaskoczyło. Poczułam ucisk w gardle i napływające do oczu łzy. Lecz nie rozplakałam się, gdyż uważałam, że na to jestem już za dorosła. W końcu mama wychowywała mnie na damę i ja chciałam stać się damą. Dławiłam łzy, ból rozsadał gardło, czułam gorycz i cierń w sercu. Nie mogłam pojąć dlaczego? Dlaczego miał tyle nienawiści w twarzy? Co ja mu zrobiłam? Czułam się tak, jakbym była winna czegoś, czego nie mogę ani wiedzieć, ani rozumieć. Lecz intuicyjnie czułam, że on chyba musiał być jakoś skrzywdzony, tylko że nie przeze mnie, ale przez kogoś innego. Przecież gdyby nie był, to czułby się tak jak ja i byłby szczęśliwy tak jak ja, śpiewając kolędy i patrząc na choinkę. Coś musi się za tym kryć. Pragnęłam jak najszybciej znaleźć się w domu i opowiedzieć to mamie. Mama zrozumie, wysłucha i wytłumaczy. Ojcu nic nie mówiłam. Całą drogę powrotną walczyłam z płaczem i goryczą.

Płacząc opowiadałam mamie, co mnie spotkało. Mama powoli tłumaczyła, a jej głos był smutny. Powiedziała, że on to zrobił z zazdrości, że na pewno nie ma on takiego domu i miłości jak ja. Mówiła: „Jesteś bardzo ładną dziewczynką. Ładnie ubrana wyglądasz jak laleczka, ale to nie jest nic złego. Twoja delikatność i uroda poruszyła go i przypomniała mu o jego brakach” – Tak mówiła mama, pomimo wielu zajęć przedświątecznych; mówiła powoli i ze smutkiem. Ja w końcu przestałam płakać i łąpczywie z szeroko otwartymi oczami słuchałam. Już nie czułam goryczy, tylko smu-

tek. Pomyślałam, że byłam taka szczęśliwa, świat wydawał się taki jasny i czysty, a teraz jest zagmatwany i pełen cierpienia. Na pewno wiele dzieci cierpi niedostatek i cierpi z braku miłości. Pomyślałam o dzieciach z rodzin alkoholowych, które chodziły ze mną do jednej klasy. Tyle o tym słyszałam, ale to było jakieś niewyobrażalne i nierealne. Po prostu ja nie mogłam sobie tego wyobrazić! Teraz zrozumiałam, że oprócz mojego, szczęśliwego istnieje też inny, mroczny świat cierpienia, którego ja nie znam.

Pomyślałam, że chyba te dzieci, które cierpią, mają prawo do wyrażania zawiści. Przecież one tak samo jak ja potrzebują miłości. To bolesne wydarzenie zmieniło mój obraz świata. Zrozumiałam, że jest wiele rzeczy wokół mnie, których nie jestem w stanie zrozumieć. Zrozumiałam też, że tego chłopca mógł zirytować mój wygląd i wyraz twarzy. Moja twarz zawsze była czytelna. Wyraz jej świadczył o tym, że jestem dzieckiem kochanym. Pewnie tego wszystkiego jemu brakowało. Było mi bardzo smutno, ale zaczynałam go rozumieć.

Wielkim wydarzeniem mojego dzieciństwa był wspólny wyjazd z rodzicami nad Morze Czarne do Bułgarii. Długo wyczekiwałam tych wakacji i bardzo cieszyłam się. Tylko raz byłam nad morzem w Polsce mając 4 lata, ale nic nie pamiętałam z tego okresu. Pamiętałam tylko to, że nie chciałam wejść do morza oraz kłujące patyki na piasku, które raniły mi stopy. Marzyłam o ciepłym morzu i czystym, delikatnym piasku. Kiedy już nadszedł dzień podróży byłam niezwykle podekscytowana. Nie mogłam usiedzieć na miejscu, radość rozsądzała mnie. Wszystkie walizki były już zapakowane, my z mamą gotowe do podróży czekałyśmy na taksówkę i na ojca.

Taksówka przyjechała i czekała za bramą, a ojca jeszcze nie było. Mama była zdenerwowana, choć starała się bardzo panować nad sobą. Ja płakałam i gryzłam palce ze strachu. Czułam dziwną obawę, że wszystko, co takie wymarzone i upragnione, może się rozplynać jak mgła. Mama widząc naszą rozpacz starała się być spokojna i opowiadała siostrze i mnie, jak to ojciec w znaczących chwilach życia zwykle się spóźniał. Wreszcie nadszedł. Już nie pamiętam, co było powodem jego spóźnienia. Na pewno nic ważnego. Pośpiesznie wychodziliśmy wszyscy z domu. Mama tylko powiedziała ojcu, że nigdy nie zapomni tego płaczu dzieci.

W nerwowym pośpiechu wnosiliśmy swoje bagaże do pociągu. Pilot pokazał nam wagon i pilnował całej grupy, gdyż były to wczasy grupowe zorganizowane przez Orbis. Znów ojciec zniknął. Mama wносиła ciężkie walizki, ale jeszcze wiele bagaży stało na peronie. Złapałam bardzo ciężką paczkę z materacami, które ojciec uparł się zabrać na sprzedaż. Mama nie chciała brać nic oprócz naszych rzeczy, ale on się uparł. Ta paczka była

bardzo ciężka, ledwie mogłam ją unieść, lecz strach dodawał mi sił. Bałam się, że pociąg odjedzie bez naszych rzeczy. Uginałam się pod ciężarem, ale doniosłam do pociągu. Gdy mama to zobaczyła kazała mi paczkę zostawić, ale była ona już w pociągu. Poczułam ulgę. Najważniejsze było, że nasze rzeczy nie zostały na peronie. Gdy ojciec znalazł się, okazało się, że pomagał jakiejś obcej kobiecie nieść bagaże. Teraz gdy o tym myślę, to zupełnie nie rozumiem, jak mama potrafiła kochać ojca; tyle mu wybaczać, mieć tyle miłości i cierpliwości dla niego. Dla mnie pozostało to zagadką. Jeśli chodzi o mnie, to jedna taka sytuacja zdyskwalifikowałaby takiego mężczyznę jako partnera. Mnie podobają się tylko mężczyźni męscy i opiekuńczy. Kiedy pociąg ruszył, zaczęłam się uspokajać. Byłyśmy same z mamą w jednym przedziale. Zbliżał się wieczór, byłam bardzo zmęczona dniem, który mijał i chętnie poszłam spać. Spałam mocno, pociąg ukołysał mnie do snu, jak piękna bajka opowiedziana na dobranoc.

Pomimo, że podróż trwała długo, prawie dwa dni, ja cały czas czułam się cudownie. Oglądałam widoki przez okna pociągu. Zachwycalam się górami, strumieniami, rozległymi łąkami. Byłam urzeczona pięknem świata i latem. Czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w centrum Wszechświata i cały świat był dla mnie. Chwilami czułam się tak, jakbym czytała ciekawą książkę o sobie samej. Dojechalismy do Drużby, miejscowości położonej nad samym morzem i zbudowanej w lesie. Mała, bajkowa kraina.

Wszędzie było pełno różnokolorowych róż. Hotel był duży i bardzo ładny. W jego holu była sadzawka z rybkami i fontanna. Wszystko wokół było jak z bajki. Potem, ze skarpy zobaczyłam plażę i morze. Zabrakło mi tchu z zachwytu.

Piękne ciemno-niebieskie, rozległe morze oświetlone słońcem. Zachwycało swoim pięknem, a jednocześnie przerażało swoją głębią. Było pięknem i tajemnicą podobnie, jak życie. Chciałam natychmiast podejść bliżej i wejść do wody. Poczuć, że to wszystko istnieje realnie. Obawiałam się, czy to wszystko nie jest pięknym snem. Całe trzy tygodnie tam pobytu upłynęły jak krótki, piękny sen. Rano, jedząc śniadanie, widziałam z okien restauracji morze, w którym ranne promyki słońca odbijały się i wyglądały jak iskrzące brylanty. Z bliska, gdy wchodziłam do wody, morze miało barwę turkusowo-błękitną; było czyste, ciepłe i takie przyjazne - nic nie pozostało z jego przerażającej głębi.

Unosiłam się na falach, pływałam na dziecinnym kółku, wypełnionym powietrzem. Mama kupiła je, aby oswajać mnie z wodą. Pływając, rozglądałam się po plaży i czułam, prawie fizycznie, że jestem szczęśliwa. Z rozkoszą oczekiwałam południa i obiadu w restauracji. Każda pora dnia miała swoje

własne piękno. Pomyślałam, że wszystko co mnie czeka będzie piękne, a teraz czuję się szczęśliwa. To szczęście, które wówczas czułam było prawie ekstatyczne.

Wieczorami w całej miejscowości grała muzyka, pachniał jaśmin i różę. Było ciepło, lekki wiatr powiewał od morza, świecił srebrny księżyc. Szłam przytulona do mamy i mówiłam, że chciałabym zawsze być tak szczęśliwa. Nigdy już nie wracać do domu do dziadka. Czasem w nocy śnił mi się dom i dziadek. Gdy się obudziłam cieszyłam się, że to tylko sen. Miałam świadomość, że trzeba będzie powrócić, ale teraz starałam się cieszyć chwilą teraźniejszą.

Każda chwila, która mijała, miała swój smak i nie mijała niezauważona. Wiedziałam, że te doświadczenia pozostaną we mnie, że będą miały wpływ na to, co później stanie się teraźniejszością. Czułam to, że jeśli coś tak mocno przeżywam, to tego ślad pozostanie na zawsze. Wiedziałam, że powrócę inna, a jednak bałam się, jaki będzie ten powrót do codziennej szarości dnia powszedniego. W moim sercu pozostanie ten barwny i czarujący świat, tylko jak będę mogła istnieć bez niego w szarudze jesieni, zimy, nudnej codzienności? Czy będę tęsknić i oczekiwać tu powrotu? Czy będę cierpieć z tęsknoty? Zaczęłam zastanawiać się, czy świadomość czegoś pięknego, czego pragniemy uszczęśliwia, czy unieszczęśliwia nas? Przecież kiedyś tego nie znałam i mogłam żyć bez tego, będąc jakoś szczęśliwa. Teraz już nie mogłabym być bez tego szczęśliwa. Przynajmniej tak wydawało mi się wówczas.

Kiedy powróciliśmy do kraju czułam odrętwienie. Dworzec, miasto zalane deszczem, droga do domu. Wszystko to było spowite we mgle, jakieś nierealne i bezbarwne. Powrót do domu i wszystko wokół było jakieś obce; ogród, nawet słońce jakieś inne, które wyszło zza chmur deszczowych. Czułam czający się blisko mnie ból, który jakby wyczekiwał na odpowiedni moment.

Mama kazała mi pocałować dziadka na przywitanie. Czułam ciężar i sztywność w ciele. Siostra podbiegła i pocałowała go, teraz była kolej na mnie. Dziadek był ubrany w jasny, letni garnitur i miał kapelusz na głowie. Był taki obcy i zimny. Musiałam pokonać opór i wstręt, aby do niego podejść i pocałować go w policzek. Kiedy już to zrobiłam, czułam gorycz i ból. Spytałam siostrę, co ona czuła, gdy całowała dziadka. Odpowiedziała, że wszystko w porządku. Ja czułam protest w sobie, niezgodę na taką rzeczywistość. Poczułam się bardzo samotna i niezrozumiana. Schowałam się w kącie między regałami z książkami w bibliotece i zanosłam się dławiącym, spazmatycznym płaczem. Bałam się, że nikt tego nie zrozumie, dlaczego tak

płaczę i chciałam zapaść się pod ziemię. Po jakimś czasie znalazła mnie mama i przytuliła do siebie. Ja nadal płakałam, lecz zdziwiłam się, że mama rozumie i nawet nie zadaje mi pytań. Nie umiałabym wówczas wyjaśnić, dlaczego czuję ból. Potem mama namawiała mnie, abym poszła do ogrodu, tam była moja siostra. Zrywała czereśnie z drzewa. Zawsze lubiłam to robić, a teraz wszystko jakoś przestało istnieć, świat zupełnie się odmienił. Nie chciałam nic robić, ani jeść. Czułam wszechogarniający ból, którego nie rozumiałam. Pragnęłam, aby nastała ciemność na świecie, aby drzwi czucia zawarły się. Tamten ból, który odczuwałam był pierwszym silnym cierpieniem mego dziecięcego świata.

W szkole, po wakacjach, pytałam koleżanki, co czuły, gdy kończyły się wakacje; co czuły, gdy powracały do domów? Wszystkie były uśmiechnięte i zadowolone. Jedne tęskniły już za szkołą, inne mniej tęskniły, lecz wszystkie były pogodne. Znow poczułam się inna, niż wszyscy, podobnie jak wtedy, gdy patrzyłam na zachód słońca, lub złote drzewa jesienią. Znow wszystko jakoś inaczej widziałam wokół siebie, niż inni. Było mi smutno i samotnie w szkole. Tęskniłam za mamą i jej ciepłem. Zaczynałam rok szkolny ze smutkiem i tęsknotą za innym światem, niż ten który mnie otaczał. Szare jesienne dni powoli gasiły tęsknotę i zlewały się ze smutkiem, który coraz bardziej rozpytywał się w codziennych obowiązkach. Pocieszałam się, że przecież znow nadejdzie lato. Każdego lata wyjeżdżaliśmy nad Morze Czarne dopóki żyła mama. Powroty zawsze były dla mnie bolesne, lecz ból ten był już mniejszy. Ten pierwszy powrót był najboleśniejszy.

Utrata ukochanej Mamy

Mama gdy byłyśmy coraz starsze, coraz częściej rozmawiała z nami. Miałyśmy co jakiś czas takie wspólne wieczory, w których ojciec nie uczestniczył. Wtedy był czas na zadawanie pytań i rozmowę. Mama starała się przekazać nam swoją mądrość i wiedzę o życiu, tak jakby przeczuwała, że mało będzie miała na to czasu. Uwielbiałam te wieczory, opierałam głowę na rękach i wsłuchiwałam się z powagą w mamy słowa. Nigdy z taką uwagą nie potrafiłam słuchać w szkole żadnej lekcji. Jakbym intuicyjnie wyczuwała to, że mama mówi o rzeczach najważniejszych i najistotniejszych w życiu.

Między 10 a 11 rokiem życia, mniej więcej rok przed mamy śmiercią, zaczęłam odczuwać dziwny lęk przed utratą mamy. Miewałam lękowe sny. Raz śniła mi się mama w pięknej żółtej halce odlatująca do Nieba. Barwa i nastrój snu był pogodny, ale gdzieś pod powierzchnią krył się lęk. Gdy obudziłam się była niedziela. Mama w halce malowała się. Czułam w sercu obawę, o której chciałam natychmiast zapomnieć. Kiedyś mama powiedziała mi, że gdy jesteśmy pierwszy raz w jakimś kościele i o coś modlimy się, to się spełni. Zawsze gdy byłam w jakimś kościele modliłam się, aby mama nie odeszła, nigdzie nie zniknęła. Mama była dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Kochałam ją, ufałam jej i czułam się przy niej bezpiecznie. Lubiłam letnie wieczory, gdy mama smażyła w kuchni racuszki na kolację, a ja bawiłam się na podwórku. Patrzyłam z czułością i rozczuleniem na mamę krzątającą się w kuchni oświetlonej żółtym światłem, a przez otwarte okno unosił się apetyczny zapach. Jaka byłam wówczas szczęśliwa! Na zawsze taki obraz pozostał w mojej pamięci, jako symbol matczynej troski i miłości. Jako symbol rodzinnego domu.

Kiedyś mama wróciła z pracy taksówką, ponieważ bardzo źle się poczuła. Zaczęła robić wiele badań. Od czasu do czasu bolała ją głowa. Mój lęk o mamę nasilił się. Czasem w nocy budziłam się z krzykiem i sercem bijącym tak mocno, że byłam pewna, że wyskoczy mi z piersi. Nie wiedziałam czego się boję i nie umiałam wytłumaczyć, co mi jest. Mama brała mnie do siebie do łóżka, czasem dawała mi krople walerianowe, gdyż ja cała się trzęsłam.

Po jakimś czasie zrobił się mamie na palcu duży ropień. Przez jakiś czas mama była zwolniona z pracy przez lekarza. Potem zaczęły robić się ropnie pod pachami. Mama chodziła do lekarza i powracała znów do pracy. Była jakaś podenerwowana. Czasem sama zamykała się w pokoju i wychodziła stamtąd ze spuchniętymi oczami. Starła się być pogodna, taka jak zawsze.

Lecz w powietrzu wyczuwało się nadchodzącą grozę. Niezgłębiona tajemnica cierpienia zaczęła wypełniać nasz dom. Często też mama rozmawiała z dziadkiem. Wszystko to mocno mnie niepokoiło. Nadchodziła zima i święta Bożego Narodzenia. Mama coraz bardziej źle się czuła, jej twarz i skóra przybierała dziwnie żółtą barwę. Mówiła, że to nic, że może to jest żółtaczka, jeszcze nic nie wiadomo. Coraz częściej kładła się w ciągu dnia, prosiła nas o zrobienie porządku lub podanie czegoś. Pewnego zimowego dnia mama zasłabła i dziadek krzychał coś do nas, ale my tego nie słyszałyśmy. Przyszedł do nas zły i powiedział, że mama zasłabła, a on położył ją na łóżku. Mama była ubrana w szlafrok. Zobaczyłam, że jej ciało pokrywają ogromne granatowe plamy. Wyglądało to upiornie, na żółtej skórze, takie ogromne wylewy. Poczułam, że świat usuwa mi się spod nóg. Czułam przerażenie tak silne, że miałam ochotę uciekać, uciekać od mojej kochanej mamy! Czy ja zwario- wałam - pomyślałam wówczas. Tak bardzo bałam się patrzeć na mamę, taką chorą i zmienioną. A dziadek krzychał, że jesteśmy niewdzięcznymi dziećmi. Wywoływało to we mnie jeszcze większy strach i poczucie winy. Ból i strach był tak silny, że czułam mdłości. Nie byłam przygotowana na takie ogromne cierpienie. Gdy minął ten straszny dzień, nadzieja znów zaczęła łagodzić obraz rzeczywistości. Jednak po tym dniu świat jakoś się zmienił, był taki daleki, jakiś bardzo odległy ode mnie, mdły i szary. Miałam tylko świadomość, że gdzieś pod powierzchnią kryje się przerażająca, czarna otchłań rozpacz i beznadziei.

Okres przedświąteczny i święta Bożego Narodzenia minęły jakoś nie zauważone i spowite taką szarą mgłą. Z tego okresu pamiętam najbardziej jeden dzień. Było już po świętach. Zapadał szary zimowy zmierzch. Jestem w pokoju razem z mamą. Ja siedziałam przy stole oświetlonym żółtym światłem. Mama leżała, gdyż źle się poczuła. Walczyłam z narastającym strachem. Wiem, że powinnam zachować odwagę, gdyż wszyscy domownicy gdzieś zniknęli. Ojciec poszedł wezwać pogotowie i jakoś długo go nie było. Siostra uciekła na podwórko i płakała. Dziadek siedział w swoim pokoju. Pozostałam sama ze swoim strachem i poczuciem odpowiedzialności wobec mamy. Wiedziałam już wtedy, że chorym należy dodawać otuchy. Tak bardzo kochałam mamę i tak bardzo chciałam ją pocieszyć. Mama spojrzała na mnie, wyciągnęła do mnie rękę i powiedziała: „Chodź”.

Podeszłam i usiadłam na łóżku obok mamy. Spojrzałam na jej blado- żółtą twarz i zobaczyłam ściekającą łzę. Spływała po policzku a potem na poduszkę. Ta jedna łza na woskowej twarzy mamy była tak przerażająca, że czułam jak odwaga mnie opuszcza. Wyglądało to, jakby dusza razem ze swoim bogactwem i pięknem chciała uwolnić się i opuścić zmieniające się pod

wpływem choroby ciało. Mama była tak słaba, że nie mogła mówić, ale czułam to jak jej dusza pełna miłości chce wyjść do mnie. Rozpłakałam się i długo tak spazmatycznie płakałam. Czułam się winna z tego powodu, że utraciłam panowanie.

Przyjechało pogotowie i zabrano mamę do szpitala. W szpitalu poczuła się trochę lepiej po otrzymanej transfuzji krwi. My odwiedzaliśmy mamę codziennie i długo tam przebywaliśmy. Mama starała się być pogodna i czuła, jak zawsze. Miałam wrażenie, że chyba wyzdrowieje gdyż była taka pełna nadziei.

Pewnego dnia wieczorem, znalazłam położoną gdzieś przez mamę Encyklopedię Zdrowia, w której była zakładka. Otworzyłam ją i przeczytałam rozdział o białaczkach. Wszystkie objawy były podobne jak u mamy. Tam było napisane, że białaczka jest nieuleczalną chorobą. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, gdyż zrozumiałam, że to koniec. Niespodziewanie w nocy przyszło pogorszenie. Mama całą noc się dusiła i rano umarła. Gdy przyszliśmy rano w niedzielę do szpitala mama już nie żyła. Być może, że właśnie umierała, nie wiem, za nic w świecie nie weszłabym do pokoju, patrzeć jak mama umiera. Stałam na korytarzu i wyłam płacząc. Ktoś namawiał nas, abyśmy zobaczyły mamę po śmierci, ale ja czułam niemożność zniesienia tego. Głośno płakałyśmy z siostrą na korytarzu. Nagle z pokoju wyszła jakaś lekarka i powiedziała: „Zabierzcie te dzieci spod moich drzwi”! - Nie wiem do kogo to mówiła. Bardzo zdziwiło mnie jej zachowanie. Do tej pory bardzo dziwi mnie zachowanie niektórych lekarzy.

W końcu zdobyłam się na odwagę i weszłam do pokoju, gdzie leżała mama. Pamiętam dokładnie ten moment. Poczułam silny ból w nogach i w gardle. Nogi mi się ugięły i taka skurczona próbowałam podejść do mamy łóżka. Zobaczyłam żółto-białą, martwą twarz. Martwą twarz kogoś, kto był najdroższy na świecie. Pielęgniarka, młoda kobieta, wychodziła z pokoju ze łzami w oczach i napiętą twarzą. Widać było jak walczy z płaczem. Rozglądałam się wokoło, jakby szukając ratunku. Cały czas spazmatycznie płakałam, ale ból i strach nie zmniejszał się.

Wyszłam na korytarz. Martwa twarz mamy była grozą nie do pojęcia. Razem z mamą odszedł cały świat, gdyż mama była dla mnie wszystkim. Pamiętam, że ojciec gdzieś telefonował i z kimś rozmawiał. Ja pragnęłam znaleźć się przy kimś dorosłym, kto mógłby mnie pocieszyć. Czułam się jak tonący rozbitek, potrzebowałam natychmiast pomocy.

Powróciliśmy do domu. Zobaczyłam, że dom nagle przeobraził się w jakąś ciemną otchłań, przypominającą trumnę. Szarpiący ból powoli znikał razem z życiem we mnie. Czułam się tak, jakbym powoli gasła; wszystko

wokół mnie robiło się jakieś ciemne. Mimo tego próbowałam się uśmiechać do ojca. Mówiłam do niego, że damy sobie radę, że jakoś wszystko się ułoży. Wiedziałam, że on też musi bardzo cierpieć. Miałam wtedy 12 lat, ale poprzez cierpienie szybko się dojrzewa. Martwiłam się o ojca, że może się załamać; w końcu mama zawsze nim kierowała.

Mama umarła 16 stycznia. W dniu pogrzebu z wieloma koleżankami szłam do kościoła, który znajdował się przy cmentarzu. W kościele było pusto, z boku stała jakaś trumna. Uklękałam i chciałam się pomodlić. Nagle uświadomiłam sobie, że w tej trumnie może być mama, tak, na pewno jest mama. Na chwilę wybudziłam się z letargu, w który zapadłam po śmierci mamy. Poczułam, że to nie może być rzeczywistością, to jest tak koszmarne, że nie mieści się w mojej świadomości. Przez moment już nie wiedziałam, co należy do realnego świata, a co do sennych widziadeł. Poczułam zimno i takie znane mi już odgrodzenie od świata. Zupełnie nie uświadamiając sobie tego, postanowiłam przestać czuć, myśleć, rozumieć. Zapragnęłam snu i nieczucia.

Cały pogrzeb wydawał mi się jakimś przedstawieniem. Stałam obok trumny i zastanawiałam się, dlaczego tak łatwo mogę powstrzymać łzy? Czyżby ich zabrakło? Czułam zimno i wszystko jakoś oddalało się ode mnie: trumna, kwiaty, ludzie, kościół. Wszystko jakoś odpływało daleko, jakby wcale nie dotyczyło mnie. Szłam aleją cmentarną, obok mnie ludzie znani mi z miejsca pracy mamy i wiele innych osób. Coś mówili między sobą - tak jakby o mnie, że jestem dzielna, że nie płaczę. Pomyślałam sobie, że ludzie nic nie wiedzą, nie rozumieją. Są jacyś dziwni w swoich ocenach, mówią o czymś, o czym nic nie mogą wiedzieć, a jednak mówią. Dziwny jest ten świat, który tak oddala się ode mnie i jest taki martwy.

Ten normalny, znany świat, odszedł razem z mamą gdzieś daleko. Teraz ja pozostałam tu, jak obcy przybysz z innego świata. Ojciec chciał nas koniecznie oderwać od tego bólu i zabrał nas taksówką do sklepu, aby kupić żywność, które bardzo chcieliśmy mieć. Ludzie obok coś komentowali. Jak to, po pogrzebie do sklepu? Jeszcze raz pomyślałam o tym, że lepiej w ogóle przestać słuchać, co ludzie mówią, bo oni chyba nawet nie wiedzą, co mówią. Przecież było dla mnie jasne, że ojciec sam chce uciec w ten sposób przed bólem i chce nam również w tym pomóc. To była taka rozpaczliwa ucieczka przed bólem, który był nie do zniesienia. Ja miałam 12 lat i dobrze to rozumiałam a inni, niby dorośli, nic nie rozumieli. Próbowali świat pełen głębi, zamknąć i ułożyć w swoich ciasnych wyobrażeniach o nim. Zburzyło to moje zaufanie do świata dorosłych.

Mój dziecięcy świat skończył się, pozostał mi już tylko świat „dorosłych”, którzy nie wzbudzali zaufania. Jakże moja mama różniła się od innych ludzi, była wielka duchem i sercem. Ja, aby to jakoś przetrwać zamknęłam, oczywiście nieświadomie, „drzwi mojej duszy”. W środku umarłam razem z mamą. Pozostało „żywe ciało”, więc i próbowałam udawać, że żyję. Po pogrzebie cała szkoła podstawowa wydawała mi się jakimś idiotycznym teatrem. Ciągłe ktoś o coś miał do mnie pretensję, ciągle coś mi zarzucano. Ja buntowałam się, innym razem apatycznie się poddawałam. Bałam się ludzi dorosłych. Nie dość, że nie byli godni zaufania, to jeszcze byli nieobliczalni. Myślę, że moje zachowanie odbiegało od zachowań innych dzieci i pewnie przysparzałam kłopotu nauczycielom, którzy wreszcie przestali z tym zwracać się do ojca i próbowali jakoś sobie sami radzić. Tylko dwie nauczycielki były czułe i pełne życzliwości. Lecz większość zachowywała się idiotycznie, co wzbudzało moją nieufność. Wszystko wokół było zagrażające. Dziadek straszył nas, że odda nas do domu dziecka, a ojca do domu wariatów. Ojciec był rzeczywiście jakiś dziwny, nieobecny duchem i wszystko robił, aby tylko nie widzieć nas i problemów z nami związanych. Dziadek ciągle krzyczał na niego i na nas.

Zaczęłam nienawidzić swojego domu. Wstydziłam się jego odmienności i rozbicia. Właściwie to wszędzie czułam zagrożenie. W szkole, gdzie nauczyciele odgrywali swój własny teatr i w domu. Dziadek ciągle krzyczał, straszył i wzbudzał we mnie poczucie winy i małej wartości.

Pewnego letniego wieczoru chciałam upozorować ucieczkę z domu. Pojechałam nad Wisłę i długo w nocy włóczyłam się po mieście. Chciałam, aby ktoś mnie odnalazł, zauważył, że żyję. Wszystko jedno kto, mógł być nawet milicjant. To było moje wołanie o miłość, o zrozumienie mojej rozpacz. Gdy powróciłam do domu, już nie pamiętam jak, zastałam dziadka krzyczącego na ojca. Jego słowa były obrzydliwe, napawały mnie lękiem i odrazą. W pewnym momencie dziadek podszedł do mnie i ze złością nagle podciągnął mi spódnicę, krzycząc coś niezrozumiałego. Poczułam silny wstyd i upokorzenie. Tak głębokie upokorzenie, że zrobiło mi się niedobrze. Uciekłam do łazienki. Byłam zszokowana i nic nie rozumiałam z tego co się dzieje. Zawsze strasznie bałam się krzyku dziadka i jego awantur z ojcem. Teraz ja sama do tego się przyczyniłam, nie chcąc tego. Czułam się winna, zagubiona, przerażona i zbrukana. Zupełnie jakbym przestała być człowiekiem a stała się jakimś brudnym i ohydny przedmiotem, który każdego napawa obrzydzeniem. Pragnęłam ciepła i miłości a otrzymałam wzgardę i poniżenie. Nie było już nikogo przy mnie dla kogo mogła bym być dziec-

kiem. Nikogo nie obchodził mój los. Dziadek mówił, że gdyby mama wiedziała, co my robimy, to „przewróciłaby się w grobie”.

Bardzo chciałam być taka, jak by chciała tego mama, ale już zupełnie zatraciłam drogę. Świat, w którym były jakieś drogowskazy odszedł razem z mamą. Teraz byłam jak małe dziecko zagubione w gęstym, ciemnym lesie. Dopiero teraz widzę to, jak wiele czasu i bólu kosztowało mnie szukanie drogi w tym lesie. Zaczęły puchnąć mi powieki i robiły się ropnie. Gdy jedno oko trochę się zagoiło, to zaczynał się ropień na drugim. Ojciec chodził ze mną do różnych lekarzy. Sąsiadka zakraplała mi oczy i zakładała do nich maści. Chodziłam prawie przez cały rok z jednym lub drugim zaklejonym gazą okiem. Lecz w tym wszystkim najgorsze było to, że zaczęłam myśleć, iż na pewno również zachorowałam na białaczkę. W końcu u mamy też najpierw zaczęły się tworzyć ropnie. Brałam dużo antybiotyków i czułam się słabo. Raz nawet zemdlałam. To utwierdziło mnie, że na pewno jestem chora na białaczkę. Byłam przekonana, że umrę.

Śmierć nie jawiła mi się jako spotkanie z mamą i ucieczka od tego koszmarnego świata, tylko jako otchłań pełna przerażających niewiadomych. Otchłań pełna lęku, cierpienia i tajemnic. Nie wiedziałam dokładnie czego, ale bardzo bałam się. Również bałam się o tym komukolwiek powiedzieć. Nikt nie wiedział jak strasznie cierpię! Z tą tajemnicą czułam się ogromnie samotna. Wszyscy wokół wydawali mi się tak bardzo różni ode mnie. Od całego otoczenia odgradzała mnie wprawdzie przezroczysta, ale bardzo gruba szyba. Nikt wokół mnie nie wzbudzał zaufania. Iyla sama ze swoją mroczną, pełną lęków i tajemnic duszą. Zamykałam się w ciemnym pokoju i modliłam się. Lecz ta modlitwa była pełna rozpacz, nie wiary. Bóg, który zawsze był tak blisko, teraz zdawał się być tak daleko.

Wprawdzie wiedziałam, że jest, ale jakoś już nie dla mnie. Pragnęłam żyć, pomimo tego, że świat był taki mdły, szary i beznadziejny. Może zwyciężyła chęć życia we mnie, gdyż pewnego dnia powieki przestały puchnąć i ropieć. Tak po prostu wyzdrowiałam. Powoli zaczęłam powracać do „świata żywych”. Tylko, co to znaczy żyć i jak nauczyć się żyć? Teraz już nie było kogo o to spytać. Lecz każdy rodzaj bycia wydawał mi się lepszy niż niebyt.

Wczesna młodość i poszukiwanie sensu

W szkole podstawowej przechodziłam okres buntu i niezgody na wszystko. Próbowałam wszystkich odmiennych zachowań, ale mieszczących się w moich wyobrażeniach o tzw. „rzeczach ludzkich”. Nie chciałam nikomu robić krzywdy, ale chciałam zobaczyć, co stanie się, gdy uczynię coś zwariowanego, czego dawniej nigdy bym nie uczyniła. Np.: wychodziłam w czasie lekcji bez usprawiedliwienia. Opuszczałam matematykę i fizykę, gdyż ich nie znosiłam. Zadawałam idiotyczne pytania nauczycielce i cała klasa wybuchala śmiechem. Zachowywałam się tak, gdyż chciałam zostać dostrzeżona, nieświadomie chciałam zwrócić na siebie uwagę, byłam przecież tak bardzo samotna. Dawniej, gdy mama żyła, byłam bardzo spokojną, delikatną i pogodną dziewczyną. Pamiętam jak nauczyciele porównując mnie z innymi dziećmi bardzo mnie wówczas chwalili.

Skończyłam szkołę podstawową, zaczęłam inną i wszystko tak jakoś się toczyło. Wszystko robiłam niechętnie, bez wiary w to co robię, bez wiary w przyszłość. Przestałam się już buntować, teraz próbowałam upodobnić się do innych, niczym się nie wyróżniać. Bacznie obserwowałam ludzi i próbowałam sobie wyobrazić, co mogą czuć, czego pragnąć i czy są szczęśliwi. Myślałam, że może od nich nauczę się żyć. Próbowałam odczytać to z ich twarzy. Pytań nie zadawałam. Szybko też nauczyłam się, że ludzie nie mówią o sobie prawdy. Niektórzy nie dlatego, żeby chcieli kłamać, ale jej po prostu nie znają. Natomiast większość zakładała maski, aby ukryć prawdziwe oblicze. Lecz gdy siebie stawiałam w sytuacji innej osoby, robiło mi się smutno i beznadziejnie. Moje życie wydawało mi się bezsensowne. Próbowałam szukać sensu w życiu innych ludzi i też nie mogłam znaleźć. Postanowiłam obserwować i dalej szukać, a zewnętrznym zachowaniem upodobnić się do innych. Gdy coś w moim zachowaniu było nietypowe, szybko starałam się to tuszować. Teraz nie tylko wiedziałam, że jestem inna niż wszyscy, ale bałam się to pokazać. Dziadek drwił z mojej delikatności i wyśmiewał mnie. Siostra śmiała się, gdy on to robił i też czasem drwiła. Zaczęłam widzieć siebie jako „wybrakowany produkt natury”. Swoją wrażliwość, delikatność i ostrożność, aby nikogo nie skrzywdzić, zaczęłam uważać za coś złego, za objaw słabości i śmieszności. Wstydziłam się za to, że taka jestem, wstydziłam się też swojego domu rodzinnego.

Mając 15 lat zaczęłam palić papierosy. Poznałam mężczyznę dużo starszego ode mnie i zakochałam się w nim. On podziwiał moją urodę zewnętrzną, ale wewnątrz się nie interesował. Cieszyło mnie to, że mu się tak

bardzo podobam, ale chciałam, aby pomógł mi zaakceptować nie tylko ciało, lecz i duszę również. Wierzyłam, że moja miłość obudzi w nim ludzkie uczucia. Gdzieś przeczytałam, że prawdziwa miłość rodzi odwzajemnioną miłość. Stał się „słońcem mego świata”. Wszędzie gdzie przebywał rozstaczał blask, tęskniłam za nim. Będąc w szkole, myślami byłam przy nim, zazdrościłam tym, którzy mogli być blisko niego. Wszystko ogniskowało się w nim, sens i wiara, że można być szczęśliwym, gdy spotka się właściwego człowieka.

Zaczęłam ludzię się, że może powróci to dawne szczęście, wróci chęć i energia do życia. Tak jakbym zaczęła chwilowo budzić się z tego uśpienia w które popadłam po śmierci mamy. Silne uczucia i pragnienia budziły się we mnie, ale przynosiły ból, nie radość. Radość była krótka, ból i tęsknota bardzo dotkliwa. Wyobrażałam sobie, jak on spędza święta ze swoją żoną i dziećmi i czułam wewnętrzny, rozdzierający ból. Miewałam lękowe sny, że on gdzieś zniknął, zmarł, odszedł. Zaczęłam głęboko zastanawiać się, dlaczego tak bardzo lękam się jego utraty, przecież tyle bólu zadaje mi los poprzez niego i on sam również. Gdyby odszedł, może przyniosłoby to ulgę, lecz sama myśl o tym budziła we mnie strach. Jego istnienie nadawało wszystkiemu sens, pomimo bólu. Lepsze było bycie bolesne, niż niebyt bez bólu.

Pomimo mojej nadziei i pragnienia, nie obudziłam w nim ludzkich uczuć. Potraktował mnie jak przedmiot, w ogóle nie licząc się z moimi uczuciami. Strasznie cierpiałam. Położyłam się do łóżka i myślałam, że umrę z bólu. Wszystko bolało mnie, miałam gorączkę i czułam wstręt do wszystkiego, do siebie również. W to wszystko była zamieszana moja siostra, na którą teraz nie mogłam patrzeć. Świat był obrzydliwy, samo patrzenie na niego budziło mdłości. Najgorsze było to, że jego postawa wobec mnie i jego zachowanie zabiło we mnie ostatnie resztki nadziei na znalezienie sensu i miłości. Zabił resztki, które jeszcze pozostały żywe we mnie po odejściu mamy. Oczywiście, on zrobił to bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, jak mnie okaleczył. To był jeszcze jeden dowód na to, jak nieobliczalni, bezmyślni są ludzie dorośli.

Zaczęłam zastanawiać się, dlaczego tak jest? Czy ja potrafiłabym tak postąpić? Przecież wystarczy wczuć się w drugą osobę i już można zrozumieć, co ona będzie odczuwać. Dlaczego tak wiele krzywd zadajemy sobie nawzajem? Przecież wystarczająco dużo bólu zadaje los, czy muszą robić to jeszcze ludzie? Czy ludzie nie rozumieją tego, że to co ich boli, boli również innych? Przecież krzywdząc innych postępują tak, jakby siebie krzywdzili. Wszyscy jesteśmy tak samo bezbronni wobec bólu i cierpienia. Jedyną słuszną drogą, jest rozumienie siebie nawzajem i łączenie we wspólnocie wła-

snej doli ludzkiej. Tylko to może nam pomóc w znoszeniu cierpienia z zewnątrz tzw. losowego cierpienia. Dlaczego będąc tak podobni do siebie, wzajemnie się raniimy? Dlaczego tak dziwny i zagmatwany jest ten świat? Po tym doświadczeniu zwątpiłam w odnalezienie sensu w sobie i w innym człowieku. Pozostało jeszcze szukanie go na zewnątrz, w przyjemnościach powierzchownych. Zaczęłam szukać go w nocnych dyskotekach, lokalach i zabawach młodzieżowych. Zaczęłam obserwować ludzi prowadzących tzw. „nocne życie”.

Czy alkohol, zabawa, taniec, luksus mogą dać człowiekowi szczęście? Czy takie życie ma sens? Moje nocne wyprawy nie tylko były poszukiwaniem, ale również ucieczką przed sobą. Rozpaczliwą ucieczką przed zwątpieniem i beznadziejnością życia. Kiedy tańczyłam, poznawałam nowych ludzi, piłam alkohol to wydawało mi się, że jestem wesoła, że jest mi dobrze w takim odurzeniu. Wszystko było dobrze do momentu, gdy zostawałam sama ze swoją pustką wewnętrzną. Wtedy odczuwałam ogromny strach przed samą sobą. Trzeba było znów uciekać, uciekać w wir zabawy, głośnej muzyki, która zakrzykiwała głos własnej duszy. Coraz częściej zaczęłam odczuwać lęk. Najgorsze były jesienne wieczory. Wówczas nastawał szybko zmierzch, ta ciemność za oknem kryła w sobie mroczność własnej duszy. Zmuszała do zadumy, do refleksji nad sobą. Tylko jaką sobą, przecież siebie prawdziwą gdzieś zagubiłam. Lęk jeszcze bardziej odbierał zdolność myślenia, czułam duszącą niewolę. Gęsta ciemność zapadającej nocy wdzierała się przez okna i dusiła wręcz swoją niewiadomą. Chyba popadałam w obłęd – myślałam.

Zaczęłam czytać książki o chorobach psychicznych. Bardzo bałam się zachorować na chorobę psychiczną, która jawiła mi się jako „śmierć duchowa”. Lecz przecież ja również byłam wewnętrznie nieżywa. Czego tak się bałam? Czułam paniczny lęk, lecz nie wiedziałam czego się boję. W końcu zaczęłam odczuwać wszystko co nowe, nieznane jako zagrażające. Wydawało mi się, że już wszędzie szukałam sensu i go nie znalazłam. Czy go w ogóle nie ma w tym zwariowanym świecie? – zadawałam sobie pytanie. Nie wiedziałam tego, że poszukiwałam sensu tam, gdzie go znaleźć nie można. Wszystko to powodowało, że traciłam nadzieję na lepsze życie. Cały ten okres czasu nękało mnie wiele chorób fizycznych: zapalenie nerek, oskrzeli, zachorowałam na chorobę wrzodową dwunastnicy. Najgorzej znosiłam te choroby, które zmuszały do leżenia w łóżku. Tak bardzo wówczas odczuwałam swoją samotność. Wydawało mi się, że nie ma na świecie bardziej samotnej i obolałej istoty. Potem znów postanowiłam udawać, że wszystko jest w porządku, udawać, że żyję normalnie. Myślałam, że może udając pogodną i uśmiechniętą, odnajdę w sobie życie.

Mając 17 lat udałam się do psychiatry i psychologa szukać pomocy, lecz jej nie znalazłam. Nawet w największej rozpacz, poczuciu braku sensu i beznadziei zwyciężała we mnie chęć życia. Czasem myślałam o tym, że lepiej byłoby się nie obudzić, gdy kładłam się spać. Lecz podjęcie jakiegoś działania świadomego wbrew życiu było niemożliwe. Życie zawsze było dla mnie zbyt „wielką tajemnicą”. W tych trudnych momentach próbowałam się modlić. Już nie umiałam modlić się z wiarą! Zagubiłam drogę do Boga, utknęłam w gestych ciemnościach. Uważałam, że Bóg nie może mnie kochać i wybaczyć mi tego, co uczyniłam wbrew sobie samej, gdyż ja sama nie potrafiłam sobie wybaczyć. To taki paradoks, że im niżej człowiek upada, i im bardziej potrzebuje miłości i pomocy, tym bardziej jej sobie odmawia. Uważa, że jest jej niegodzien, lecz właśnie wtedy zasługuje na nią najbardziej. Teraz wiem, że Bóg najbardziej kocha i troszczy się właśnie o te zagubione owieczki. Gdyż zgubić drogę – znaczy to samo, co cierpieć.

Przecież matka nie przestaje kochać dziecka, które zaginęło. Kocha je jeszcze bardziej, gdy je odnajdzie. O ile Bóg jest doskonalszy od nas, o tyle potrafi kochać bardziej od nas. Wtedy miałam inną wizję Boga. Przecież księża mówią, że ten kto upada jest grzesznikiem, a kto jest grzesznikiem, ten oddała się od Boga. Najczęściej księża ukazują Boga, jako karzącego Tyrana. Przestałam chodzić do kościoła, w tym co mówili księża nie było Boga. Szukałam go wszędzie indziej i też nie mogłam odnaleźć. Teraz wiem, że Boga można odnaleźć w sobie i w innym człowieku również. Lecz wtedy spotykałam ludzi, których nie można tak określić, trafniej można określić ich jako marionetki zapatrzone w swój odgrywany teatr, który nazywają swoim życiem. Nie mogłam dożądać się w nich cech ludzkich, a co dopiero Boga. Samą siebie natomiast potępiłam i nienawidziłam. Nie wierzyłam, że mogę cokolwiek potrafić, że mam jakieś zdolności. Lecz byłam zdolna, nie musiałam wiele się uczyć, aby jakoś przechodzić z klasy do klasy.

W wirze zabawy zapominałam na jakiś czas o swojej pustce i samotności. Ciągłe miałam nadzieje, iż może spotkam kogoś, kto zapełni moje puste wnętrza sobą. Każdy nowo poznany mężczyzna był takim promykiem nadziei, że coś wreszcie się zmieni, że znajdę lepszą drogę. Czasem alkohol w połączeniu z pragnieniem czegoś lepszego, co miałam rzekomo zobaczyć w przystojnym chłopaku z którym tańczyłam przytulona, powodował euforię szczęśliwości nagłą i szybko przemijającą. Natomiast następny dzień po takim przeżyciu był ciemną rozdzierającą pustką. Nastrój zabawy ulotnił się, alkohol pozostał w bólu głowy a nadzieja uleciała jak mgły rozwiejne. Nic nie pozostało już z wczorajszych pragnień i marzeń. Zdarzało się, że dopiero nad ranem wracałam do domu. Pamiętam jak bałam się, aby nie

zobaczył mnie nikt z sąsiadów. Miałam wrażenie, że wypisane jest na mojej twarzy to, co robiłam w nocy. W takich chwilach czułam się jak złoczyńca.

Przeżyłam również kilka flirtów, które trwały jedną noc. Po takiej nocy pozostawał niesmak i poczucie zagubienia. Były również dłuższe znajomości, które były tak samo puste jak te jednonocne. Lecz ciągle na nowo nie rozumiejąc nic z tego, co mnie spotyka szukałam sensu w świecie i innych ludziach. Nie wiedząc, że wszystko czego szukam zawarte jest we mnie. W moim wnętrzu, które zabarykadowało się betonową ścianą przede mną – tą, której pełna bólu a jednak nie tracąca nadziei, szukałam. W końcu obrzydło mi takie życie pełne powierzchownego blasku a w głębi ziejące czarną otchłanią. Byłam przerażona tym, że już chyba nic nie jest w stanie mnie cieszyć i zaciekać. Nie rozumiałam tego, dlaczego inni ludzie dobrze się bawią i zdają się być szczęśliwi. Myślałam, że tylko ja jedna tak się beznadziejnie czuję w tym świecie. Winiłam się za nieumiejętność życia i ciągle poczucie beznadziejności. Nawet nie umiałam wówczas tego wszystkiego wyrazić, wypłakać, wyrzucić z siebie. Zresztą nie było nikogo – komu mogłabym to powiedzieć, nawet gdybym potrafiła. Także nowe doświadczenie, pełne blasku nocnych dyskotek okazało się tak samo puste i nieciekawe jak wszystko dotychczas.

Około rok przed maturą zaczęłam odczuwać silne lęki. Lęk paraliżował mnie, nie byłam w stanie uczyć się. Czułam się tak, jakby coś nieustannie mnie gnało. Chodziłam nerwowo bez celu, nie mogłam spokojnie siedzieć i nie mogłam spać. Czułam się tak, jakbym powinna natychmiast coś odszukać, gdzieś pędzić, tylko nie wiedziałam gdzie? Brałam tabletki uspakajające, które mnie otępiały lecz nie uspakajały. Wewnątrz mnie gotował się niepokój tak silny, że nic nie mogłam robić, na niczym skupić uwagi. Czułam się jak zamknięty w klatce, trzepoczący skrzydłami ptak, który rani sobie skrzydła o pręty klatki, a nie jest w stanie pofrunąć. Byłam zamknięta we własnym więzieniu. Gdy zaczynał się dzień, wydawało mi się, że nie dam rady przetrwać do końca dnia. Gdy dzień kończył się bałam się nocy. Całą energię wydatkowałam na ukrywanie przed innymi ludźmi tego, co się we mnie dzieje. Czasem było to trudne, gdyż dygotałam na całym ciele. Tych drgawek nie mogłam opanować siłą woli. Czytałam wówczas książki Kępińskiego, to trochę przynosiło ulgę. Zaczęłam rozumieć, co to znaczy „ból istnienia”. Wydawało mi się, że samo istnienie boli, jest nie do wytrzymania! Ucieczka w nicłość była jeszcze bardziej przerażająca, niż ten ból i lęk związany z życiem. Nie było gdzie uciekać, nie było wytchnienia. Tyle ile mogłam uczyłam się, nie wiem jak, ale zdałam maturę. Lecz ten okropny lęk pozostał.

Początki małżeńskiej miłości i początki utraty zaufania

W tym czasie chodziłam do psychologa i rozmawiałam z nim. Nic mi to nie dawało. Ciągłe czegoś szukałam - sensu, miłości, pomocy, ulgi w cierpieniu - i coraz bardziej traciłam nadzieję. Mniej więcej w takim stanie ducha poznałam swojego przyszłego męża. Od pierwszego spotkania zauroczył mnie. Był przystojnym brunetem. Wydawał się bardzo męski i tajemniczy. Wybraliśmy się do restauracji razem we czwórkę, jego kolega, moja siostra, ja i on. Zjedliśmy dobrą kolację, piliśmy koniak. Czułam się cudownie. Widziałam w jego oczach, że mu się bardzo podobam. Poszliśmy tańczyć, świat wirował wokół mnie, było cudownie. Przytuliłam się do niego, czułam to, że mnie pragnie. Ja też go pragnęłam, chciałam być tylko z nim. Powróciliśmy do stolika rozpaleni pragnieniem posiadania siebie. Już wiedziałam, że wcześniej, czy później będę jego. Późno w nocy rozstaliśmy się. Całą noc nie mogłam spać, byłam rozgorączkowana i jakaś odmieniona. Następny dzień oczekiwałam z niecierpliwością jego telefonu. Zadzwoił o umówionym czasie, umówiliśmy się na następny dzień. To spotkanie również spędziliśmy we czworo. On podobał mi się coraz bardziej, tylko czasem miał taki zamknięty i złowrogi wyraz twarzy. Wydawał się być taki tajemniczy. Znowu rozstaliśmy się późno w nocy. Następne spotkanie było umówione za dwa dni.

Pamiętam, że przez cały czas o nim myślałam. Prawie każdą minutę zajmowały mi myśli o nim. Jego osoba zajmowała całą moją świadomość.

Potem już spotykaliśmy się sami. Byliśmy urzeczeni sobą. Przyciągała nas ku sobie jakaś tajemnicza siła. Czułam się z tym dobrze, wszystko tak dobrze się układało. Zaczęłam lękać się, czy nie trzeba będzie tego szczęścia opłacić później jakimś cierpieniem. Mając 14 lat zaczęłam czytać wiersze L. Staffa. Jego widzenie świata odpowiadało mi najbardziej ze wszystkich poetów. Staff napisał wiele wierszy o opłacaniu smutkiem radości. Pisał o tym, że każda szczęśliwa chwila ma swój smutek i radość zarazem. Pamiętam jego zdanie z wiersza „Lecz wszelką radość, płaci się smutkiem jej zgonu”. Nie wiem dlaczego odczuwałam obawę, gdy właściwie coś się dopiero zaczynało. Jeszcze się dobrze nie zaczęło, a ja już obawiałam się to utracić. Lecz odkąd go spotkałam świat jakoś poweselał, zaczęły powracać barwy, życie nabierało jakiejs treści. Wszystko jedno, czy ta treść była tylko pożądaniem, czy zauroczeniem, ale była. Przedtem życie było bez treści, jałowe, puste, beznadziejne. Teraz miałam czego oczekiwać o kim myśleć, za kim

tęsknić. Gdy byliśmy razem tuliłam się do niego, patrzyłam z przyjemnością na niego, ale maskowałam swoją prawdziwą twarz, podobnie jak inni ludzie, którzy tak mnie tym irytowali. Zrozumiałam dlaczego mogą to robić, gdyż ja robiłam to z lęku przed zranieniem. Na sobie to doświadczyłam, jak inni potrafią ranić i jak boli taka rana zadana w najsłabsze miejsce. Teraz tylko mogłam ukazać się prawdziwa, gdy ktoś byłby godny zaufania. Lecz najpierw musiałam to sprawdzić. On też się maskował, tylko nie wiedziałam, czy zdawał sobie z tego sprawę. Zdawał się być miły, nadskakujący, troskliwy, ale było to jakieś nienaturalne. Czasem miał bardzo napiętą twarz i był poddenerwowany, ale nie mówił dlaczego. Byliśmy przekonani, że jesteśmy dla siebie stworzeni, pomimo, że tak naprawdę nic o sobie nie wiedzieliśmy.

Często spotykaliśmy się, mijały miesiące, było nam dobrze ze sobą, ale nadal nie znaliśmy siebie naprawdę. Ostrożnie zaczynałam mówić o sobie, on reagował ciepło i ze zrozumieniem. Zaczynałam mówić o rzeczach bardziej głębszych i bolesnych, on słuchał i zdawało się, że rozumie, lecz zadawał pytania świadczące, że nic nie rozumie.

Pierwszy rok naszej znajomości upływał nam pod urokiem wzajemnego pożądania i zauroczenia sobą. Rysiek, gdyż tak miał na imię mój wybrany, miał wyjechać na cały miesiąc do sanatorium, które było położone w górach. Chciałam przyjechać do niego chociaż na tydzień. Rysiek zresztą prosił mnie, abym do niego przyjechała. Była jesień, nigdy nie byłam w górach jesienią. Cieszyłam się na ten wyjazd. Miesięczna rozłąka wydawała się bardzo długa, ale jeśli w międzyczasie tydzień będziemy razem, to można było to znieść. Czułam, że potrzebuję takiego rozstania, chciałam trochę odpocząć i przemyśleć wiele spraw. Poza tym, to ciągle udawanie kogoś, kim nie jestem, męczyło mnie, powodowało ciągłe napięcie.

Pierwszy raz wybrałam się w podróż sama. Rysiek napisał do mnie, wiedziałam, że jest zarezerwowany dla mnie hotel i że on będzie oczekiwał mnie na dworcu. Wsiadłam pełna radości do pociągu. Był piękny, słoneczny dzień. Na dworzec odprowadziła mnie siostra ze swoim chłopakiem, który подарował mi perfumy „Masumi”, sprawiając mi tym wielką przyjemność. Niebo było intensywnie niebieskie i było bardzo ciepło. Miałam takie odczucie, jakby ten pociąg miał zawieźć mnie do lepszego świata. Na dworcu spotkałam kolegę szkolnego, który był ze swoim kolegą. Wybierali się do miejscowości, do której jechałam także ja. Siedzieliśmy wszyscy troje w przedziale pierwszej klasy. Podróż była bardzo przyjemna, choć trwała prawie cały dzień. Gdy dojeżdżaliśmy zaczęło się ściemniać, zapadał jesienny zmierzch. Żółte drzewa świeciły tak, jakby zamieniły się w wiele słońc. Wje-

chaliśmy w piękne, majestatyczne góry i po krótkim czasie dobrnęliśmy do celu. Koledzy pomogli mi wynieść walizkę z pociągu. Na peronie czekał Rysiek. Przywitaliśmy się z radością.

W hotelu mieszkalam sama, a on miał codziennie do mnie przyjeżdżać. Jak było dobrze być w jego ramionach. Wieczorem musiał wracać i przyjeżdżał wcześniej rano. Całe dni spędzaliśmy razem. Jeździliśmy samochodem zwiedzać okolice. Wokół były wysokie góry porośnięte drzewami, które teraz miały przepiękne kolory. Chyba nigdzie nie wyglądają tak jesienne drzewa, jak w górach. Po prostu wszystkie barwy pięknie widoczne są na jednym zboczu. Prawdziwa orgia złota, czerwieni i brązu. Górskie strumienie odbijały w sobie to piękno i jeszcze dodawały mu czarowności. Patrzyłam jak urzeczona, ciągle się czymś zachwycając. Czasem robiliśmy kilka takich wycieczek w ciągu dnia. Tak było wokół pięknie. Czułam się szczęśliwa w tym świecie, razem z Rykiem. Z żalem wyjeżdżałam, tak szybko upłynął czas mojego pobytu. Smutno było mi żegnać się z nim.

Zawsze było trudno powracać do tej pustki - jaką był mój dom. Wiedziałam, że nikt nie oczekuje mojego powrotu. Ojciec wcale nie spostrzegał, czy ja jestem, czy mnie nie ma. Siostra jakoś idiotycznie zachowywała się, gdy wróciłam. Od jakiegoś czasu mieszkała wtedy u nas koleżanka, która nie pochodziła z Warszawy. Miała jakieś kłopoty z rodziną u której czasowo zamieszkiwała. Obie, siostra i ona jakoś idiotycznie śmiały się, nie wiem z czego. Siostra ciągle wywierała na mnie nacisk, że za mało z nią przebywam, że ciągle wychodzę z domu, że nic o sobie nie mówię. Miałam dosyć jej namolności i cieszyłam się, że teraz częściej przebywa z koleżanką i ja jestem mniej jej potrzebna. Było dla mnie bolesne posiadanie takiego „niby domu” przypominającego raczej poczekalnię dworcową. Tak bardzo pragnęłam mieć prawdziwy dom, do którego będę z przyjemnością powracać. Marzyłam o tym, że uda mi się go stworzyć. Gdyż prawdziwy dom tworzą ludzie. Myślałam, że wystarczy tego bardzo chcieć, aby to uczynić. Teraz wiem, jak wiele potrzeba dojrzałości i miłości, aby go stworzyć.

Również wiem jak niewiele jest takich prawdziwych domów. Są mieszkania, o których ludzie mówią dom, ale to nie jest to, o czym ja marzyłam. Ja pragnęłam prawdziwego domu. Miałam już 20 lat, ale nie czułam się dorosła, nie mogłam wyobrazić sobie - siebie jako żonę, matkę, Nie - mówiłam sobie - na to jeszcze nie czas. Kilka lat będę w takim wolnym związku. Muszę go dobrze poznać i nabrać doświadczenia. Chciałam również być mądrą matką dla swoich dzieci, taką - jaką była moja mama. Zdawałam sobie sprawę, jak wiele trzeba się nauczyć i wiele rozumieć, aby być właśnie taką jak ona. Obecnie nie czułam gotowości do małżeństwa. Chwilami na-

wet przerażała mnie myśl o tym. Jak tu nagle stać się dorosłą z małego, nieutulonego dziecka pragnącego miłości. Oczywiście nie mówiłam tego wszystkiego Ryskowi.

W niedługim czasie od naszego wspólnego wyjazdu Rysiek pogrzebał wiele nadziei na możliwość zaufania mu. Zdarzało się, że z drobnego towarzyskiego nieporozumienia robił wielki dramat, oceniając mnie źle i bardzo krytykując. Za wszystko winił mnie, tak jakby jego w ogóle przy tym nie było. Krzyczał głośno i mówił, że jestem winna. Bardzo przeżyłam to wydarzenie. Nic jakoś z tego nie mogłam zrozumieć. Lecz zasiała się w moim sercu do niego nieufność. Pomyślałam, że chyba jest bardzo nie zrównoważony psychicznie, a wydaje się taki opanowany. Właściwie to, jaki on jest naprawdę, nadal tego nie wiedziałam.

Latem zabrał mnie na wieś, tam mieszkała jego mama. Również przyjechali jego bracia z żonami. Jego mama od początku przyjaźnie na mnie patrzyła. Nie zadawała wiele pytań, była delikatna. Jedliśmy wspólny obiad, ja czułam się nieswojo, byłam napięta i nic nie mówiłam. Potem oglądałam okolicę, którą pokazywał mi Rysiek. Wszędzie piękna soczysta zieleń, rozległe pola i piękne łąki pełne kwiatów. Był miesiąc czerwiec, było ciepło i słonecznie. Potem do kolacji był alkohol i wszyscy byli trochę podpićci, ja również trochę wypiałam. Jego brat mówił, że jestem bardzo piękna, patrzył cały czas na mnie, lecz jego żona nie była tym zachwycona.

Gdy powiedziałam, że nie umiem jeździć na rowerze, obaj bracia chcieli mnie koniecznie uczyć. Wyszliśmy na powietrze, zapadał piękny, letni zmierzch. Pomagali mi wejść na rower, ale ja niestety bałam się i nawet jeszcze dobrze na nim nie usiadłam, a już traciłam równowagę. Śmiałam się przy tym wesoło i żartowałam. Gdy powróciłam, Rysiek był bardzo zły, znów krzyczał i oceniał źle moje zachowanie. Ja nie mogłam dopatrzeć się w tym nic złego. On mówił, że zachowałam się niepoważnie, wręcz skandalicznie, że wstydził się za mnie. Straciłam dobry nastrój i nic mi się już nie chciało. Byłam taka niepewna wszystkiego, że nawet nie wiedziałam, czy dobrze się zachowałam. On był starszy ode mnie, powinien lepiej wiedzieć. Czułam, że coś jest nie tak. Moja intuicja już wyraźnie mi podpowiadała, że on jest niewiarygodny i jakiś postrzelony. Lecz ja nie chciałam tego widzieć, wolałam się oszukiwać i szybko zapomnieć o tym zdarzeniu.

Potem było wiele sytuacji, w których traciłam do niego zaufanie. Im dłużej znaliśmy się, tym bardziej narastała moja nieufność. Na początku, w pierwszym i drugim roku znajomości, jakoś szybko potrafiłam o tym zapominać. Pożądanie przyćmiewało świadomość i zdolność logicznego myślenia, po prostu działało jak narkotyk. Mój wewnętrzny głos intuicji ostrzegał

mnie jednak już w czasie pierwszych spotkań. Wtedy potrafiłam go jeszcze ignorować, nie ufałam mu, tak jak teraz. Dopiero doświadczenia życiowe nauczyły mnie, że ten głos mówi prawdę. Po prostu on jest Prawdą, a niektórzy mówią, że to głos Boga. W każdym razie jest niezawodny. Wówczas myślałam, że uciszam tylko jakiś wewnętrzny niepokój. W końcu byłam pełna lęków. Niektóre spotkania były przyjemne, pełne ciepła. Często chodziliśmy na tańce, do restauracji na kolację. Rysiek wtedy pił mało, najczęściej piliśmy trochę koniaku, lub szampana. Rysiek dobrze zarabiał, nie musiał ograniczać się w wydatkach. Miał ładne, przytulnie i gustownie umeblowane mieszkanie i samochód.

Od czasu do czasu wyjeżdżałam z nim na wieś, do jego mamy. Z początku bardzo rzadko, gdyż siostra robiła mi wymówki, nie chciała zostawać sama. Poznawała wielu mężczyzn, ale jakoś wszystkie kontakty z nimi szybko się kończyły. Trochę martwiłam się o jej przyszłość, często wracała bardzo pijana. Wiedziałam, że mając taki dom, nie możemy być dojrzałe odpowiednio do swego wieku. Wiedziałam, że ona również na swój sposób, odmienny niż ja, błąka się w ciemnościach. Nie umiałam jej pomóc. Natomiast popełniłam błąd pozwalając się szantażować. Np. mówiła, że ja nie mogę wyjść za mąż, gdyż ona coś sobie zrobi, lub, że nie mogę jej zostawiać samej, bo ona bardzo źle to znosi.

Upřednio nigdy nie byłam tak długo w kimś zaangażowana i ona czuła zagrożenie. Co nieco z tych moich obaw i problemów z siostrą opowiedziałam Ryśkowi. On szybko to wykorzystał w złości przeciwko mnie, mówiąc że obie jesteśmy infantylne. Wiedziałam, jak wiele brakuje mi do dojrzałości, lecz poczułam się dotknięta. W końcu kim on był, że tak łatwo oceniał innych. Czy sam był dojrzały? Oczywiście, że gdyby był dojrzały, to by nikogo nie ranił swymi ocenami. Teraz to wiem, ale wtedy było tyle niewiadomych, tyle niejasności.

Coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że w nim nigdy nie będę miała oparcia, ani zrozumienia, a jednak coś mnie mocno przy nim trzymało. Dużo mu pomagałam, właściwie teraz ja sprzątałam jego mieszkanie, prałam, zmywałam. Robiłam to chętnie, sama ofiarowując pomoc, przecież chciałam, aby było ładnie i czysto. Najczęściej spotykaliśmy się w jego mieszkaniu.

Pewnego dnia Rysiek postanowił odejść z pracy i zacząć swój własny, prywatny biznes.

Często teraz wyjeżdżał z Warszawy. Miał pracownika, który dużo palił papierosów, a wówczas był stan wojenny i papierosy były na kartki. Ja pali-

łam mało. Pamiętam w jak długich kolejkach stałam za papierosami dla tego pracownika. Ja chętnie we wszystkim mu pomagałam.

Razem z siostrą myślałyśmy u niego okna. Nie znosiłam, gdy byliśmy we troje: ja, siostra i on. Zachowywał się tak dziwacznie, że trudno to opisać. Trochę żartował, ale tak, że nikogo to nie śmieszyło. Był bardzo nienaturalny, sztywny i przybierał pozę dorosłego. Patrzył na nas z góry z lekkim cynizmem. Mnie strasznie to irytowało, zawsze wtedy coś powiedziałam i atmosfera była napięta i wroga. Swoją niedojrzałość emocjonalną pokrywał maską dorosłości i robił to strasznie irytująco. Pewnego razu wyjechaliśmy właśnie we troje na święta do jego mamy, na wieś. Była zima, ale taka ponuro-szaro mglista zima. Już wyjeżdżając byłam w złym nastroju, ogarniała mnie melancholia i wszędzie widziałam bezsens. Tam poczułam się jeszcze gorzej. Wieś zimą wygląda ponuro. Chyba, że wszędzie leży śnieg i świeci słońce, wtedy jest pięknie i świat jest taki przytulny jak na rysunkach z bajek. Wówczas było szaro-mgliście i beznadziejnie. Ten zewnętrzny świat był podobny do mego wewnętrznego świata. Był bezbarwny. Czułam beznadziejność i ból, zupełnie dla mnie niezrozumiały. Ukrywałam swój stan ducha. Nie mam pojęcia, na ile udawało mi się go ukryć. Czy w ogóle można ukryć tak złe samopoczucie? Lecz nikt nie zadawał mi pytań. Widocznie mój wygląd mieścił się w granicach normy. Natomiast wewnątrz zapadałam się w gęste ciemności. Zapadająca ciemność za oknem znów zaczęła mnie dusić i więzić w jakimś strasliwym więzieniu. Ledwie wytrzymałam tam dwa dni, chciałam już wracać, lub ściślej mówiąc uciekać, tylko, że nie było gdzie uciekać, ani gdzie się schronić. Wszędzie ta sama gęsta ciemność: w pociągu, za oknem, w domu. W drodze powrotnej patrzyłam przez okno siedząc w pociągu i mówiłam w myślach wiersz Staffa. Wiersz o nocy, który zaczyna się słowami „Czasem zapada straszna noc, głucha, upiorna. Noc beznadziejna, sina i grozą potworna”. Pomyślałam, że wolalabym upiorną, byleby nie pustą, beznadziejną. Nic nie ma gorszego niż pustka, nicość. A ja właśnie tak się czułam, jakbym zapadała się w nicość. Wewnętrznie czułam zimno i martwość.

Gdy powróciłam do domu było jeszcze gorzej. W duchu modliłam się słowami: „Boże ratuj! Ja ginę! Jak dam radę to przetrwać? Skąd czerpać nadzieję na przetrwanie? Może, gdy przyjdzie wiosna, będzie lepiej. Przynajmniej nie będzie tej ciemności. Tylko jak wytrwać teraz. Czy już naprawdę, nigdzie stąd nie można uciec!” Teraz, gdy o tym piszę, wprost nie mogę uwierzyć, że tak można cierpieć i nie załamać się. Przecież tyle razy, już tak bardzo cierpiałam, a jednak szłam naprzód. Tylko nie wiem, co mnie prowadziło, gdyż prawie traciłam nadzieję. Chyba tylko drobne okruszyny

nadziei wiodły mnie poprzez te ciemności. Potem ból trochę ustępował i dalej toczyło się to szare, bezbarwne życie. O tym, że kiedyś będę szczęśliwa w ogóle przestałam marzyć, aby tylko ból się zmniejszył, aby tylko można było jakoś żyć. Jeśli to oczywiście można nazwać życiem.

Opowiadając coś Ryśkowi pewnego razu powiedziałam, że tak się źle psychicznie czułam. Odnosiło się to do przeszłości i tak jakoś niepostrzeżenie wyszło to w rozmowie. Obserwowałam go, jak na to zareaguje. Rysiek bardzo ciepło zapytał: „Czemu nie przyszedłeś do mnie? Napilibyśmy się dobrego koniaku, na pewno lepiej byś się poczuła. W takich chwilach najtrudniej jest być samemu”. – Miałam takie wrażenie, jakby coś niecoś rozumiał i reagował po ludzku. Lecz z nim właśnie tak było, że sprawiał tylko takie wrażenie że rozumie i współczuje, a potem niespodzianie wbijał nóż właśnie w to miejsce, o którym wiedział, że jest czułe. Gdyby wiedział o tym jak czasem bardzo cierpię i jak to cierpienie mnie obezwładnia, jestem pewna, że pewnego dnia powiedziałby, że jestem wariatką, którą trzeba leczyć. Zresztą później, z innego powodu, tak mnie określał. Prawie wszystko, co w przyływie szczerości opowiadałam mu o sobie, wykorzystywał przeciwko mnie.

Czasem, gdy był zły mówił, że jestem jakaś inna, niż wszyscy, jakaś dziwaczna.

Gdy miałam 21 lat musiałam przejść małą operację ginekologiczną. Najpierw pobrano wycinek, potem zdecydowano to coś wyciąć. Bardzo bałam się nowotworu złośliwego. Znowu powrócił obezwładniający lęk i poczucie całkowitej, rozpaczliwej samotności. Długo leżałam w szpitalu, jak na taką małą operację. Lecz ciągle coś było nie tak. Jak nie przeziębienie, to krwawienie. Rysiek rzadko mnie odwiedzał, gdyż ważniejsze były interesy, które teraz prowadził w innym mieście. Ojciec w ogóle nie przyszedł do szpitala. Natomiast dziadek pocieszył mnie, że do szpitala wchodzi się, ale nie wychodzi. Moja babcia i mama umarła na raka. Miałam wiele podstaw do poważnych obaw. Lekarze też mówili, że jeszcze nic nie jest pewne. Dopiero po wycięciu zbadają to dokładnie i będzie coś wiadomo. Strasznie cierpiałam, lecz najbardziej z powodu samotności. Nie miałam z nikim głębszego kontaktu, ale sądziłam, że tak jest normalnie, że inni też tak żyją. Wcale nie dziwiło mnie, że inni tak rzadko mnie odwiedzają. Sądziłam, że wcale nie muszą się mną interesować. Jestem dorosła i sama dam sobie radę. Tylko nie wiedziałam, dlaczego tak strasznie, co jakiś czas cierpię? Czy inni też tak cierpią? Może cierpią i ukrywają to podobnie jak ja? Chodziłam do lekarzy, którzy pracowali na oddziale i zanudzałam ich swoimi obawami. Nie wiedziałam, że szukam ciepła u obcych ludzi, nie mogąc znaleźć go u bliskich. Dwóch lekarzy wspominam z wdzięcznością. Byli ludzcy, cierpli-

wi i naprawdę bardzo dużo mi dali. Potem wiele razy dziwiło mnie to, że od obcych ludzi otrzymałam tak wiele dobrego i tyle życzliwości. Znacznie więcej niż od tzw. bliskich osób. Przetrwałam tę operację i wreszcie wyszłam do domu.

Powrót był straszny. Był grudzień, dzień moich urodzin. Przyszła po mnie siostra, była nadzwyczaj czuła i opiekuńcza. Kiedy weszłam do domu to myślałam, że rozerwie mi się serce.

Ziejąca pustką otchłań, a nie dom. Zamknęłam się w łazience i rozpaczliwie płakałam. Nie wiedziałam, co się za tym kryje, czułam tylko, że cała jestem cierpieniem. Nic we mnie nie ma, oprócz bólu.

Po śmierci mamy zamknęłam się na świat i jego piękno. Wszystko tak jakoś mijało spowite mgłą, jak nieczuciem. Prawdziwej radości w ogóle nie zaznawałam. Wszystko przeżywałam tylko maleńką częścią siebie. Natomiast cierpieniem byłam cała wypełniona. To właśnie cierpienie przypominało mi, że żyję. Spokoju wewnętrznego nie znałam. Nigdy nie czułam się spokojna. Byłam ciągle napięta i wyczekująca następnego ciosu. Jak wystraszone zwierzątko, które ciągle musi uciekać przed zagrażającym wrogiem. Tylko nie rozumiem tego, dlaczego będąc w takim letargu, tak mocno odczuwałam ból?

Miesiąc grudzień i święta Bożego Narodzenia były dla mnie torturą. Przypominały mi szczęśliwe dzieciństwo, ukochaną mamę i życie, które miało sens. Świąteczne wystawy w sklepach, miasto oświetlone, gdzieś choinki, doprowadzały mnie do rozpacz. Czułam ból, tęsknotę i poczucie krzywdy. Odczuwałam ulgę, gdy już minął grudzień i zaczynał się nowy rok, który budził nadzieję, że może będzie lepszy.

Gdy miałam 22 lata umarł dziadek. Chorował wiele lat na cukrzycę, astmę i palił papierosy. Ostatnio kilka razy był w szpitalu z powodu zapalenia oskrzeli. Miał już 89 lat, ale zawsze był żywotny, pełen energii. Odwiedzaliśmy go w szpitalu dość często. Odmalowyaliśmy same jego pokój. Był nawet zadowolony, gdy powrócił. W dość krótkim czasie znów zachorował na zapalenie oskrzeli. Jakoś nie zdawałam sobie sprawy, że to jest dla niego bardzo groźne. Byliśmy u niego i umówiliśmy się za dwa, czy trzy dni. Następnego dnia zatelefonowano ze szpitala, że dziadek umarł. Poszliśmy razem z ojcem. Leżał na tym samym łóżku, miał spuchnięte, sine dłonie i nogi.

Dziwnie wyglądał taki spokojny i martwy. Zrobiło mi się go żal. Pomyślałam, że musiał być bardzo samotny. Nikogo przy nim nie było, gdy umierał. Poczułam się winna, że nie było mnie przy nim. Musiał być również całe życie bardzo samotny. Płakałam, czułam gorycz i jakiś taki wewnętrzny

bunt. Pomyślałam, że to dziwne, że tak bardzo płaczę, przecież zawsze pragnęłam, aby go nie było. Był przecież utrapieniem naszego życia. Dlaczego teraz tak jest mi źle, gdy umarł. Całą drogę do domu płakałam, w domu też płakałam. Zastanawiałam się dlaczego tak płaczę? Myślę, że opłakiwałam nędzę tego świata. Pomyślałam, że on również musiał cierpieć, pomimo tego, że sam zadawał cierpienie innym. Chyba inaczej nie umiał żyć. Lecz w tej swojej dziwaczności też cierpiał z powodu osamotnienia. Wszyscy jesteśmy tacy niedoskonalni, pomnażamy tyle cierpienia i zła na świecie i sami przy tym cierpimy. Szaleństwem jest to życie! Czynimy tyle złego, nie wiedząc o tym. Zastanawiałam się czy była jakakolwiek szansa porozumienia się z nim. Niestety nie było! Ja wykazywałam bardzo dużo dobrej woli, ale to nie zmieniło sytuacji. On był jakoś okaleczony przez naturę. Zastanawiałam się, czy on wiedział, że tyle złego czyni? Gdyby wiedział tak naprawdę, czyli miał tego świadomość, to chyba nie robiłby tego. Wszystko to wydawało się bardzo zagmatwane. Właściwie to dobrze, że jest już w innym świecie, gdzie uwolni się od swoich ograniczeń, przestanie cierpieć i zadawać cierpienie innym ludziom.

Miałam już 23 lata, nadal spotykałam się z Ryśkiem na tych samych zasadach. Nadal prawie nic o nim nie wiedziałam. On był bardzo zamknięty w sobie i nawet nie wiedział, jak można być otwartym i tworzyć głębokie więzi z drugim człowiekiem. Ja również tego nie wiedziałam. Nadal czułam się tak samo nie przygotowana do dorosłego życia.

Czas mijał, a ja nie byłam w stanie na nic się zdecydować. Przyszłości jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, cały czas trwałam w przeszłości, która mnie więziła. Przy Ryśku czułam się napięta i bardzo niepewna siebie.

Moja prawdziwa przyjaciółka

Poznałam koleżankę, która była świadkiem Jehowy i coraz bardziej ją lubiłam. Gdy poznałyśmy się trochę lepiej, dopiero przy niej czułam się zupełnie inaczej, niż w domu, niż przy Ryśku; jakoś tak bezpiecznie i przyjemnie. Zaczęłyśmy coraz więcej i bardziej otwarcie rozmawiać. Bardzo powoli zaczęłam odkrywać prawdziwą siebie przed nią. Dziwiłam się, że im bardziej mnie poznawała tym bardziej mnie lubiła i ceniła zarazem. Chyba pierwszy raz od czasów dzieciństwa zaczynałam przy niej czuć się człowiekiem. Nie marionetką, którą się manipuluje i wykorzystuje do własnych celów. Miała na imię Wiesia. Była kobieca, ładna i delikatna. Miała podobny sposób bycia do mnie, taki pełen rezerwy i dystansu. Lecz była wrażliwą i delikatną dziewczyną. Lękającą się podobnie jak ja psychicznego zranienia. Ona też bardzo długo oswajała się ze mną. Często spotykałyśmy się. Przez kilka lat była dla mnie wsparciem i to w najtrudniejszych momentach.

Gdy miałam 24 lata zachorowała poważnie moja siostra. Cały miesiąc leżała w szpitalu a rokowanie było złe. Codziennie ją odwiedzałam. Jej choroba przyniotła mnie, traciłam siły do życia. Do mojej i tak trudnej sytuacji doszedł jeszcze jeden ciężki kamień. Już prawie ugięłam się do ziemi pod jego brzemieniem. Wiesia dodawała mi sił. Ojciec oczywiście, jak zawsze, nie chciał nic wiedzieć. Rysiek nic nie rozumiał. Dziwił się, po co tak często przesiaduję w szpitalu. Gdy przychodziłam do niego, czekała na mnie praca; jak nie zmywanie całego zlewu brudnych naczyń, to pranie lub prasowanie koszul. Czułam, że moje siły się wyczerpują, każda, nawet drobna praca, wydawała mi się prawie niewykonalna.

Rysiek irtował się na mnie. W końcu przeniosłam się od niego do Wiesi. Ona mieszkała sama w 2 pokojowym mieszkaniu. Byłam jej ogromnie wdzięczna za to, czym była wówczas dla mnie. Rano byłam w pracy, popołudniu w szpitalu u siostry, wracałam błada i bardzo zmęczona wieczorem. Wiesia czasem prasowała mi ubranie, widząc, że zrezygnowana i wyczerpana chciałam założyć nieuprasowaną sukienkę. Mówiłam jej jak bardzo cierpię, a ona słuchała z uwagą i cierpliwością. Często miałam wyrzuty sumienia, że tyle od niej biorę, a ona musi patrzeć na moją smutną twarz. Mówiłam jej o tym, a ona ciepło i poważnie patrzyła i mówiła: „Ty zawsze wszystkim starasz się w niczym nie przeszkadzać. Jesteś taka cicha. Mam wrażenie, że chciałabyś stać się przezroczysta i nie istnieć, aby tylko innym nie zawadzać”. - Wiesia twierdziła, że ja cierpię cicho i z godnością, że wcale jej nie przeszkadzam, że jej „serce się kraje”, gdy patrzy na mnie. Była rzeczywiście

moim dobrym „aniołem”. Pewnego razu przyszedłam do szpitala i zastałam siostrę pod kroplówką, w bardzo złym stanie. Mówiła, że boi się śmierci. Uprzednio cały czas starałam się być pogodna i dodawać jej otuchy. Teraz jednak czułam, że nie dam rady, załamie się i wybuchnę płaczem. Zapytałam się, czy wie jak bardzo martwię się o nią, poczem zaczęły mi płynąć łzy z oczu. Ona nie mogła tego zobaczyć, gdyż wtedy prawie nic nie widziała, ale słyszała mój załamujący się głos. Wyszłam niby do łazienki, a leżąc obok niej kobieta wstała, poszła za mną i powiedziała do mnie, abym nie płakała, gdyż ona potrzebuje otuchy. Sama to wiedziałam, tylko, że już nie byłam w stanie panować nad sobą. Wyszłam na korytarz zatelefonować do Wiesi. Byłam przekonana, że ona doda mi na pewno sił. Telefon nie odpowiadał. Odłożyłam słuchawkę i poczułam ogromne osłabienie. Powoli wracałam do sali chorych, czułam bezwład w ciele i niemożność skupienia myśli, ta sytuacja przerastała mnie, była ponad moje siły.

Gdy już doszłam do łóżka siostry, nagle usłyszałam głos i zobaczyłam wchodzącą Wiesię z pięknym kwiatem. Odetchnęłam z ulgą. Przyszła pomoc, taka jakiej najbardziej potrzebowałam. Wiesia, uśmiechnięta i jak zawsze ładnie ubrana i umalowana, powiedziała: „Chciałam zrobić wam niespodziankę”. - Chyba nigdy tak nie potrzebowałam jej obecności, jak teraz. Już kryzys przeszedł i wiedziałam, że dam radę, nie załamie się. To ona dodała mi nadziei i mocy na przetrwanie. Potem opowiadałam jej co czułam. Ona zresztą widziała to w moich oczach. Była taka kochana i subtelna!

Po pewnym czasie stan mojej siostry zaczął się poprawiać, było coraz lepiej. Nawet lekarze nie mogli uwierzyć, że choroba tak szybko ustępuje. Ja nadal mieszkalam u Wiesi, aż do czasu wyjścia siostry ze szpitala. Również moja Matka Chrzestna bardzo dużo pomogła mi. Przychodziła do szpitala, przynosiła jedzenie dla siostry. Dwie bliskie osoby to bardzo dużo. Sam człowiek, w pojedynkę, nie jest w stanie unieść brzemia, które czasem z takim okrucieństwem zadaje los. W tym okresie bardzo rzadko spotykałam się z Ryśkiem. Po prostu nie miałam dla niego czasu. Już było mi obojętne, czy się obrazi, czy nie. Jeszcze raz przekonałam się, że nie można na niego liczyć. Lecz nie mogłam nadal zdecydować się na zerwanie. Jakaś tajemnicza siła trzymała mnie przy nim; potrafiłam tyle mu wybaczać i zapominać. Miałam takie wewnętrzne przekonanie, że on jest mi przeznaczony i już nie można tego zmienić, tak jak nie można uciec przed przeznaczeniem. Powoli wracałam do pewnej równowagi i sytuacja upodabniała się do poprzedniej. Rysiek namawiał mnie, abym porzuciła pracę i pomagała mu w prowadzeniu biznesu. Zaczął budowę domu na wsi i trzeba było często wyjeżdżać i pilnować budowy, gotować obiady dla robotników. Jego mama była już

starszą kobietą i nie dawała sobie rady. Odeszłam z pracy i przeprowadziłam się do Ryśka.

Siostra poznała swojego przyszłego męża i już mnie nie potrzebowała. Nagle prawie przestałam jej być potrzebna. Właściwie to mnie ucieszyło, poczułam się wolniejsza, ale zastanawiałam się kim ja jestem dla niej. Pewnego razu przyszła, gdy źle się czułam. Miałyśmy obie zrobić obiad, a potem porozmawiać. W pewnej chwili zatelefonowała do swojego chłopaka, po czym powiedziała, że musi szybko wychodzić. Byłam zaskoczona, dlaczego tak szybko, lecz jej już nie było. Kochałam ją i chciałam dla niej szczęścia. Martwiłam się o nią. Byłam przekonana, że ona również mnie kocha. Przecież byliśmy tylko same dwie na świecie i dla siebie najbliższe. Lecz tak wiele razy dziwiło mnie jej zachowanie. Wybaczałam jej i nadal było tak samo. Ciągłe na nowo bywałam zaskoczona i zdziwiona, jak ona mnie traktuje. Trzeba było jeszcze wiele bólu doświadczyć, aby moje nastawienie do niej zmieniło się.

Mieszkałam u Ryśka i powoli uczyłam się, jak być dobrą żoną i gospodynią. Wyjeżdżałam na wieś na kilka dni, lub zostawałam sama w Warszawie, gdyż on wyjeżdżał. Gdy byłam sama zawsze spotykałam się z Wiesią. Teraz mieszkaliśmy blisko siebie. Utwierdzałam się w tym, że zawsze mogę na nią liczyć. Wiesia była dobrym „aniołem w moim martwym świecie”. Ona też miała o mnie podobne zdanie, że jestem niezawodna i prosiła mnie o pomoc, gdy jej potrzebowała. Przywiązałam się do niej i nawet nie wiedziałam, że zaczynam ją kochać, jak gdyby była moją prawdziwą siostrą. Zarem martwiłam się o nią i o jej przyszłość. Czasem była taka samotna i cierpiała. Czasem cały dzień rozmawiałyśmy i nigdy nie mogłyśmy się sobą nasycić. Ciągłe coś ciekawego miałyśmy sobie do powiedzenia. Wybierałyśmy się na długie spacery, było nam dobrze ze sobą.

Pamiętam, że pewnego dnia, wybrałyśmy się na spacer do Łazienek. Była złota jesień, a dzień piękny i pogodny. Zaczął zapadać zmrok, zachodziło czerwone słońce, które zlewało się z czerwienią i złotem drzew. Było zachwycająco pięknie, z rozkoszą podziwialiśmy piękno świata. Zaszło słońce, zaczęła pojawiać się wszędzie taka lekka, delikatna jesienna mgła. Cały dzień czułam się bardzo dobrze i nagle teraz poczułam jakieś ukłucie w sercu, jakąś dziwną tęsknotę. Za czym tak tęsknię? – pomyślałam. Przecież mam tyle co inni, wszystko wokół mnie jest niby normalne. Dlaczego czasem, gdy patrzę na piękne drzewa, zachód słońca to serce jakby wyrывało się boleśnie do czegoś innego, nieznanego mi, ale bardzo upragnionego. Czy można za czymś tęsknić, czego istnienie tylko się przeczuwa jakąś cząstką siebie? Ta tęsknota była silna, wprost bolesna fizycznie. Czy człowiek jest dla

siebie nie odkrytą tajemnicą? Co inni czują w takich chwilach? - myślałam. Ze smutkiem stwierdziłam, że nie mam gdzie wracać. Ten świat, który mnie otacza jest mi obcy. Dla wszystkich swoich bliskich jestem obca, tak odmienna od nich. Tylko dla Wiesi nie jestem obca, ale przecież z nią nie mogę tworzyć rodziny i mieć dzieci. Pożegnałyśmy się.

Wspólne życie bez wspólnoty duchowej i rozwój uzależnienia

Wracalam ze spaceru w Łazienkach zamyślona i bardzo smutna. Wszystko było takie zagmatwane, smutne, ciemne. Czy ja jestem taka skomplikowana i wszystkiemu winna? Dlaczego w żaden sposób nie mogę się nigdzie odnaleźć? Cierpiałam i czułam się winna, że cierpię. Skoro inni żyją podobnie jak ja i nie cierpią - to znaczy, że coś we mnie jest nie tak. Również Rysiek utwierdzał mnie w takim przekonaniu. Zawsze uważałam, że mogę robić wszystko lepiej niż robię. Zaczęłam bardzo dużo czytać książek, z dziedziny filozofii, psychologii. Czytałam również ciekawe i mądre powieści, które zmuszały do zastanowienia. W domu było zawsze czysto, zrobione zakupy i ugotowany obiad. Gdy już to zrobiłam uważałam, że mogę robić to co lubię, czyli czytać. Rysiek zaczął kupować dużo kucharskich i zielarskich książek. Chciał nauczyć mnie dobrze gotować wymyślne potrawy. Ja nie lubiłam gotować. Kazał mi czytać książki o ziołach i przyrządzać mieszanki ziołowe dla niego. Krytykował książki, które ja czytałam.

Czułam się jak w więzieniu. Wszystko było dla niego, nic dla mnie. Teraz gdy to piszę, czuję wściekłość i bunt. Jak mogłam być tak wszystkiego niepewna i tak dać się zniewolić. Teraz odpowiedziałabym, aby sam czytał to co chce i co go interesuje, a ja będę czytać to co interesuje mnie. Wtedy nawet nie potrafiłam tak myśleć. Im bardziej on mi wmawiał, co powinnam robić, tym bardziej czułam się winna, że tego nie potrafię. Oczywiście, wiele rzeczy na początku nie udawało mi się, a on, zamiast dodawać mi otuchy, krytykował mnie i wymagał coraz więcej. A przecież wiedział, jaki był mój dom rodzinny i jak musiało być mi ciężko uczyć się samej wszystkiego. Ja natomiast myślałam, że wszyscy potrafią wszystko lepiej, niż ja, że wszystkiego uczą się prędzej, że ja jestem taką „ofiara losu” i dlatego wszystko tak źle mi wychodzi.

Wiele lat upłynęło, gdy wreszcie zdałam sobie sprawę, że potrafię pracować tak samo jak inni. Gdy zaczęłam porównywać się do innych, byłam początkowo zdziwiona, że ja tyle potrafię. Lecz gdy stawiałam pierwsze kroki jako żona i gospodyni domu, byłam bardzo niepewna. Potrzebowałam wyrozumiałości i ludzkich reakcji. Nade wszystko potrzebowałam pochwał, gdy coś dobrze robiłam. Ryśkowi zawsze zaś było czegoś mało. Mało pieniędzy, mało poważania, mało pochwał. Był nastawiony do świata tak, jak małe dziecko. Wszystko chciał brać pełnymi garściami i nic nie dawać. W ogóle nie zauważał darów, jakie otrzymywał od losu. Chciał dostawać to, co

w danej chwili i zależnie od nastroju chciał mieć. Dlatego też zawsze był niezadowolony i niedowartościowany. Teraz był bardzo pochłonięty pracą. Wyjeżdżał za granicę i był pochłonięty zdobywaniem bogactw, które są na świecie. Oczywiście mam na myśli bogactwa materialne.

Pewnego dnia wyjeżdżając zostawił mi paczkę z pieniędzmi i prosił, abym jej pilnowała. Paczka była owinięta kolorowym papierem i ja nawet do niej nie zajrzałam. Nie przyszło mi do głowy, aby policzyć te pieniądze. Za kilka dni powrócił i zapytał, co ja zrobiłam ze 100 dolarami. Nie rozumiałam, co miał na myśli. Rysiek zaczął mi wyjaśniać. Zrozumiałam, że on podejrzewa mnie o to, że ja wzięłam dla siebie te pieniądze. Patrzyłam na niego i nie mogłam temu uwierzyć; nogi uginały mi się w kolanach. Byłam zaskoczona i zszokowana. Czy on mówi poważnie? Czy naprawdę myśli, że ja mogłabym choć jeden grosz komuś zabrać? Czy aż tak mnie nie zna? Przecież ja nigdy nawet nie mogłabym pomyśleć o tym? Gdy patrzyłam na niego zrozumiałam, że on obwinia mnie, że ja to uczyniłam! Po chwili Rysiek wyszedł. Zatelefonowałam do ojca i płacząc, opowiadałam mu o tym. Musiałam natychmiast to komuś powiedzieć. Czułam się tak bardzo skrzywdzona, że chciało mi się wyć z bólu. Długo spazmatycznie płakałam. Miałam zamęt w głowie i bezwład w ciele. Nie byłam w stanie nic zrobić, nic przemyśleć. To było dla mnie ciosem obezwładniającym, zwalającym z nóg. Czułam się tak, jakbym pogrążyła się w gęstych, oleistych i brudnych ciemnościach. Tak jakbym topiła się w bagnie. Wtedy nie wiedziałam tego, że ludzie patrzą na świat i na innych ludzi poprzez siebie. On sądził mnie według własnej mentalności. Lecz to, co jemu wydawało się możliwe, mnie wydawało się niemożliwe. To nie mieściło się w moim świecie. Przecież jest jakaś granica za którą człowiek przestaje być człowiekiem. Dopiero po latach zrozumiałam to, że każdy ma inną tę granicę. Wówczas bardzo cierpiałam i nie mogłam tego zrozumieć. Czułam się tak, jakby Rysiek mój czysty świat wewnętrzny brukał gnojem. Nie mogłam sobie z tym poradzić. Całymi nocami myślałam nad tym. Opowiedziałam o tym jego mamie. Ona pocieszała mnie, mówiła abym się nie przejmowała tym co on mówi, gdyż on mówi wiele idiotycznych rzeczy. Już tak wiele razy czegoś szukał, innych posadzał, a potem to się znajdowało. Mama mówiła, że jest nie zrównoważony psychicznie i nie ma co tego brać poważnie. Po pewnym czasie pieniądze znalazły się w jakiejś szufladzie między papierami. Rysiek posadził mnie, że to ja je tam podrzuciłam. Oczywiście, on je tam znalazł i powiedział, że to jest ten sam banknot. Myślę, że nie zrobił tego specjalnie, tylko przez nieuwagę. Wiedziała, że tylko on mógł je tam zgubić. Po takim wydarzeniu, mogło pozostać tylko jedno wyjście. Nic nie tłumaczyć, w ogóle nic nie

mówić, tylko wyjść i nigdy nie wrócić. Nigdy już nie rozmawiać z takim człowiekiem. On nic o mnie nie wiedział, zupełnie nic. Nie było żadnych szans na normalny związek. Dlaczego tego wówczas nie uczyniłam? Co, po takim wydarzeniu, mogło mnie przy nim zatrzymać? Czy jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość mogły jeszcze pozostać? Teraz ta sytuacja jest dla mnie zrozumiała i jasna, dobrze wiedziałabym jak postąpić. Dobrze wiedziałabym, co może nastąpić potem. Ale wtedy nie wiedziałam. Ja nic nie wiedziałam o życiu. Moje zagubienie osiągnęło szczyt.

Przestałam rozumieć, co należy do rzeczy możliwych, a co do niemożliwych. Utknęłam w jakimś koszmarnym śnie, który zaprzeczał istnieniu rzeczywistości. Czułam, że już bardzo oddaliłam się od Prawdy i światła. Bałam się, że już jej nigdy nie odnajdę. Gdzie mam szukać tego co pragnę odnaleźć? Czułam, że nie jestem w stanie tak dłużej żyć. Ale przecież nie ma innego życia. W moim domu jest jeszcze gorzej. Nie ma innego świata, niż ten koszmarny wokół mnie. Przecież tyle już przeszłam dróg, poszukując czegoś innego i niestety nic nie znalazłam. Dlatego chyba tkwiłam przy tym człowieku, który był mi obcy. Byłam jakoś boleśnie przykuta do niego, lecz oderwanie mogło być jeszcze boleśniesz.

Przy nim przynajmniej żyłam jego życiem, ze mnie pozostała nicość. Już jakoś mnie nie było. Nie chciałam powracać do tej nicości, już wszystko było od niej lepsze. Sama siebie gdzieś zagubiłam, teraz koncentrowałam się na nim i to stwarzało złudzenie „bycia”. Nic nie było w stanie oderwać mnie od niego, dopóki nie wypięłam do końca „swojej czary goryczy”. Cierpiałam, lecz byłam z nim.

Dużo czasu przebywaliśmy na wsi, tam trwała budowa domu. Dużego domu w stylu dziewiętnastowiecznego dworku. Rysiek był pochłonięty pracą i zafascynowany planami na przyszłość. Ten dom podobny do dworku był jego marzeniem. Nie mogłam jednak wyobrazić sobie zamieszkania w nim. Rysiek planował, że będziemy mieszkać w Warszawie, a latem w tym domu na wsi. Wszystko to wydawało mi się nierealne. Wielki dom tylko na lato i święta. To wszystko, co mówił i planował przypominało raczej ubiegłą epokę. Ja obawiałam się, że ten dom będzie ciężarem i ograniczeniem jeszcze większym mojej i tak już ograniczonej wolności. Podstawą wszystkich moich obaw o przyszłość, była moja nieufność wobec Ryśka. Już wiedziałam na co go stać. Lecz gdy mury stawały się coraz większe i już było widać kształt domu, to jakoś mnie wciągało i cieszyło. Miałam złudzenie, że może między nami jakoś wszystko się ułoży. Tak jakby mógł długo stać dom nie mający fundamentów. Moja nadzieja była ślepa, nie miała oczu na pewno, gdyż nic nie świadczyło o tym, że będzie lepiej; mogło być jedynie gorzej. Rysiek

był ożywiony i radosny. Firma dobrze prosperowała, miał więcej wolnego czasu. Zaczęliśmy wyjeżdżać na kilkudniowe urlopy w różne miejsca Polski. Bardzo lubiłam te podróże, które chociaż były krótkie, ale dużo można było zwiedzić. Sprawiała mi przyjemność szybka jazda dobrym samochodem. Kupiłam sobie kilka ładnych ubrań. Dużo nigdy nie potrafiłam kupować, gdyż zawsze uważałam, że nie potrzebuję zbyt dużo rzeczy. Kupowałam tylko to, co było niezbędne.

Jakoś nigdy nie uważałam, że jego pieniądze są w jakiejś części moje. Zawsze będąc z nim, czułam się gościem w jego domu. Nigdy nie czułam się tak jakbym była u siebie. Byłam obcym przybyszem, który, gdy nadejdzie czas, odejdzie. Wszystko to, co tak szybko się zmieniało wokół mnie, również mnie odurzało. Było mi przyjemnie jeść kolację w najlepszej restauracji, mieszkać w najlepszych hotelach, pić drogie alkohole, palić drogie papierosy. Wiedzieć, że stać nas na wiele więcej niż przeciętnych ludzi. To stwarzało przynajmniej złudzenie bezpieczeństwa. Lubiałam najbardziej wyjazdy w góry. Wszystko to chwilowo odrywało mnie od siebie i bólu. Byłam zauroczona. Często też piłam alkohol na takich wyjazdach. Oczywiście w małych ilościach, ale to też dopomagało w tym ogólnym odurzeniu.

Wmawiałam sobie, że jestem szczęśliwa, że przecież każdy byłby zadowolony na moim miejscu. Inni też mi to mówili. Tę krótką radość i zauroczenie chciałam usilnie nazwać szczęściem. Pamiętam jeden taki wyjazd na kilka dni. Wybraliśmy się w piękne góry. Było lato, miesiąc czerwiec, wszystko wokół było świeże i piękne. Ciepło, słońce i wokół góry. Byliśmy w jednym z ładniejszych hoteli, który był położony w samych górach. Z okien był piękny widok. Zjedliśmy dobrą kolację i wypiliśmy wino. Teraz leżeliśmy w pokoju na pięknym, szerokim i wygodnym łóżku. Czułam błogie rozleniwienie i zaspokojenie. Z rozkoszą patrzyłam na zielone świerki, które porastały góry. Zapadał piękny, letni zmierzch. Senna szarość zaczęła ogarniać świat. Przymknęłam oczy, byłam trochę znużona długą jazdą. Nagle poczułam ból i lęk. Jakiś nieskonkretyzowany lęk, który poraził mnie jak błyskawica. Zupełnie nie spodziewałam się go w tej chwili. Przecież miałam być szczęśliwa! Co to znaczy? Nie byłam w stanie skupić się na tym, chciałam znów zapomnieć, niczego nie rozgrzebywać, nic nie rozumieć.

Powiedziałam Ryśkowi, że schodzę do restauracji napić się alkoholu.

Rysiek poszedł ze mną. Czułam jakieś ssanie wewnątrz, musiałam natychmiast się czegoś napić, czegoś co pomogłoby mi nie czuć i nie myśleć. Szybko wypiałam drinka. Rozchodzące ciepło po całym ciele już pomagało zapomnieć, zapomnieć, że gdzieś we mnie jest ból i protest na to wszystko co robię, na wszystko co mnie otacza. Ten ból, który za wszelką cenę chciałam

zignorować, był ostrzeżeniem, że wybrałam złą drogę. On tak głośno krzyczał we mnie, a ja używałam wszystkich swoich mocy, aby go nie słyszeć. Jeśli człowiek jest nie przygotowany na Prawdę, uczyni wszystko, aby jej nie zobaczyć. Ja oczywiście nie wiedziałam tego, że uciekam przed Prawdą. Gdybym wtedy mogła uwierzyć w to, że nawet bardzo cierpiąc mogę ją odnaleźć, to bym zdecydowała się na to. Wówczas jednak myślałam, że ten ból jest częścią mnie, że on zawsze będzie ze mną. Sądziłam, że jedyna droga, to wyparcie go i skupienie się na tym co dobre. Nie wiedziałam, że uczucia są nam dane po to, aby nas ostrzegały, aby mówiły nam, co dla nas jest dobre. Właściwie uczucia są mową naszej duszy, dzięki nim możemy mieć kontakt z samym sobą. Człowiek jest genialnie skonstruowany, tylko nie umie tego wykorzystać a nawet nie potrafi tego dostrzec. Tego wszystkiego wówczas nie wiedziałam. Uważałam, że jeśli na zewnątrz jest wszystko dobrze, to musi być również dobrze mojej duszy. Zadawałam gwałt samej sobie, nie znając siebie, tylko sądząc siebie według innych. Teraz rozumiem, że w takiej samej sytuacji, jeden człowiek może być szczęśliwy, a drugi nieszczęśliwy. Ja tego wtedy nie chciałam wiedzieć, nie chciałam dostrzegać swojej inności i odrębności. Pragnęłam upodobnić się do innych, zlać się z „całością świata”. Nie czuć tej dokuczliwej odrębności i izolacji. Uważałam, że wszystko, czym różnię się od innych jest złe. Czasem dostrzegałam to, że wewnątrz jestem znacznie bogatsza od innych. Niektórzy ludzie czasem sprawiali wrażenie, że w ogóle nie mają wnętrza, że są bardzo płytki. Lecz mój świat wewnętrzny był wypełniony ciemnością, lękami, beznadziejnością. Był przerażający, lękałam się go. Nie chciałam o nim nic wiedzieć. Uciekałam przed nim. Choroba i śmierć mojej mamy zrodziła we mnie przekonanie, że ból może być tak straszny i przerażający, że można od niego umrzeć. Przez krótki moment widziałam czeluście bez dna, przerażające swoją głębią i straszną tajemnicą, przerażające bezmiarem i głuszą... Sądziłam, że gdy zajrzę w swoją duszę, to wszystko to znów zobaczę. Bałam się tajemnic kryjących się we własnej duszy. Postanowiłam zapomnieć o sobie i spróbować żyć poprzez innego człowieka. Właśnie tak mniej więcej zaczyna się uzależnienie od innych ludzi. Obecnie wiem, że uzależnienie jest drogą do śmierci. Lecz wtedy myślałam, że skazując siebie na śmierć wewnętrzną, odnajdę życie w innym człowieku. Wszystko to działało się nieświadomie. Wówczas łudziłam się, że wszystko jest dobrze, że jestem szczęśliwa, lub raczej, że muszę być szczęśliwa. Pozornie tak się mogło wydawać. Byłam zawsze uśmiechnięta, ładnie ubrana, zawsze umalowana. Wszyscy mówili, że promieniuję świeżością i młodością, że mam tyle energii i życia w sobie. Czasem tylko, gdy nikt na mnie nie patrzył, siadałam w kącie i

wypatrywałam dali; czułam tęsknotę i pustkę. Tęskniłam za samą sobą, za miłością, której przeczuwałam gdzieś istnienie.

Moja przyjaciółka Wiesia, mówiła mi, że czasem widzi taki smutek w moich oczach, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziała. Właśnie ona najwięcej wiedziała o mnie, najlepiej mnie знаła. Pragnęłam być przy niej naturalna, ale już nie potrafiłam. Za bardzo zamknęłam się na świat. Wiesia, mój promyk jasności i nadziei, wyjechała do Kanady. Bardzo to przeżyłam. Z jednej strony cieszyłam się, gdyż wiedziałam, że jej będzie tam lepiej, z drugiej strony tęskniłam za nią. Miałam nadzieję, że tam ułoży sobie życie rodzinne, że będzie jej lepiej, że nie będzie czuła się samotna.

Pragnęłam dla niej szczęścia, kochałam ją i cieszyło mnie wszystko, co zmieniało się na lepsze w jej życiu. Lecz również było mi smutno, że wyjeżdża. Potrzebowałam jej, gdyż przy niej czułam się bezpiecznie. Ona jedna mnie nie krzywdziła i nie wykorzystywała dla swoich celów. Między mną a nią był normalny ludzki stosunek obopólnej akceptacji, tolerancji, współodczuwania i wzajemnej pomocy. Samo to, że istniała, że ją spotkałam, dawało nadzieję na ludzki świat i na to, że może kiedyś spotkam kogoś, takiego jak Wiesia. Już wiele lat upłynęło, odkąd wyjechała Wiesia. Myślę, że ona nawet nie wiedziała, ile dla mnie znaczyła i jak wielką rolę odegrała w moim życiu. Była światłem w ciemnościach mego świata.

Nasz dom był już zbudowany. Trwały jeszcze prace wykończeniowe wewnątrz. Tak bardzo chciałam Wiesię zaprosić do niego, lecz już nie zdążyłam. Pisałyśmy do siebie listy i wysyłałyśmy fotografie. Wiesia czuła się tam dobrze. Dużo się uczyła, poznała wielu ludzi. Listy, które przysyłała były pełne optymizmu. Dla mnie to było najważniejsze, że jest jej dobrze. Wszystko to łagodziło smutek po rozstaniu.

Dom jeszcze nie był wykończony, a już odczułam brzemię z nim związane. Mama Ryśka złamała nogę i leżała długo w szpitalu. Ja wtedy kończyłam kurs prawa jazdy. Musieliśmy na zmianę przebywać w nim po kilka dni. Ponieważ cały czas pracowały tam ekipy robotników, było to bardzo uciążliwe. Właśnie nastała późna jesień a w starym domu były prymitywne warunki higieniczne. Nie było łazienki, co dla mnie było ważne. Było mi tam źle. Rysiek oczywiście bardzo się złościł, gdy mu to mówiłam. Czasami wpadał w szal i krzyczał. Czułam się wtedy pokrzywdzona przez los. Wydało mi się, że mnie przypadają tylko ciemne strony życia. On chciał mieć dom a ja musiałam go pilnować. Czy tego chciałam, czy nie.

Wewnątrz wszystko się we mnie buntowało. To jest niesprawiedliwe - myślałam. Gdy mówiłam mu, że źle się z tym czuję, on zaraz wyliczał wszystkie moje wady. Wrzeszczał i obrzucał mnie winą, że jestem taka głupia i nic

nie rozumiem. Mówił, że on musi wszystko robić, a ja nawet nie chcę mu pomóc. Nie dość, że wykorzystywał mnie, ranił boleśnie słowami, to jeszcze czuł się pokrzywdzony, że ja w ogóle śmiem coś mówić na ten temat. Jego zdaniem powinnam ślepo słuchać i wykonywać wszystko to co on uważał za słuszne. Lecz mnie to nie wydawało się ani słuszne, ani naturalne. Ja miałam inne pragnienia, inne potrzeby, wszystko spostrzegałam odmiennie niż on. Za to również słyszałam gorzkie słowa. Tak jakby on miał monopol na całą Prawdę i Mądrość tego świata. Wszystko, co ja uważałam za mądre było dla niego głupie i nierealne. Kiedy tak krzyczał, bardzo przypominał mi mojego dziadka. Zastanawiałam się dlaczego, będąc krzywdzona w dzieciństwie, teraz również pozwalam się krzywdzić? Czy tylko taki los jest mi pisany? Czy ja ściągam same nieszczęścia z otaczającego świata? Co to znaczy? Dlaczego tak jest? Myślałam, że jedyną drogą jest przystosowanie się do tego, co los niesie. Ileż energii kosztowało mnie przystosowywanie się do Ryśka i próba patrzenia na świat z jego punktu widzenia. Ileż gwałtu musiałam sobie zadać! Tylko dlaczego ja to robiłam? Co mną kierowało, gdy pozwalałam się krzywdzić?

Nie tylko musiałam mu pomagać, ale również wolny czas spędzać tam gdzie on chciał, a święta spędzać tak, jak on chciał. Mnie, jako osoby i jako człowieka, nie było w niczym i nigdzie. Właściwie każdy problem, każdą przeszkodę chciałam jakoś przetrwać, nie rozwiązywać jej, nie dociekać, nie rozumieć tylko przetrwać i dalej iść drogą, która prowadzi w nieznane. Czasami miałam wrażenie, że ciąży na moim życiu „jakieś fatum”, które prowadzi mnie tam, gdzie nie chcę iść. Nie wiedziałam, co za tajemnicza siła mnie prowadzi. Nic nie rozumiałam, we wszystkim się gubiłam. Jaki drogowskaz wskazywał mi drogę, tego nie wiem. Takiego drogowskazu w ogóle nie miałam.

Alkoholizm męża i współuzależnienie

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, które spędzaliśmy na wsi. Rysiek zaczynał pić alkohol. Źle się tam czułam i pragnęłam, aby czas szybko płynął i znów trzeba było jakoś przetrwać te święta. Życie, którego każda chwila jest droga, niepowtarzalna i pełna głębi, ja pragnęłam tylko przetrwać. Może miałam nadzieję, że kiedyś to wszystko się zmieni. Bo jeśli chciałam przetrwać życie, to czego oczekiwałam - „śmierci”? Co dawało mi siłę do przetrwania?

Kiedy nie było przy mnie Ryśka czułam się lepiej. Chociaż na chwilę łapałam głęboki oddech i mogłam robić to co lubię. Dużo czytałam i zastanawiałam się nad tym, co czytałam. Czułam, że popełniam jakiś podstawowy błąd, który czyni życie nieznośnym. Lecz nie rozumiałam tego co robię, to pozostawało jeszcze długo tylko mglistym przeczuciem. Przy Ryśku stawałam się martwa, pusta wewnątrz i wystraszona. Próbowalam usilnie stać się taką, jaką on chciał mnie widzieć, gdyż będąc prawdziwą od początku mu nie odpowiadałam. Tylko, że nie miałam pojęcia, jaką powinnam się stać, aby mnie pokochał. Z tego co mówił, nie można było nic zrozumieć. Tak pragnęłam, aby mnie pokochał właśnie on. Już tylko mgliście pamiętałam, jak wygląda miłość, która była w oczach mamy. Potem już nikt mnie nie kochał. Dziadek nie akceptował i wyśmiewał, ojciec nie zauważał, że żyję. Mężczyźni, których spotykałam widzieli tylko ładne ciało. Dlaczego nie ma miłości w moim świecie? Może jej w ogóle nie ma? Natomiast świat, w którym była miłość, sens i dobro odszedł razem z mamą i może nigdy nie powróci? - myślałam. Po co ja żyję w tym martwym świecie? Nie ma żadnego znaczenia, czy jestem, czy mnie nie ma. Stanowię wartość mebla, a nie człowieka. Tak pragnęłam stać się człowiekiem, poczuć, że jestem! Rysiek coraz bardziej wgniatał mnie w ziemię. On oczywiście nie był świadom tego co czyni ze mną i w ogóle nad tym się nie zastanawiał. Należał do ludzi, którzy przechodząc depczą całe pola kwiatów i tego nie zauważają, a jeśli to zauważą to i tak myślą, że kwiaty też powinny czemuś konkretnemu służyć. A jeśli nie służą, to nie ma znaczenia, czy są, czy ich nie ma. On wszystko spostrzegał na zasadzie przydatności dla siebie i ludzi też tak traktował. Jeśli w jakimś momencie byłam mu niezbędna do jego celów, to nadawał mi wartość. Kiedy nie byłam mu potrzebna, to przedstawiałam cokolwiek znacząc. W ten sposób traktował mamę i wszystkich ludzi.

Pewien mężczyzna, który pracował razem z moim mężem zwrócił moją uwagę. Był przystojnym brunetem i sprawiał wrażenie delikatnego i na pew-

no bardziej ludzkiego, niż mój mąż. Nic właściwie o nim nie wiedziałam, ale jakaś siła ciągnęła mnie do niego. Zaczęło się od tego, że spostrzegłam, iż on widzi we mnie kobietę i to bardzo atrakcyjną. Na przyjęciu z okazji imienin mojego męża byliśmy wszyscy trochę podpić i on zaczął mówić mi komplementy. Nie mógł oderwać oczu ode mnie. Wcześniej lubiłam go, teraz zaczęłam ciągle o nim myśleć. Bardzo chciałam, abyśmy się zaprzyjaźnili z nim i jego żoną. Pewnego razu byliśmy do nich zaproszeni. Nie mogłam zasnąć, tak bardzo byłam podekscytowana. Rysiek gdyby coś spostrzegł, mógłby się uśmiechać dobrodusznie, krytykować i mieć żal o to. Jak zwykle u niego nie można było nic przewidzieć.

Ukrywałam przed nim to uczucie, którego sama nie potrafiłam nazwać. Kiedy byliśmy już u nich, byłam spięta i zdenerwowana. Staralam się udawać, że w ogóle na niego nie patrzę. On pokazywał mi cały dom, gdyż ja jeszcze nigdy tam nie byłam. Rysiek był u nich już wcześniej, łączyły ich sprawy zawodowe i często się widywali. Kiedy on był blisko mnie, czułam takie dziwne odurzenie i ciepło. Bardzo szybko upłynął ten czas, gdy tam byliśmy. Wracając zastanawiałam się, co ja mogę czuć do niego. Właściwie, to ja nic o nim nie wiem. Co to jest, co mnie tak do niego przyciąga? Czemu on, którego w ogóle nie znam, wydaje mi się bliższy od mojego męża? Dlaczego tak mocno bije mi serce, gdy go widzę? Dlaczego jego twarz prześladuje mnie wszędzie? Długo zastanawiałam się nad tym. Gdy miał przyjść do nas, wyczekiwałam go w napięciu. Gdy już przyszedł, czułam się jak sparaliżowana. Chciałam być przy nim, patrzeć na niego i rozmawiać z nim. Ale nie dawałam sobie prawa do niczego. Uważałam, że powinnam być lojalna wobec Ryśka i nawet uczucia tłumić. Bywało tak, że bardzo długo go nie widziałam. Wówczas tęskniłam za nim i za tym uczuciem, które zamierało, gdy go nie widziałam. Ale gdy go widziałam, to mimo, że starałam się je stłumić, ono i tak zwyciężało moją wolę. Czułam to, jak słabła moja wola, ale przynajmniej czułam, że życie płynie we mnie. A tak, gdy tłumiłam uczucie, to byłam lojalna wobec męża, ale byłam martwa. Ja byłam martwa i świat wokół mnie był martwy. Zupełnie jakbym była już w świecie umarłych. Tylko czasem ból, który zadawał mi Rysiek budził mnie boleśnie z uśpienia.

Pewnego wieczoru na wsi napiłam się trochę alkoholu z jakiejś okazji.

Poczułam tak ogromną tęsknotę za nim, że poszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i płakałam. Tęskniłam za życiem, za miłością, za innym światem. Długo płakałam i czułam rozrywający ból. Potem wzięłam książkę i czytałam wiersze Staffa, one zawsze były lekarstwem na moją chorą duszę. Przeczytałam kilka ulubionych wierszy i nagle przez chwilę poczułam, że moja dusza budzi się do życia i wyrывa się boleśnie z więzienia

mojej niedoli. Pragnie rozwinąć skrzydła i odlecieć z tej ciemności i bez nadziei. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że bardzo cierpię w tym świecie, że pragnę czegoś zupełnie innego, że chyba już długo tego nie wytrzymam. Miałam przeczucie, że kiedyś uda mi się zerwać te kajdany niewoli. A wtedy, nawet nie oglądając się za siebie odejdę i może będę szczęśliwa. Przez chwilę poczułam, że mam w sobie ogromną moc, że wiele potrafię znieść i udźwignąć, byleby tylko odnaleźć ten inny świat, do którego wyrwa się moja dusza. Poczułam w sobie taką moc, że aż się trochę przestraszyłam, wstrzymałam oddech i nadśluchiwałam bicia swego serca. Serce mocno biło a ja jakbym słyszała jego głos, który mówił, że kiedyś nadejdzie czas zwycięstwa. Kiedyś obudzę się i wszystko wokół się zmieni. Ta chwila była bolesna, lecz zasiała w mojej duszy nadzieję, nawet prawie pewność, że kiedyś tak się stanie. Uspokoiliłam się i zasnęłam.

Gdy rano wstałam, byłam rozbita i nie mogłam zebrać myśli. Miałam wrażenie, że byłam gdzieś daleko w innej krainie, w której było słońce i kwiaty. Ta kraina była obietnicą. Westchnęłam z ulgą. Wstający dzień znów nakładał ciężar i jarzmo codzienności na moje plecy, ale powstała myśl, że może pustynia też kiedyś zakwita. To niezrozumiałe dla mnie uczucie, którym darzyłam innego mężczyznę, budziło we mnie nieznane dotąd pragnienia i potrzeby. Będąc w kościele modliłam się, aby o nim zapomnieć. Gdy zobaczyłam kogoś, kto go trochę przypominał, biło mi serce. Pomyślałam, że modłę się aby przestać o nim myśleć, ale przecież tylko to jedno w moim życiu budzi mnie z martwoty i bezsensu. Jeśli to minie, to znów będzie ciemność.

Było mi ciężko, nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. Lecz najważniejsze dla mnie było pozostać wobec siebie czystą i lojalną. Czułam się winna za to uczucie. Wiedziałam, że Rysiek byłby zły, gdyby się o tym dowiedział. Czułam zamęt, nie mogłam sobie z tym wszystkim poradzić. Prosiłam Boga o ulgę i o pomoc. Rysiek i ten kolega wspólnie wybierali się w podróż w interesach. Jak bardzo zazdrościłam Ryśkowi, że może z nim wyjechać. Jak bardzo pragnęłam z nimi wyjechać.

Wcześniej rano, ubrana w szlafrok pomagałam Ryśkowi w ostatnich przygotowaniach. Zrobiłam im kawę i podchodząc do fotela na, którym on siedział, zawadzając o torbę lekko się potknęłam i rozchylił mi się szlafrok tak, że było widać całe nagie udo. Nie miałam nic pod szlafrokiem. Widać było, że on zamarł z wrażenia. Ja zaczerwieniłam się i też zamarłam. Byłam tym również zaskoczona. Przez moment poczułam ciepło i podniecenie. Pomyślałam o tym, jak dobrze by było znaleźć się w jego ramionach. Lecz gdy tylko uświadomiłam sobie te myśli, natychmiast starałam się o tym nie

myśleć. Miałam wypieki na twarzy i byłam całkowicie rozbita. Jaka ja byłam wówczas zagubiona. Ciągłe czułam się winna. Tak jakbym nie miała prawa do niczego, nawet do życia. Czasem bezwiednie marzyłam o tym, że on dotyka mojej dłoni, że idziemy i trzymamy się za ręce.

Gdy pomyślałam o pocałunkach, to zaraz czułam blokadę i poczucie winy. Nie mogłam nawet o tym marzyć. Gdybym to robiła, to stałabym się jeszcze bardziej obca sobie i nienawistna. Już i tak miałam tyle sobie do wybaczenia. Nie chciałam czuć się winna, nie chciałam nikogo krzywdzić. Ja tylko chciałam żyć i czuć się człowiekiem. Czuć się kobietą, którą się podziwia, pragnie i widzi w niej człowieka. To właśnie jego obecność budziła we mnie te pragnienia. Przy swoim mężu czułam się przedmiotem. Rysiek potrafił wiele we mnie zabić, ale pragnienia stania się człowiekiem jednak nie zabił. Dla niego budowa domu była ważniejsza, niż wszystkie moje uczucia i potrzeby.

Dom był już prawie gotowy. Teraz pozostało urządzić go meblami, dywanami i wieloma drobiazgami. Często przebywałam tam, gdyż dużo było pracy przy sprzątanii. Dom był duży i takie prace jak: mycie okien, podłóg, drzwi należały do mnie. Robiąc to wszystko zastanawiałam się dla kogo jest zbudowany ten dom. Duży dom, w którym jest pustka. Był przeraźliwie pusty, nawet po zastawieniu go meblami. Już był urządzony, ale nadal nie był domem. Rysiek był ustawicznie niezadowolony, markotny i napięty. Często krzyczał na mnie, na mamę. Z byle powodu wybuchały wielkie kłótnie. Ten dom, który z takim trudem zbudował, miał być lekarstwem na jego chorą duszę. Dom był już gotowy, lecz jego dusza była jeszcze bardziej chora. Rysiek wyglądał tak, jak zamknięty w klatce lew. Był coraz bardziej agresywny, kłótniwy i nieszczęśliwy. Jego twarz była ustawicznie napięta, zgryziona, pełna lęków i nienawiści. Czasem wyglądał jak obłąkany. Ja wraz z jego mamą martwiłyśmy się o niego. Teraz, gdy przyjeżdżaliśmy tam na sobotę i niedzielę prawie zawsze pił alkohol. Pił dużo, aż do utraty świadomości. Prawie zawsze, gdy pił był agresywny i miał pretensję do całego świata. Był również bardzo pobudzony i chodził po całym domu, szukał czegoś, słuchał głośnej muzyki. Wyglądał jak dzikie zwierzę gotowe do skoku i ataku. Kiedy byłyśmy z nim same, bałyśmy się go. Całe noce tak siedział, pił i słuchał głośnej muzyki. Czasem popołudniu wyjeżdżał gdzieś samochodem i długo nie wracał. Czekałyśmy na niego z obawą w sercu. Wiele razy przyjeżdżał samochodem bardzo pijany, tak pijany, że nie mógł wyjść z auta.

Siedziałyśmy obie późno w nocy mając świadomość, jakie grożą mu niebezpieczeństwa. Próbowaliśmy dodawać sobie otuchy i nadziei, że może i tym razem jakoś powróci cały i zdrowy. Ta wspólna troska o niego zbliżała

nas. Bardzo przywiązałam się do jego mamy i ona też mnie polubiła. Martwiła się o moją przyszłość. Zawsze, od początku naszego poznania mówiła, że jestem za delikatna dla Ryśka, że szkoda mnie dla niego. Często słyszała, jak on na mnie krzyczał i broniła mnie. Była jego matką, ale zawsze była obiektywna. Rysiek często krzyczał i przezywał mnie, ja nie umiałam krzyczeć. Po takiej scenie długo cierpiałam. Jego mama widziała to i pocieszała mnie jak umiała.

Mieliśmy pracownika, pana Henryka, który na stałe zamieszkał w domu. Mama bała się zostawać w domu sama. Pan Henryk dużo pił, ale był uczynnym i oddanym pracownikiem.

Dom był wygodny, obok mojego pokoju była duża łazienka. Miałam swój pokój, z którego był piękny widok. Było widać staw zarośnięty drzewami, dalej rozległe pola i horyzont. Zawsze dobrze czułam się wśród przyrody. Miasto działało na mnie przygnębiająco, odbierało mi energię. Przyroda dodawała mi sił i witalności. Dom był otoczony ogromnym ogrodem, a właściwie parkiem. Gdy tylko przyjeżdżałam, oglądałam każde drzewo i krzak. Jak było pięknie, gdy wszystko wiosną zakwitło. Mogłam tak patrzeć i podziwiać to piękno godzinami. Jak inaczej wygląda niebo w mieście i na wsi. W mieście wszędzie ogranicza widok beton. Tu nieboskłon schylał się do ziemi. Wydawało się, że niebo dotyka łańców zbóż, że chmurki płyną tuż nad głową. Wszystko było takie bliskie, przyjazne, piękne.

Latem leżałam na leżaku i obserwowałam drzewa, które kołysał wiatr; niebo, które ciągle zmieniało swoją barwę; ptaki poruszające się swoimi tajemniczymi szlakami. Leżąc wygodnie wdychałam zapach świata, stawiałam się jego częścią. Byłam tylko ja i przyroda. W takich chwilach czułam wolność i jedność z Wszechświatem. Było mi dobrze. Gdyby nie Rysiek ze swoją wiecznie zgryzioną twarzą, czułabym się tam dobrze. Lecz on wszędzie wnosił ze sobą niepokój, niezgodę i beznadziejność. Czasem zostawałam tam sama, gdyż on musiał wyjechać w ważnych sprawach do Warszawy. Wtedy czułam się dobrze. Czas płynął leniwie, wokół była tylko przyroda. Lubiłam takie ciche, spokojne wieczory. Szczególnie zimą, gdy palił się ogień w kuchni, zapadał szary zmierzch i ten ogień, który tak kontrastował z szarością świata, stawał się jakby jego sercem. Siedzieliśmy razem we troje: ja, mama i pan Henryk. Smażyliśmy placki na kolację i było nam dobrze. Tworzyliśmy małą część świata, a ogień ogrzewając nas i oświetlając swoim blaskiem, budził w nas ludzkie ciepło.

Mama Ryśka bardzo lubiła, gdy ja przyjeżdżałam. Mówiła, że razem ze mną wchodzi słońce, że widząc mnie czuje się lepiej. Nie wiem, jak mogłam być dla niej słońcem, będąc tak zagubiona i nieszczęśliwa. Często żali-

łam się jej na Ryśka, a w miarę upływu czasu coraz częściej, gdyż on coraz więcej pił i stawał się nieznośny.

Najbardziej lubiłam lato i długie letnie zmierzchy. Prawie cały czas przebywałam na powietrzu, aż do zapadnięcia ciemności. Gdy słońce zbliżało się ku zachodowi, szłam sama nad staw, wokół nie było nikogo. Siadałam na pieńku drzewa i patrzyłam tak, aż zajdzie słońce. Piękna czerwona kula odurzała swoim blaskiem i jakąś niezgłębioną tajemnicą. Tajemnicą Życia i Śmierci. Wpatrywałam się w to zjawisko i nie mogłam zrozumieć tego co czuję. Czułam, jak ten blask dotyka mego serca i powoduje, że ono chce się usilnie gdzieś wyrwać. Czułam tęsknotę i zachwyt. Za czym tak tęsknię? Czy za tym słońcem co odchodzi? Czy za swoją duszą, którą ten piękny widok budzi z uśpienia? Czy za czymś, czego nigdy nie będę w stanie pojąć? Tylko zawsze będę za tym tęsknić i nigdy nie zaznam spokoju? Czy kiedyś odważę się zajrzeć, tak głęboko, aby dotknąć tej tajemnicy? Nie zrozumieć, ale poczuć, że istnieje. Tylko czy kiedyś odważę się ją poznać? Pomimo, że w takich chwilach czułam tęsknotę i jakiś niezgłębiony ból, to jednak czułam, że żyję. Byłam pełna tajemnic, lecz pulsowało we mnie życie, które pragnęło zbudzić się w moim wnętrzu.

Słońce zaszło, a we mnie pozostało wspomnienie lepszego świata, pełnego bogactw i nadziei. Czułam się odświeżona tą chwilą zachwytu. Właśnie takie chwile zapadały gdzieś głęboko w moją pamięć i dodawały sił i nadziei. Potem znów przedzierałam się przez mrok, po omacku szukając światła, którego gdzieś w głębi duszy tliła się isierka. W moim świecie coraz gęstsze zapadały ciemności. Rysiek już każdą wolną chwilę wypełniał alkoholem. Czasem i ja z nim piłam, chcąc zmniejszyć jego agresję w stosunku do mnie. Kiedy zaczynaliśmy pić był łagodny, chętnie dolewał mi i zachęcał do picia. Czasem piłam wbrew własnemu chęciom, aby się tylko nie złościł. Lecz gdy stawał się bardziej pijany to i tak był agresywny i wyżywał się na mnie. Czułam, że jakiś złowieszczy krąg zamyka się nade mną, że tracę orientację, co się wokół mnie dzieje. Cokolwiek robię, zawsze jest źle. Rysiek wmawiał mi wiele brzydkich wad i ja czułam się coraz bardziej winna, tylko nie wiedziałam czego jestem winna. Coraz bardziej czułam się przy nim niepewnie, czułam też zagrożenie.

Będąc z nim sama w Warszawie, bałam się jego powrotów do domu. Gdy mieliśmy gdzieś wyjechać na kilka dni, zawsze czułam obawę, co będzie gdy on tak strasznie się upije. Wstydziłam się za niego. Dawniej tak lubiłam te wyjazdy, teraz wszystko traciło sens. Wolne dni i święta były utrapieniem. Lecz na wsi przynajmniej czułam się bezpieczniej. Jego mama broniła mnie i wiedziałam, że przy niej nie odważy się zrobić mi krzywdy.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, ja byłam wykończona psychicznie. Prawie cały grudzień Rysiek pił i załatwiał ważne interesy ustawicznie pijąc. Pewnego dnia wrócił do domu późno w nocy i zaczął mnie szarpać, podarł mi koszulę nocną. Jego twarz była pełna nienawiści, wyglądał jak „diabeł, który przed chwilą wyszedł z piekła”. Krew we mnie zamarła, nie wiedziałam, co mam robić. Skuliłam się na łóżku i nakryłam poduszką. Rysiek szarpał wszystko wokół mnie i strasznie krzyczał, ja nic nie mówiłam. Widać było, że się boję i czuję się bezradna. Kopnął mnie butem, jakoś tak w plecy, nie wiele z tego pamiętam, byłam śmiertelnie przestraszona. Wreszcie poszedł spać. Nie mogłam zasnąć, zastanawiałam się za co on mnie tak bardzo nienawidzi? Co ja mu takiego robiłam? Właśnie kończył się remont naszego mieszkania, który był na mojej głowie. Tak dużo mu pomagałam w tej najbardziej żmudnej stronie życia, a on miał tyle do mnie żalu. Generalny remont mieszkania trwał dwa miesiące. Myślałam, że nie przeżyję do końca tego remontu. W małym mieszkaniu wymiana glazury, terakoty i wszystkich urządzeń sanitarnych. W pokojach tapety i cyklinowanie podłóg. Byłam u kresu wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Ciągłe musiały brać nowe ekipy robotników. Jedni kładli tynki, inni glazurę. Rysiek tylko krytykował i kazał wybierać najtańszych robotników. Reszta go nie interesowała. Ja musiałam wszystkiego pilnować i kupować to, co było niezbędne przy remoncie, wcale się na tym nie znając. Rysiek mnie jeszcze krytykował i mówił, że do niczego się nie nadaję. Często wracał pijany i miał pretensję, że to tak długo trwa. Zadawałam sobie pytanie, po co ja się zgodziłam na ten remont. Gdy remont się przeciągał, oczywiście nie z mojej winy, on twierdził, że to ja tego chciałam i teraz muszę to jak najszybciej zakończyć. Gdyż on już nie może tego wytrzymać! Oczywiście ja mogłam to wszystko wytrzymywać. Zapach farby i lakieru, wywoływał u niego ból głowy, więc wyjeżdżał na wieś zostawiając mnie samą. Musiałam wołać sąsiadów do pomocy przy przesuwaniu mebli. Gdy robotnik pytał jego o coś, zawsze odsyłał go do mnie. On miał głowę zajętą poważniejszymi sprawami. W końcu wolałam zostawać sama, przynajmniej mi nie przeszkadzał. Zbliżały się święta, ja byłam blada i ledwie żywa. Bardzo schudłam, twarz miałam napiętą i wyciągniętą. Zaczynałam przypominać swój własny cień.

Gdy przyjechaliśmy na wieś, mama przeraziła się moim wyglądem i od razu wiedziała czyja to zasługa. Zaczęła robić Ryśkowi wymówki. Mówiła: „Zrobiłeś z niej niewolnika, wziąłeś ją prawie dzieckiem i co z niej zrobiłeś”. - Jego mama zaczęła popadać w taki sam jak ja złowieszczy krąg niemości i beznadziei. Podobnie jak ja obsesyjnie myślała o nim i jego picciu. Pierwsze święta w nowym domu. Ogromna choinka w pięknie umeblowanym

salonie. Przez krótki okres czasu była u nas kobieta, która pomagała w pracach domowych. Była alkoholická, ale na razie jakos się trzymała. Razem z nią przygotowywałam świąteczne potrawy. Było mnóstwo wymyślnych potraw i dużo różnych alkoholi.

W Wigilię zjechała się rodzina Ryśka. Całe to zamieszanie męczyło mnie. Zastanawiałam się, po co to wszystko robię, po co inni to robią? Czym są dla mnie święta i co mogą wnieść w moje życie? Czy inni ludzie w ogóle zastanawiają się po co coś robią? Czy robią tak, gdyż inni czynią podobnie? Przecież tyle pracy związanej z przygotowaniem świąt chyba musi mieć jakiś głębszy sens? Inny niż tylko jedzenie, picie i rozmawianie o rzeczach przyziemnych i nudnych. Z takimi myślami kończyłam smażenie drożdżowych pierogów na kolację wigilijną. Pierogi wyglądały pięknie, były złote i pulchne jak pączki. Wszyscy je podziwiali. Właściwie została już tylko choinka do ubrania. Usiadłam w salonie i patrzyłam na rozłożone na stole pudełka ze świecadelkami i łańcuchami na choinkę. Poczułam zapach choinki, przypomniało mi się dzieciństwo. Poczułam, że opuszczają mnie siły, że już nic nie zdołam zrobić. Nalałam sobie wina i wypilałam dwa duże kieliszki. Czułam, że bez alkoholu nawet nie potrafię się podnieść. Byłam wyzbyta z sił i energii. Ubranie choinki wydawało się zadaniem ponad siły. Rysiek poganiał mnie, gdyż wszyscy goście już przyjechali. Wstałam i zaczęłam wieszać ozdoby na choince. Miałam wrażenie, że mam sto lat i ciężkie, bezwładne ciało. Alkohol, który wypilałam trochę ożywił mnie, z trudem ubrałam choinkę. Rysiek, jeszcze zanim usiedliśmy do kolacji już był podпиты i coraz bardziej złowrogo na mnie patrzył. Wszyscy trochę wypiliśmy wina przy kolacji. Potem włączyliśmy płyty z kolędami i rozdawaliśmy sobie podarunki.

Byłam znużona, zmęczona i otumaniona winem. Męczyły mnie rozmowy o niczym. Przez cały wieczór nikt nie powiedział nic ciekawego, nic istotnego. Wszystko wydawało mi się przerażająco mdłe i bezsensowne. Czułam beznadziejność. Nie wiem, co wyrażała moja twarz, ale gdy Rysiek na mnie popatrzył, widziałam w jego oczach nienawiść i tłumioną agresję. W pewnym momencie wszedł za mną do kuchni, coś burcząc pod nosem jego mama bardzo się przestraszyła, że łzami w oczach stanęła pomiędzy nami. Widziałam w jej twarzy rozpacz. Ja byłam tak otumaniona, że było mi wszystko jedno, co się stanie.

Kiedy byłam w kościele gorąco modliłam się o pomoc. Zbliżałam się do kresu swojej wytrzymałości. Czułam taki ciężar, że chwilami myślałam, że upadnę i nie podniosę się. Rano wstawałam zmęczona, ze zgrozą myślałam, co mnie czeka. Sama myśl o działaniu męczyła mnie. Walał się cały mój świat a ja usilnie wmawiałam sobie, że nic takiego się nie dzieje. Całą ener-

gię wydatkowałam na oszukiwanie siebie, na ucieczkę od rzeczywistości. Nie miałam odwagi trzeźwo spojrzeć na ten koszmar, który mnie otaczał.

Były chwile, gdy czułam, że zbliżam się do śmierci. Toczyła się we mnie walka o przetrwanie. Lecz nadal budowałam coraz to nowy gmach iluzji. Potrzebowałam wsparcia i otuchy. Każdy dzień był wewnętrzną walką z samą sobą. Wszystkie moje myśli i pragnienia skupiały się wokół Ryśka. Zastanawiałam się, czy tego dnia napije się, czy nie? Co robić, aby odciągnąć go od picia? Jak wypełnić mu czas, aby się nie nudził? Ustawicznie obserwo- wałam go i próbowałam wszelkich manipulacji. Tłumaczyłam mu, co może uczynić alkohol z człowiekiem i jego życiem. Miałam wrażenie, że walczę z zacięłym wrogiem, który zawsze wygrywa. Jeśli jeden dzień udało mi się wygrać, to następny już nie. Rysiek był coraz bardziej zmieniony, gdy był pijany. Raz czy dwa razy płakał jak małe dziecko, ale przeważnie był agre- sywny i zły. Jeśli nie krzyczał, to tyranizował mnie. Kazał słuchać, co do mnie mówił, lub raczej bełkotał. Kazał mi siedzieć i nigdzie nie odchodzić. Pisał coraz to nowy testament, gdyż twierdził, że w niedługim czasie umrze. Gdy chciałam odejść, wrzeszczał i straszył mnie.

Całą noc potrafił równocześnie słuchać głośno grającego telewizora i magnetofonu. Wchodził do mojego pokoju i zdierał ze mnie kołdrę i albo coś mówił, albo przezywał mnie i groził mi. Byłam tak rozbita i rozstrojona nerwowo, że myślałam, że już oszalałam i niedługo znajdę się w szpitalu dla obłąkanych. Całe popołudnia czekałam na niego i rozważałam, czy wieczór będzie spokojny, czy nie? Jeśli przyjdzie pijany, to już wiedziałam, jaki może być wieczór i noc. Gdy przyjdzie trzeźwy, to i tak może jeszcze nabrać chęci do picia i pójść do nocnego sklepu po alkohol. Czasem znikał gdzieś na pół nocy i wracał nad ranem.

Raz zdarzyło się, że powrócił bardzo pijany i rozczochrany. Ukradziono mu pieniądze i dokumenty. Na drugi dzień leżał i zamartwiał się. Ja oczywiście opiekowałam się nim, tak jakby był chory. On rozpaczał i postanawiał, że już nigdy się nie napije. Każdego słowa, każdej najmniejszej iskiere nadziei czepiałam się jak „tonący brzytwy”. Wszystko, aby tylko nie ujrzyć Prawdy. Mówią, że alkoholizm jest chorobą zakłamania. Ja też tak myślę. Byłam podobnie chora jak on, tylko jeszcze nie piłam nałogowo. Lecz były takie dni, że musiałam pić. Czułam przymus ucieczki przed sobą i przed tym, co zrobiło się z mojego życia, a alkohol ułatwiał mi to. Piłam, aby znieczulić ból, który był już nie do wytrzymania. Gdy nie piłam, a czekałam na niego, czułam się jak opętana lękiem. Pół nocy potrafiłam chodzić od okna do drzwi i od drzwi do okna. Czułam jak pętla strachu zaciska się na mojej szyi. Serce mocno biło a na szyi czułam fizyczny ucisk. Myślałam, że

się duszę. Potrafiłam tylko chodzić i palić papierosy, jeść nic nie mogłam. Jedzenie zatrzymywało się w przełyku. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Czułam, że chodzę naokoło swojej osi i coraz bardziej tracę nadzieję. Jakaś obłądna siła prowadziła mnie, aby potem śmiać się z mojego upadku. Wszystko, co próbowałam robić, aby on nie pił, kończyło się niepowodzeniem.

Zaczęłam myśleć, że nie ma ucieczki z tego „piekła”, którym stało się moje życie. Czasem całą noc płakałam i modliłam się. Modliłam się gorąco i coraz bardziej wierzyłam w moc modlitwy. Tylko nie rozumiałam tego, dlaczego jest coraz gorzej. Bóg nadal był daleki i jakoś nie dla mnie, ale były chwile, gdy czułam bliskość Boga. Przez prawie rok czasu modliłam się gorąco i z wiarą, że odnajdę drogę do życia. Tak mijał dzień za dniem. Jeśli było choć kilka dni spokoju, to już odżywała się we mnie nadzieja, że Rysiek może przestanie pić. Zaczynałam jeść i mniej paliłam. Ale przerwy w piciu były coraz krótsze i coraz trudniej było żywić tę nadzieję.

Nawet nie spostrzegłam, że nadchodzi wiosna. Byłam otumaniona jedną myślą, czy on przestanie pić, czy nie? Tylko to się liczyło, tak jakby bieg świata całego - zależał tylko od tego. Miałam odczucie, że nic nie pozostało ze mnie; że od niego tylko zależy, czy będę żyć, czy umrę. Myślałam, że bez niego nie mogę jednak istnieć. Jeśli on stacza się w przepaść to i ja również. Byłam jakoś boleśnie przykuta do niego niewidzialnymi kajdanami. Zbliżały się święta Wielkanocy, było coraz cieplej. Dzień stawał się coraz dłuższy. Zawsze bardzo lubiłam ten czas budzącego się życia z martwoty zimowej. Był to czas nadziei i wyczekiwania na pełny rozkwit. Zmierzchy zapadały coraz wolniej i długo czerwieniło się niebo po zachodzie słońca. Teraz nic nie widziały moje oczy, byłam oślepiona beznadziejnością swego położenia.

Kilka dni przed wyjazdem na święta na wieś, Rysiek powrócił nad ranem z podbitym okiem. Gdy go zobaczyłam, poczułam ostry ból. Pojęłam w jednej chwili, że dalej tak nie mogę żyć, po prostu już nie wytrzymam. To podbite oko Ryśka uzmysłowiło mi moją beznadziejną i rozpaczliwą sytuację. Czułam się tak, jakbym podarowała duszę komuś, kto wiedzie ją na zatracenie. Płakałam, czułam się skrzywdzona. Miałam takie odczucie, jakbym to ja miała to okaleczone oko, ale to przecież nie ja szukałam zguby. Dlaczego muszę cierpieć za coś, czego nie uczyniłam? Ja nie zasłużyłam na to! Coś tu jest nie tak? - myślałam. Rysiek był zły i krzyczał na mnie. Denerwował się czemu tak bezradnie stoję, zamiast coś robić. Czułam się bardzo skrzywdzona przez los i jeszcze on mnie krzywdził. Nie, tego było już dość. Doszłam do kresu swego cierpienia. Nie mogłam na niego patrzeć. Patrzenie to kojarzyło mi się z największym upadkiem. Zrozumiałam, że on jest staczającym się alkoholikiem a ja jego ofiarą.

Początki mojej terapii

Postanowiłam szukać pomocy dla niego. Zaczęłam dzwonić i pytać się o pomoc dla alkoholików. Nadal sądziłam, że siebie mogę uratować, tylko ratując jego. Lecz najważniejsze było to, że byłam gotowa na pomoc. Przystałam wstydzić się swojej sytuacji. Zaczęłam szukać pomocy z odwagą rozpacz. Trafiłam do Petry², gdzie kompleksowo leczono alkoholików i rodziny z problemem alkoholowym.

Oczywiście, że gdy tam przyszłam to powiedziałam, że chcę leczyć swojego męża. Ale już tam na szczęście wiedziano, że ja potrzebuję również szybkiej pomocy. Byłam skierowana do psychologa i na grupy terapeutyczne. Od razu tego samego dnia był mityng Al-Anonu³ i tam mnie zaprowadzono. Siedziało tam dużo kobiet wokół jednego stołu. Paliła się świeczka. Atmosfera była przyjazna i życzliwa. Nikt na mnie ciekawie nie patrzył. Podano mi herbatę i ciastka. Nic nie rozumiałam. Byłam pierwszy raz na mityngu. Niektóre kobiety patrzyły na mnie ze współczuciem, tak jakby wiedziały co czuję. Byłam im wdzięczna, że nie muszę nic mówić, na żadne pytania odpowiadać. Poczułam się tam bezpiecznie. Przez chwilę poczułam, że to ciężkie brzemię, które noszę ze sobą, jakoś trochę zelżało. Słuchałam tego co mówiły, wpatrując się w ich twarze. Do dziś pamiętam wszystkie twarze z tego mityngu, choć było ich dużo. Wpatrywałam się tak jakbym chciała uzyskać natychmiastową odpowiedź na nurtujące mnie pytania. Jakbym chciała od nich dowiedzieć się co zaszło w moim życiu. Było tam wiele młodych, atrakcyjnych kobiet. Po godzinie była przerwa. Byłam tym zdumiona, ile kobiet cierpi podobnie jak ja. Z pozoru wyglądają dobrze, są zadbane. Nic nie świadczy o ich bólu, który noszą w sercu zawsze ze sobą. Niektóre z nich coś do mnie mówiły, ale ja byłam tak pochłonięta obserwowaniem i tak zdziwiona tym wszystkim, co widziałam wokół, że nawet nie wiem co odpowiadałam. Najważniejsze było to, że zrozumiałam i poczułam, że nie jestem sama, że nie jestem odosobniona. To był wielki krok ku życiu. Postanowiłam jakoś działać, jeszcze nie wiedziałam jak, ale już nie będę poddawać się zniszczeniu i staczaniu w dół - pomyślałam.

Zaczęłam uczęszczać dwa razy w tygodniu na grupy terapeutyczne prowadzone przez psychologa. Codziennie były też tam wykłady na temat alko-

² Petra - Ośrodek Profilaktyczno-Terapeutyczny, Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej. P-profilaktyka, E-edukacja, T-terapia, R-rehabilitacja, A-alkoholików. Poradnie Petry zajmują się terapią, diagnozowaniem i poradnictwem związanym z problemem alkoholowym.

³ Al-Anon-Ruch samopomocy osób współuzależnionych.

holizmu, współzależnienia i dojrzewania emocjonalnego. Ze wszystkiego starałam się korzystać. Było mi trochę trudno pogodzić to z nauką języka niemieckiego, na który chodziłam dwa razy w tygodniu. Właściwie wszystkie popołudnia miałam zajęte. Mój mąż narzekał, że nigdy nie ma mnie w domu. Żalił się do mojej siostry i ojca, że on już nie może nawet zapamiętać, gdzie ja jestem.

Jeszcze zanim podjęłam terapię w Petrze, Rysiek wyraził chęć pójścia do lekarza seksuologa. Miał drobne problemy. Dawniej już byliśmy u tego lekarza i przerwaliśmy u niego leczenie. Czepiałam się każdej myśli o ratowaniu naszego związku. Pomyślałam, że to dobra myśl. Przypomniałam sobie, że ten lekarz jest również psychiatrą. Bardzo chętnie się zgodziłam. W krótkim czasie od tej rozmowy pojechaliśmy bez uprzedzenia telefonicznego w to miejsce, gdzie dawniej przyjmował ten lekarz. Pomyślałam sobie, że poszłabym do samego „piekła”, aby tylko wyrwać się z tego oblędu i coś zmienić na lepsze. Powiedziałam, aby zaczekał w samochodzie a ja wszystko ustalę i poproszę o pomoc. W takich sytuacjach zawsze czułam się pewnie, wiedziałam, że umiem prosić o pomoc. Gdy jestem gotowa na pomoc, to właściwie nigdy nie napotykam na odmowę. Umówiłam się z lekarzem, teraz znanym profesorem, na telefon i wizytę za tydzień. Już nie mogłam doczekać się tej wizyty. Pragnęłam wyrzucić z siebie ból i narastające przerażenie. Byłam gotowa na zmianę, już nacierpiałam się wystarczająco dużo. Po tygodniu zatelefonowałam i umówiłam nas z lekarzem. Sama wepchnęłam się na wizytę razem z mężem. Najpierw wszedł mój mąż, potem ja. Zaczęłam mówić o sobie. Mówiłam długo i nie mogłam skończyć. Trwało to dość długo. Gdy wyszłam, czułam wielką ulgę. Potem razem ustalaliśmy plan leczenia. Lekarz sam zdecydował, że ja będę pierwsza poddana terapii, potem mój mąż. Oczywiście Rysiek chętnie na wszystko zgadzał się w obecności profesora. Był bardzo uprzejmy i grzeczny. Potem, gdy wyszliśmy, zaraz zaczął robić mi wymówki. Dlaczego tak długo siedziałam, co ja mogłam tyle mówić? Dlaczego ja mam być pierwsza?

Teraz wiem, że profesor szybko dostrzegł to, co się ze mną działo. Ja potrzebowałam szybkiej pomocy. Swoją twarzą i całym ciałem wołałam „ratunku”. W dodatku byłam zdecydowana na zmianę i pracę nad sobą. Mój mąż nie był gotowy. Dla niego wina zawsze była w kimś innym, w świecie zewnętrznym. On był w swoim mniemaniu bez wad. Nie zamierzał się zmieniać, raczej chciał zmienić świat, niż siebie. Teraz wiem, że taki człowiek nie zmieni się, choćby przeszedł dziesięć terapii u wybitnych specjalistów. Terapeuta tylko pomaga człowiekowi w jego wędrówce w głąb siebie. Lecz pacjent sam musi się zmieniać i zmienia się, gdy zyskuje wgląd w

siebie. Podstawowym elementem udanej terapii, jest gotowość do tego wglądu i zmiany ze strony pacjenta.

Chodziłam dwa razy w tygodniu na długie rozmowy. Byłam bardzo wdzięczna profesorowi za okazaną mi pomoc. Zaczęłam się zmieniać. Pierwszy raz ktoś traktował mnie jak człowieka. Czułam się szanowana, ważna i to wspomagało mój rozwój. Rysiek był zazdrosny. Wypytywał mnie, dlaczego tak długo to trwa i o czym rozmawiamy. Potem, również w Petrze miałam swojego psychologa. Ten psycholog był młodym, przystojnym mężczyzną. Oczywiście powiedziałam o tym Ryśkowi, nie widziałam powodu do ukrywania tego. Byłam tak pochłonięta swoimi problemami, że nie spostrzegałam w ogóle mężczyzn wokół siebie. Rysiek zadreślał mnie pytaniami i swoją podejrzliwością. Czasem tylko złościło mnie to, że profesor bronił Ryśka. Zawsze potrafił złagodzić moją złość na niego. Lecz czasem czułam taką złość, że nie chciałam wcale zastanawiać się i usprawiedliwiać jego zachowania. Miałam dosyć ciągłego usprawiedliwiania i prób rozumienia innych. Teraz chciałam zająć się sobą i spróbować siebie zrozumieć. Oczywiście profesor wspomagał mnie po mistrzowsku w tej wędrówce w głąb siebie. Dawniej chodziłam do kilku psychologów, ale to mi nic nie dawało. Teraz wiedziałam, że trafiłam na mistrza. Jak bardzo pragnęłam upodobnić się do niego. Jego harmonia i pogoda ducha promieniowała na zewnątrz i oświeślała jego postać aurą nie z tego świata. Po prostu nigdy w swoim życiu nie spotkałam takiego człowieka. Może i mnie kiedyś uda się wspiąć na takie wyżyny ludzkiego rozwoju? Marzyłam o tym! Byłam również bardzo wdzięczna, że on chce mi w tym pomóc. Pomóc stać się człowiekiem. Wszystkie zadania, wszystkie prace wykonywałam z radością i przyjemnością. Profesor, w krótkim czasie był ze mnie zadowolony. Mówił, że to jest bardzo twórcze i przyjemne wspomagać mnie w rozwoju, mówił, że posiadam wiele potencjalnych zdolności. Mnie samej też sprawiało radość, takie ciągłe odkrywanie czegoś nowego w sobie. Tworzyłam samą siebie z pomocą mistrza.

Zanim podjęłam terapię, Rysiek nie interesował się co robię, gdy go nie ma. Gdy przyjeżdżał, sama opowiadałam mu co robiłam, a on nie zadawał wnikliwych pytań. Wyglądało to tak, że albo zbytnio mu na tym nie zależy, albo jest mnie absolutnie pewien. Co myślał naprawdę, nikt nigdy nie wiedział. Ja byłam zastraszona, nieśmiała i bardzo siebie niepewna. Myślę, że takie osoby jaką ja byłam, mające tyle problemów ze sobą, nie są w stanie prowadzić tzw. „podwójnego życia”. Lecz u mnie to jeszcze wpływało z wewnętrznej uczciwości. Pragnęłam życia w Prawdzie, która daje wewnętrzną harmonię i pokój. Oczywiście przy Ryśku było to niemożliwe, gdyż on nawet z prawdy potrafił uczynić „kłębowisko niejasności”. Nie wiem do-

kładnie jak on to robił. Na początku znajomości opowiadałam mu o sobie prawdę, lecz potem, gdy on to interpretował, stawało się to takie niejasne i zagmatwane, że sama już nie wiedziałam, co jest prawdą a co kłamstwem. Wszystko co od niego wychodziło, było właśnie takie pełne sprzeczności, zagmatwania i nieprzewidywalności. Ażeby sobie ułatwić orientację w tym wszystkim, co i dla niego było w końcu zagmatwane, przyjął zasadę, że on ma zawsze rację.

Teraz, gdy zaczęłam terapię, Rysiek o wszystko wnikliwie mnie pytał. Gdzie chodzę, o czym rozmawiam z profesorem i psychologiem? Co mówią inne kobiety w grupie? Jak wygląda leczenie alkoholizmu i współzależnienia? Opowiadałam mu prawdę w ogólnym zarysie. Staralam się go nie zrazić, niczym nie dotknąć i jakoś zachęcić. Czułam się odpowiedzialna za to, co mówię, gdyż miałam cały czas nadzieję, że już może lada dzień on podejmie leczenie. Ja w ogóle nigdy go nie krytykowałam i nie oceniałam. Zawsze uważałam, że nie mam do tego prawa. Oczywiście nigdy nie chciałam go skrzywdzić, nawet gdy on mnie krzywdził. Nigdy też nie wyznawałam zasady odpłacania tym samym co się otrzymało. Intuicyjnie czułam, że w ten sposób zamykam łańcuch zła i już nie ma żadnej nadziei na zmianę. A przecież zawsze pragnęłam zmiany, pragnęłam czegoś lepszego niż to, co było. Więc gdybym oddawała to, co on mi dawał, czyniłabym źle dla samej siebie.

Te same zasady obowiązywały na naszych spotkaniach grupowych w Petrze i to bardzo mi odpowiadało. Taka grupa oparta na lojalności i prawdzie miała ogromne działanie terapeutyczne i wspierające. Tworzyliśmy wspólnotę naszej niedoli i wspólnotę pragnień stania się ludźmi dojrzałymi, mądrymi i odpowiedzialnymi. Na samym początku mojej tam terapii otrzymałam ogromną dawkę nadziei. Lecz jeszcze długo to trwało zanim zdobyłam się na spojrzenie Prawdzie w oczy. Otrzymałam wsparcie i nadzieję na lepsze jutro, ale to co najważniejsze i najtrudniejsze pozostało do zrobienia mnie samej. Około pół roku uczęszczałam na tzw. grupę wstępną, przygotowującą do terapii właściwej. Chodziłam również na wykłady. Czytałam bardzo dużo książek na temat alkoholizmu. Szybko zdobyłam wiedzę teoretyczną, ale emocjonalnie byłam bardzo uzależniona od męża. Powoli zaczynałam dostrzegać koszmar swojego położenia. Nadzieja budziła moją duszę ku wolności, ale czułam się przykuta do męża i tego koszmarnego świata.

Dni powszednie małżeństwa z alkoholikiem

Kiedy zaczęłam terapię była wczesna wiosna. Teraz nadeszło lato. Byłam tak pochłonięta swoim wnętrzem, że ledwie cokolwiek spostrzegałam. Lecz pragnęłam kontaktu z przyrodą, potrzebowałam dużej mocy i odwagi. Przyroda zawsze dodawała mi sił. Na sobotę i niedzielę wyjeżdżaliśmy na wieś. Chodziłam na długie samotne spacery. Musiałam zebrać myśli i zastanowić się nad sobą i nad tym wszystkim co nowego się dowiedziałam. Patrzyłam na wierzchołki drzew kołysane wiatrem, na delikatne białe obłoczki płynące po niebie i czułam, że zbliżam się do świata, którego całą sobą pragnęłam. Czułam bolesne rwanie w piersi, czułam, że brakuje mi odwagi. Już wiedziałam, że inny świat istnieje, tylko czy zdołam przekroczyć tę niewidzialną granicę, dzielącą te dwa światy. Ten do którego teraz należę, jest pełen ciemności i bólu, ale jest mi znany, ten inny upragniony jest tajemnicą i obietnicą, ale jest zupełnie mi nie znany. W tym świecie w którym jestem nie posiadam korzeni, ale jestem jakoś przykuta boleśnie i mocno do niego. Choć chwięję się jak delikatna roślina i byle podmuch przewraca mnie, to jednak coś mnie tu mocno trzyma. Wiele myśli kłębiło się w mojej głowie, wiele rodziło się nowych.

Zamyślona powracałam i zastawałam Ryśka już pijanego. Czułam ból i nie pogodzenie z sytuacją życiową. Uważałam, że stanowczo za dużo jest cierpienia w moim życiu. Już nie mam siły walczyć i przedzierać się do światła. Jestem zmęczona, chcę wytchnienia i odpoczynku. Jestem jak drzewo, które nie ma korzeni, a tu tyle wichrów mnie smaga. Teraz Rysiek pod wpływem alkoholu stawał się jeszcze bardziej agresywny. Krzyczał na mnie i miał pretensję, że uważam go za alkoholika. Czuł, że traci panowanie nade mną, straszył mnie i szantażował. Ja nie pracowałam zawodowo i nie miałam swoich pieniędzy. Byłam całkowicie zależna od niego. On oczywiście wykorzystywał każdą moją zależność. Tak finansową, jak i emocjonalną. Miał przewagę nade mną i manipulował mną jak kukielką. Raz żalił się i prosił o pomoc, raz straszył, raz tyranizował. Obiecywał również, że zacznie się leczyć. Nie namawiałam go do tego, ale on wyczuwał, że tego pragnę. To był bardzo trudny okres w moim życiu. Targało mną wiele sprzeczności.

Były momenty, gdy zyskiwałam świadomość tego, co dzieje się w rzeczywistości, lecz były też momenty, że uciekałam w świat iluzji. Coś szeptało mi, że może to wszystko nie jest prawdą lub, że może wszystko zmieni się na lepsze, gdy on zacznie się leczyć. Czekałam na zmianę, która nie będzie

zależna od mojego działania. Czekałam na cud, bylebym tylko ja nie musiała nic zmieniać, nic postanowić. Psycholog mówił mi, żebym dała sobie czas, że decyzję odejścia można podjąć tylko wtedy, gdy się jest pewnym, że jest właściwa. Mówił, że nie wolno się śpieszyć. Ja chciałam rozwiązania sytuacji jeszcze zanim zyskałam w nią wgląd. Tak bardzo bałam się zobaczyć jak to wszystko wygląda, że wołałam przedtem być już gotowa do decyzji. Lecz cały czas nie byłam jeszcze gotowa. Czułam się tak, jakbym była zawieszona między Niebem a Ziemią. Byłam wszystkiego niepewna i bałam się przyszłości. Tłumaczyłam sobie, że muszę dać sobie czas, poczekać i pracować nad sobą, lecz ta niepewność i zawieszenie dokuczało mi.

Świadomość tego, co stało się z moim życiem sprawiała ogromne cierpienie. Coraz trudniej było uciekać od siebie i sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Bałam się powrotów do domu. Nigdy nie wiedziałam, co mnie czeka. Mogłam spodziewać się wszystkiego. Rysiek zachowywał się nieobliczalnie. Już teraz wszystkie popołudnia i wieczory był pijany. Straszyl mnie, że wyrzuci mnie z 10 piętra i ciągnął mnie na balkon. Nie dawał mi chwili spokoju, gdy był pijany. Kazał siedzieć i słuchać swego pijanego bełkotu. Zadawał mi pytania i kazał natychmiast odpowiadać. Gdy odpowiadałam coś, czego on nie rozumiał, znów zadawał to samo pytanie. Gdy nie chciałam mówić, lub próbowałam wstać i wyjść do drugiego pokoju, zatrzymywał mnie siłą. Gdy był pijany, rzeczywiście realnie mi zagrażał, ale gdy był trzeźwy, również posiadał nade mną władzę. Czułam, że jestem uzależniona, choć tego nie chcę. Nie miałam siły i odwagi przeciwstawić mu się stanowczo. Zyskiwałam świadomość tego, co robię, często już właśnie to robiąc. Zdawałam sobie sprawę, że postępuję nieprawidłowo. Czasem przekonywałam się o tym dopiero potem. Namacalnie odczuwałam własną słabość i niemoc. Nienawidziłam się za to i traciłam dla siebie szacunek. Intelktualnie wiedziałam, co powinnam robić, jak z nim postępować, czego mi nie wolno. Lecz żeby tak postępować musiała by zajść zmiana na głębszym poziomie. Pewnego razu zatelefonował do mnie w nocy około 2⁰⁰ godziny i kazał mi się ubrać i przyjść do niego. Słyszeć było, że jest pijany. Był z kolegą w nocnym lokalu. Telefonował kilka razy i zagroził mi, że popamiętam, gdy nie przyjdę. Ubrałam się i poszłam. Wiedziałam, że czy tak, czy inaczej, mam całą noc zmarnowaną. Rysiek kazał mi wypić kilka kieliszków wódki. Byłam wściekła, tłumiłam złość, gdyż bałam się go. Poprosiłam jego koleżkę, którego widziałam pierwszy raz, aby pomógł zaprowadzić go do domu. Rysiek zgodził się wyjść z restauracji pod warunkiem, że wszyscy pójdziemy do domu i dalej będziemy pić. Szedł ulicą zataczając się. Wrywał się nam i chciał jeszcze gdzieś wejść i kupić alkohol. Wstydziłam się za niego. Słysza-

łam w Petrze, że nie powinnam wstydzić się za swojego męża. To on jest odpowiedzialny za to, co robi, nie ja. Wiedziałam, że to nonsens, ale wstydziłam się. Widziałam ogromną przepaść między tym, co wiem, a tym co czynię. Traciłam nadzieję, że potrafię się zmienić. Wszystko to, co wiedziałam, było takie trudne do realizacji na co dzień. Przed terapią robiłam to samo tylko, że nie byłam świadoma tego co robię. Teraz czułam się tak, jakbym sama wchodziła w bagno i grzęzła w nim, wołając ratunku. Cierpiałam męki, gdy uświadamiałam sobie, że jestem sama sobie winna. Dopiero teraz widziałam prawdziwe oblicze zła i swoją niemoc. Wstydziłam się za jego postępowanie i wstydziłam się za siebie. Gdy trochę pokrzepiona na duchu wracałam z terapii, on znów wciągał mnie w ten obłądny taniec śmierci. Czasami wręcz fizycznie czułam jak wciąga mnie jakaś okropna przepaść.

Pewnego dnia powiedział mi, że ma dla mnie miłą niespodziankę. Był w dobrym nastroju i jeszcze trzeźwy. Poprosił mnie, żebym z nim poszła w pewne miejsce, bardzo niedaleko stąd. Kupił po drodze dobre wino i coś do zjedzenia. Weszliśmy do wysokiego bloku, potem do ładnie urządzonego mieszkania. Widać było, że niedawno był tam remont. Ładne tapety na ścianach, ładna łazienka. Wszystko świeciło czystością. Rysiek powiedział, że to będzie jego biuro, że to jest nasze nowe mieszkanie. Z dumą opowiadał, że wszystko sam urządzał i że to miała być dla mnie niespodzianka. Ja przytakiwałam, że jest ładnie urządzone, tylko nie mogłam zrozumieć z czego ja mam się cieszyć. On miał taki wyraz twarzy, jakby oczekiwał na pochwały, podziękowanie i podziw. Ja zachowywałam się uprzejmie i taktownie, lecz bez zbytniego zachwytu oglądałam, to co mi pokazywał. Rysiek włączył płytę kompaktową i nalał wina w kieliszki. To miało być oblanie nowego mieszkania. Napiłam się wina i zjadłam coś. Miałam największą ochotę stąd wyjść. Nie wiedziałam jaki znaleźć pretekst, kręciłam się niespokojnie i czułam się nieswojo.

Rysiek pił coraz więcej i zaczął mnie krytykować. Ja nadal siedziałam z uprzejmym wyrazem twarzy. On roztaczał przede mną wizję najbliższej przyszłości. Mówił, że tu będzie biuro, że ja mu będę pomagać. Gdy powiedziałam, że nie mam na to teraz czasu, że nawet nie spytał mnie o zdanie, wpadł w złość. Mówił, że wszystko to czym się zajmuję jest bzdurą i bezsenssem. Najlepiej będzie, gdy to wszystko zostawię i będę jemu pomagać. Zaczął złościć się, dlaczego nie cieszę się z naszego nowego mieszkania. Zwróciłam mu uwagę, że to jest jego, a nie nasze mieszkanie. Coraz bardziej był zły. Jego twarz przybierała znany mi złowrogi wyraz. Poczułam obawę i zastanawiałam się, czy będę w stanie szybko stąd uciec. Czy dam sobie radę z otwarciem drzwi i czy on ich nie zamknął na klucz? Już nie byłam spara-

liżowana łękiem, to znaczy lęk nie odbierał mi zdolności myślenia, jak było dawniej. Lecz poczułam się bardzo źle, jakoś tak obco w tym mieszkaniu, z obcym człowiekiem, który sam nie wie, czego chce. Zapadał już jesienny zmierzch. Wino przyćmiewało umysł. Jakaś ciemność i nostalgia ogarniała mnie, więc chciałam natychmiast przerwać to przedstawienie. Już nawet nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać. Zawsze wynikała awantura tzn. on krzyczał, a ja mówiłam spokojnie, co o tym myślę. Rysiek tłumił w sobie agresję, było to widać. Był wyraźnie zawiedziony moją reakcją. Lecz nie był na tyle pijany, aby sobie ulżyć. Jakoś udało mi się namówić go do powrotu.

Na drugi dzień chciał, abym pomogła mu w przenoszeniu jakichś rzeczy z tamtego mieszkania. Poszłam z nim. Znów kupił wino i kazał mi pić razem z nim. Chyba wcześniej już pił, gdyż szybko stawał się pijany. Wzięłam torbę z rzeczami i poszłam do domu. Był na mnie bardzo zły, nie bardzo wiedziałam dlaczego. Po kilku godzinach powrócił z dwoma wypchanymi torbami. Jego twarz była napięta i złowroga. Zapytał mnie, dlaczego nie chcę przebywać w nowym mieszkaniu? Ja spokojnie tłumaczyłam mu, że tutaj mam książki i wszystko pod ręką, że chcę zdobywać wiedzę, a nie siedzieć beczynnie i pić. Wpadł we wściekłość. Kopnął torbę i wrzeszczał na mnie, że nie doceniam tego, co on robi; że jestem głupia, że będę przymierać głodem przy swoim widzeniu świata, że nie doceniam zdobyczy materialnych, że jestem zapatrzona w jakąś złudę. Mówił, że już od dłuższego czasu widzi, że jestem chora psychicznie. Odpowiedziałam, że jeśli tak myśli, to czemu nie daje mi się w spokoju leczyć, że ja wcale nie twierdzę, że jestem zdrowa, że daleko mi do zdrowia i równowagi. Dlatego też dużo czytam i chodzę na terapię. On wpadł w jeszcze większą wściekłość. Teraz już wrzeszczał na całe gardło, a wyglądał jak opętany, z jego twarzy biła nienawiść. Przestraszyłam się, gdyż stał w drzwiach mojego bardzo małego pokoju. Zastawiał sobą całe drzwi i wymachiwał butelką szampana. Poczułam gęsią skórę na całym ciele. Pomyślałam, że teraz może zrobić mi krzywdę jeśli rzuci we mnie tą butelką. Ja nie miałam gdzie uciekać. Byłam przy oknie w mieszkaniu na 10 piętrze, a drzwi on tarasował.

W myślach modliłam się i już nic nie mówiłam. Rysiek stał tak jakiś czas i wrzeszczał. Przeżywał mnie i przeklinał, że los go z tak głupią kobietą złączył. Przeklinał nie tylko mnie, ale całą moją rodzinę. Mówił, że jestem absolutnym zerem, że nigdy nie spotkał kogoś tak bezwartościowego, że każdy człowiek czegoś pragnie, do czegoś dąży, a ja tylko gdzieś „nad ziemią” chodzę. Miał na myśli wartości materialne, którymi ja, jego zdaniem, gardziłam. Ja nimi nigdy nie gardziłam, tylko nadawałam im właściwe, moim zdaniem, miejsce w życiu. One były potrzebne, ale nie najważniejsze. Ja

zawsze byłam nastawiona na wartości wieczne – nieprzemijające. Rysiek nie mógł mi tego darować, gdyż on chciał być podziwiany, wręcz wielbiony za to, że zdobywał pieniądze z takim trudem. Właśnie za tę moją inność zawsze przeżywał mnie po pijanemu. Nazywał to: wariacją, dewocją, głupotą, ale jakby tego nie określał zawsze drażniło go to, że do końca nie jest w stanie tego zrozumieć. Przeżyłam moment grozy i zastanawiałam się, jak się zabezpieczyć na przyszłość. Ta huśtawka emocjonalna wykańczała mnie. Bardzo schudłam i ciągle byłam napięta.

Zbliżały się kolejne święta Bożego Narodzenia. Bałam się tych świąt, bałam się każdego dnia, który miałam spędzić z Ryśkiem. Wyjechać na tydzień na wieś i być tam tylko z nim i mamą, przekraczało moją odwagę. Tam nie mogłam liczyć na wsparcie grupy lub psychologa. Ja potrzebowałam ciągłego wsparcia ludzi znających te problemy. Jego mamie dużo opowiadałam i czułam się przy niej bezpiecznie, ale ona nie mogła pomóc mi tyle, co psycholog. Jeszcze gdybym tylko wyjechała na kilka dni, ale cały tydzień to strasznie dużo. Uważałam, że muszę przygotować święta tak jak zawsze, że nie mam prawa myśleć tylko o sobie. Mama sama nie była w stanie ich przygotować. Była na to za słaba. Postanowiłam jakoś to przetrwać i wyjechałam.

Już od pierwszego dnia pobytu powoli zaczęłam staczać się w dół. Opowiadałam mamie, jak mi ciężko i co on robi, ale to nie przynosiło ulgi. Czułam rozpacz beznadziei. Traciłam wiarę, że uda mi się z tego wyrwać. Czułam takie bolesne odgrodzenie od świata, dobrze mi znane. Siły mnie opuszczały, nic mi się nie chciało. Każda czynność wydawała się beznadziejna. Tylko moje wewnętrzne zdyscyplinowanie powstrzymywało mnie od położenia się i nic nie robienia. Każda drobna czynność wymagała tyle energii! Jego mama też była smutna. Zdawała sobie sprawę z beznadziejności naszego położenia. Mówiła mi, że przede wszystkim siebie powinnam ratować. Mówiła, że dobrze to widzi, że ja potrzebuję pomocy i dobrze, że chodzę na terapię. Rysiek próbował mnie krytykować, ale mama nie dała mu nic powiedzieć, tylko ona jego krytykowała. On krzyczał na nią, ja to bardzo źle znosiłam. Tłumaczyłam mu, że ona cierpi, że martwi się o niego. Sytuacja była tragicznie przygnębiająca. Rysiek już ze wszystkimi się kłócił. Pomyslałam, że jeśli przetrwam te święta, to już będę chyba dalek żyła.

W pierwszy dzień świąt czułam taki ból, że się upiłam do utraty przytomności. Siedziałam i patrzyłam na choinkę i ogień w kominku, czułam ból przeraźliwego zagubienia. Jakieś łańcuchy niewidzialne trzymały mnie przy nim. Czułam, że prędzej zwariuję niż zdołam je rozerwać. Przed oczami była beznadziejność i ciemność. W sercu głęboko czułam bolesne rwa-

nie i pragnienie wolności. Rozpacz ponaglała mnie, abym wstała i szła na przód, a łańcuchy trzymały. Piłam kieliszek za kieliszkiem, a ból nie ustępował. Jakoś coraz bardziej ciemno i ciężko mi się robiło. Dotąd piłam, aż przestałam czuć. Podobno cały czas powtarzałam jedno zdanie, że muszę odnaleźć siebie, muszę dać radę.

Gdy obudziłam się na drugi dzień, wszystko mnie bolało. Czułam, że cała jestem bólem wewnątrz i zewnątrz. Cierpienie dwakroć się zwiększyło. Doszedł jeszcze wstyd za swoją słabość. Wyglądałam jak „zbity pies”. Moja twarz była martwa i szara jak popiół. Rysiek robił zdjęcia. Pomyślałam z ironią, że to najlepszy moment do uwiecznienia mojej udręki. Potem, gdy obejrzałam te zdjęcia, przeraziłam się. Na mojej twarzy rysowała się śmierć. Czy on nie widzi całego tego kosmaru? Tego piekła, które tworzymy?

Powróciliśmy do Warszawy. Nie mogłam wrócić do równowagi, takiej jaką miałam przed wyjazdem. Jeśli oczywiście można nazwać to równowagą? Zaraz na początku stycznia postanowiłam zlikwidować odcisk, który miałam na palcu u nogi. Nie zastanawiając, się co będzie potem. Umówiłam się z chirurgiem. Oczywiście zabieg miał być odpłatny. Lekarz dopiero w trakcie zabiegu powiedział, że nie będę mogła w ogóle chodzić przez kilka dni, a potem powinnam się oszczędzać i chodzić w obszernym obuwiu. Byłam tym zaskoczona i do tego nieprzygotowana. Lekarz był zdziwiony moim brakiem wyobraźni, ale ja miałam głowę zajętą czym innym. Przyszłam do przychodni w butach na wysokich obcasach i zamierzałam powrócić do domu na własnych nogach. Lekarz śmiał się ze mnie i mówił, że sama zobaczę, jak będzie mi się chodziło z tą zabandażowaną nogą. Było mi wszystko jedno, bólu nie czułam, krew nie robiła na mnie wrażenia. Wstałam i poszłam sama do domu. Na razie nie odczuwałam bólu, dopiero w nocy zbudził mnie ostry ból. Wiedziałam, że będę kilka dni sama i tego chciałam. Wzięłam tabletkę przeciwbólową i dalej spałam. Na drugi dzień miałam trudności z chodzeniem i myciem. Byłam załamana. Zastanawiałam się, dlaczego zdecydowałam się na to? Dlaczego akurat teraz? Po co tak się z tym śpieszyłam? Czułam zamęt w głowie. To co robiłam było bardzo pochopne i nierozważne. Nie mogłam chodzić, a byłam sama. Ledwie coś niecoś mogłam zrobić sobie do jedzenia. Najgorsze było to, że musiałam leżeć w tak złym stanie psychicznym.

Poszłam do sąsiadki, która mieszkała na tym samym korytarzu i zapytałam, czy czasem będę mogła do niej przyjść i przenocować, gdyby mój mąż wrócił pijany. Bywało tak, że ja już byłam w nocnej koszuli, a on wracał pijany i był agresywny. Wtedy już nie było czasu na telefony, czy ubieranie się. Musiałam wyskoczyć z mieszkania, tak jak stałam. Mogłam zabrać tylko

torebkę. Sąsiadka była samotna, niedawno umarł jej mąż i mieszkała sama w dwupokojowym mieszkaniu. Oczywiście chętnie zgodziła się na moje wizyty o każdej porze dnia i nocy. Była wierząca i ludzka. Cieszyła się, że może być mi pomocna w tak trudnej sytuacji.

Leżałam dwa dni a na trzeci dzień miał powrócić Rysiek. Już byłam napięta i bałam się. Zadzwonił, że zaraz przyjdzie do domu. Był pijany. Ja nie mogłam chodzić i bardzo się przestraszyłam. W jego głosie słyszałam złość. Zatelefonowałam do siostry płacząc. Nie pamiętam co mówiła, w każdym razie nie mogłam liczyć na jej pomoc. Spazmatycznie płakałam. Myślałam, że tracę zmysły. Miałam takie wrażenie, jakbym była zamknięta w domu wariatów. a wszędzie były kraty. Zadzwoniłam do Matki Chrzestnej i powiedziałam w jakiej jestem sytuacji. Poprosiłam ją o pomoc. Matka Chrzestna powiedziała, że tylko kupi coś do jedzenia i zaraz przyjdzie. Poczułam ogromną ulgę. Jakaś głucha, ciemna ściana uchyliła się. Już znacznie mniej się bałam. Leżałam zupełnie sama już przez kilka dni i bardzo potrzebowałam kogoś bliskiego. Rysiek był mi obcy. Teraz każda osoba z ulicy była mi bliższa i bezpieczniejsza niż on. Wizyta Matki Chrzestnej uratowała mnie przed załamaniem. Nie wiem co by się stało, gdyby wówczas nie mogła przyjść, lub nie byłoby jej w domu. Ja byłam u kresu sił. Matka Chrzestna nie wiedziała o tym wszystkim, co się u nas działo. Trochę obawiałam się, że ją to może bardzo zaskoczyć. Narażałam ją na nieprzewidywalne zachowanie mojego męża. Ale tak bardzo potrzebowałam pomocy, że wszystko przestało być ważne.

Rysiek przyszedł przed nią, był pijany. Powiedziałam mu od razu, że ona ma przyjść. Marudził coś, ale nie wrzeszczał na mnie. Zaraz też przyszła Matka Chrzestna i on się hamował na tyle na ile potrafił, będąc pijany. Trochę mnie krytykował a ja siedziałam skurczona, blada i bardzo zastraszona. Potem Matka Chrzestna opowiadała mi, że wyglądałam okropnie, że nigdy nie zapomni tego widoku. Gdy tylko mogłam już jakoś chodzić, poszłam do swojego psychologa. Trochę obawiałam się z jego strony wymówek. Czułam się winna za ten stan, w którym jestem. Tyle już wiedziałam na temat współuzależnienia, a takie popełniałam błędy. Psycholog był ciepły i pełen współczucia, to przyniosło mi ogromną ulgę. Powiedział, że już niedługo przejdę do następnej grupy. Powiedział też, że to normalne, iż teraz potrzebuję wsparcia i że sama nie daję rady. Radził mi bardziej dbać o siebie. Kryzys zaczął mijać. Znów zaczęła powracać nadzieja. Nareszcie byłam wśród ludzi, którzy mnie rozumieją i wspierają w cierpieniu. Przebiłam następny gruby mur rozpacz i szłam dalej wiedziona bardziej instynktem, niż rozu-

mem. Miałam nadzieję, że dojdę do celu, którego jeszcze nie potrafiłam dokładnie określić.

Czytałam również książki teologiczne. Szczególnie dużo dały mi dwie książki prof. teologii Neil T. Anderson pt. „Zwycięstwo nad ciemnością” i „Kruszący kajdany”. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele błędów popełniałam w swojej wizji Boga. Powoli moje serce zaczęło się otwierać na Boga. Dotąd myślałam, że Bóg jest gdzieś daleko i nie chce przyjść do mnie. Teraz zrozumiałam, że Bóg może przyjść do człowieka tylko wtedy, gdy człowiek otworzy serce i zaprosi Go do swego wnętrza. Płakałam ze szczęścia, gdy to zrozumiałam. Otworzyłam swoje serce i Bóg przyszedł. Przyszedł pod postacią innych ludzi. Do tej pory czułam się grzesznikiem nie zasługującym na łaskę przebaczenia. Przeszłość trzymała mnie w swoich szponach. Byłam więźniem własnych przekonań. Czytając te książki zrozumiałam, że jeśli będę siebie uważać za grzesznika, to będę grzesznikiem i nic nie zmieni się w moim życiu. Nie będę w stanie zrobić pojedynczego kroku do przodu. Zaczęłam myśleć, że jednak jestem dzieckiem Boga, które czasem grzeszy. Ale to, że upadam nie znaczy, że nie jestem godna miłości i współczucia.

Pierwszy raz spoglądałam na siebie, jak na dziecko potrzebujące współczucia i pomocy, a nie potępienia. Spojrzenie to sprawiło, że zrobiłam duży krok do przodu. Zrozumiałam też, że nie mogę winić się za niedoskonałość, gdyż całe moje życie cechuje dążenie do doskonałości. Samo to, że jej pragnę, czyni ze mnie człowieka. Wszystkie te oczywiste prawdy były dla mnie olśnieniem. Przeważnie w naszym kościele słyszy się kazania o tym co powinniśmy robić, a czego nie powinniśmy. Ale najpierw powinniśmy chyba zrozumieć, czym jesteśmy w Chrystusie, poznać swoją tożsamość, a dopiero potem będziemy wiedzieć, co należy czynić. Nie można zaczynać wzrastać w wierze od ostatniego etapu, a pomijać pierwsze kroki. Dużo wtedy czytałam i bardzo dużo pracowałam nad sobą.

Zaczęłam inną grupę, w której musiałam pisać wiele prac. Z początku czułam się w niej nieswojo, ale gdy inne kobiety zaczęły mówić o sobie prawdę i odkrywać prawdziwe oblicze, stawały mi się bliskie. Zrozumiałam, że można prawie każdego człowieka polubić, gdy jest prawdziwy. W tej nowej grupie poznałam Zosię. Bardzo ją polubiłam i zaczęłam podziwiać. Również prowadząca naszą grupę miała na imię Zosia. Była bardzo ciepła i mądra. Ja trochę obawiałam się, że dla mnie na pewno nie będzie tak miła, jak dla innych. Nie wiem dlaczego tak myślałam? Zosia była inteligentna i posiadała wrodzony talent psychologiczny. Ona również przeszła małżeństwo z alkoholikiem. Była nam bardzo pomocna i rozumiała nas.

Napisałam kilka prac, ale jakoś tak powierzchownie, oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy. Bardzo chciałam dobrze je napisać, ale tak działają mechanizmy obronne. Gdy człowiek jest nie gotowy do zobaczenia czegoś to tego nie zobaczy. Na początku wszystko rozpracowywałam w sferze intelektualnej. Nadal byłam bardzo niepewna siebie. Miałam trudności z zabieraniem głosu, mówieniem o swoich uczuciach, czytaniem prac. Wstydziałam się, serce mi biło, gdy miałam zabrać głos, ale z determinacją pokonywałam wstyd i opory. Wiedziałam, że jeśli nie będę nad sobą pracować, nigdy nie osiągnę dojrzałości. Obserwowałam swoją koleżankę Zosię i podziwiałam jej odwagę i upór. Ona miała dwoje dzieci, męża alkoholika i trudną sytuację finansową, a pomimo tego robiła duże postępy. Podjęła decyzję o rozstaniu z mężem. Ja podziwiałam ją, nie byłam w stanie podjąć żadnej decyzji. Zosia była wierząca i miała właściwą wizję Boga. Ta wiara dawała jej ogromną moc. Posiadała również dar mądrości. Chodziła własnymi drogami i kierowała się intuicją, która była niezawodna. Obserwowałam ją i myślałam, że ja nigdy nie zdobędę się na taką odwagę. W kościele gorąco modliłam się o odwagę i dar mądrości. Mój świat był bezkształtny i pełen ciemności. Musiałam nadać mu kształty, musiałam stworzyć go od nowa, nauczyć się wszystkiego od nowa. Modliłam się o dar słuchania i słyszenia, patrzenia i widzenia tego co cenne. Z uwagą przysłuchiwałam się wypowiedziom innych koleżanek. Uważnie słuchałam co inni do mnie mówią. Wiedziałam, że w szybkim tempie muszę się wszystkiego nauczyć, gdyż sytuacja była coraz gorsza i zmuszała do podjęcia jakiejś decyzji. Pisałam następne prace i cały czas płakałam. Dziwiłam się skąd bierze się tyle łez? Zastanawiałam się dlaczego było tyle cierpienia w moim życiu? Chodziłam również na spotkania Al-Anonu.

Pewnego dnia poproszono nas, abyśmy wzięły udział w audycji radiowej na temat współzależnienia. Nie miałam odwagi, ale zgodziłam się, gdyż chciałam uczynić coś dla innych kobiet, które tak cierpiały, jak ja. Pragnęłam im pomóc. Potem, gdy słuchałam swojego głosu, nie mogłam go poznać. Był smutny, matowy i słyszalny, jak zza grobu. Ostatnie zdanie utkwiło mi w pamięci: „teraz dopiero poczułam, że jestem człowiekiem, dawniej tego nie czułam”. Gdy to usłyszałam, zaczęłam płakać długo i spazmatycznie, byłam sama w domu i mogłam swobodnie płakać. Kilka godzin siedziałam i płakałam nad sobą. Poprzez tę audycję uświadomiłam sobie to, że przez prawie całe życie nie czułam się człowiekiem. Myślałam, że nie mam prawa do życia, że tylko inni mają prawa, a ja nie. Pierwszy raz poczułam, że jestem człowiekiem.

Rysiek cały czas drwił ze mnie, wyśmiewał to, co robię. Albo krzyczał i straszył mnie. Spokój miałam jedynie wtedy, gdy go nie było. Te chwile stawały się wprost święte i bardzo cenne, gdy on wyjeżdżał. Zdawałam sobie z tego sprawę, że moja męka z każdym dniem się zwiększa. Już ledwie mogłam wytrzymać jego obecność. On nie chciał się leczyć, a ja pragnęłam jednak go ratować. Żal mi go było. Bolało mnie patrzenie na upadek bliskiego człowieka, w końcu tyle lat z nim spędziłam. Czasem ból rozrywał mi serce, gdy na niego patrzyłam. Właściwie to świadomość, że może jednak mogę mu jakoś pomóc, trzymała mnie przy nim. Była pełnia lata, tak zawsze lubiłam lato, teraz byłam pochłonięta własnymi problemami.

Pewnego dnia, w godzinach rannych Rysiek za coś na mnie krzyczał, ja stałam i patrzyłam na niego. W pewnym momencie zdałam sobie z tego sprawę, że czuję się winna. Co za paradoks – pomyślałam, on krzyczy na mnie, ja nic nie odpowiadałam i czuję się winna. Zaczęłam płakać. Jak przez mgłę przypomniało mi się dzieciństwo i dziadek. Czułam intuicyjnie, że na to, co się dzieje w teraźniejszości ma wpływ przeszłość. Czułam ogromne poczucie krzywdy i ból. Nie byłam w stanie o tym wszystkim myśleć i przeżywać to w samotności. Nie mogłam doczekać się, kiedy pójde na grupę i tam dopiero będę w stanie to przeżyć. Tłumiony ból i gniew narastał we mnie. Czułam silne napięcie mięśni i strach przed bólem, który wydawał się przerażający. Wyszłam z domu, szłam jak lunatyk, byle tylko dojść. Nic nie widziałam z tego co mijalam. Przed spotkaniem z grupą byłam jeszcze na godzinnym wykładzie. Siedziałam napięta i walczyłam, aby nie wybuchnąć płaczem. Dopiero na grupie wybuchłam opowiadając to, co się wydarzyło. W pewnym momencie zacięłam się i myślałam, że ból mnie rozerwie. Płakałam spazmatycznie i trzymałam się za głowę. Długo tłumiony płacz i poczucie krzywdy znalazło swoje ujście. Prowadząca naszą grupę Zosia, kazała mi powtarzać zdanie: „Ja, Basia, nie pozwolę się już krzywdzić”. Z początku mówiłam cicho, potem coraz głośniejszym i pewniejszym głosem. Miałam wrażenie, że pękł we mnie ogromny balon bólu. Płakałam i czułam się coraz lepiej. Mięśnie stawały się rozluźnione, twarz jaśniała blaskiem nadziei. W tym momencie miałam wrażenie, że rodzę się duchowo poprzez ból. Mieszała mi się postać dziadka i mojego męża. Wypłakiwałam krzywdę, którą mi zadali i w sercu postanowiłam nie dać się więcej krzywdzić. Ten moment był przełomowy w całej terapii. Potem dość szybko zaczęłam się rozwijać. Zdałam sobie z tego sprawę, że od samego dzieciństwa pozwalałam w sobie tłumić wolność i prawo do bycia taką jaką jestem. Potem już sama nie dawałam sobie do tego prawa. Aż w końcu przestałam czuć się człowiekiem.

Pewnego dnia, gdy wyszłam z mityngu zatrzymało mnie dwóch kolegów i wybraliśmy się na wspólny spacer. Obydwaj byli barczystymi, wysokimi i przystojnymi mężczyznami. Sprawiało mi przyjemność spacerowanie z nimi trzymając ich pod ramię. Niektórzy przechodnie oglądali się za nami. Moja odpowiedź podczas mityngu poruszyła ich i zaproponowali mi pomoc i opiekę.

Obecnie, co tydzień uczęszczam na grupy samopomocy, które odbywają się w tym samym miejscu gdzie uczęszczałam na terapię. Właśnie tu często ich spotykam i czasem wybieramy się na spacer. Oni bardzo podziwiają moją postawę, w której nie zagościła gorycz; moją łagodność i kobiecość. Mówią mi też o tym, że w odróżnieniu od innych ja nigdy nie narzekam, nie uskarżam się, tylko krótko i jasno opowiadam swoje przeżycia. To ich wzrusza i skłania do roztaczania opieki nade mną. Jestem im bardzo za to wdzięczna. Pewnego razu zaproponowali zebranie większej grupy niepijących alkoholików i wyrównanie rachunków za krzywdy, które zadali mi mój mąż i szwagier. Twierdzą, że z całego serca pragną dać nauczkę tym, którzy podnoszą ręce na słabe istoty.

Minął już jakiś czas od złożenia ich propozycji. Co kilka miesięcy wracali do tego tematu, mając nadzieję, że zmienię zdanie. Czasem, będąc na zabawie w Petrze chce mi się śmiać, że tak ofiarnie pilnują, aby nic złego mnie się nie stało. Ciekawe, co by uczynili gdyby spotkała mnie jakaś przykrość? Oczywiście, ich obecność wywiera wpływ na wszystkich moich adoratorów, którzy nie zawsze są zadowoleni z przebiegu zdarzeń. Cała ta sytuacja obrazuje, że jednak wcześniej czy później, na każde zło znajduje się rada. Gdyż zawsze za słabszym może stać ktoś silniejszy.

Wiedziałam, że jeszcze wiele pracy czeka mnie nad sobą, nad tym, aby w pełni stać się człowiekiem, aby rozwijać w sobie pełnię swojej istoty. Nie czuć prawa do życia, nie czuć się człowiekiem – to straszne cierpienie. To cierpienie pozbawia zupełnie siły i chęci do życia. Zmusza do ucieczki, do ucieczki od siebie, od swojej nicości. Uciekłam przed nim i przed sobą w świat drugiego człowieka. Tam spotkał mnie zawód i ból. Traciłam wiarę we wszystko. Aż doszłam do kresu swego cierpienia. Obserwowałam inne osoby w czasie terapii. Każda z nas miała swój czas na rozwój i swoje tempo. Każda z nas wiele przeszła i bardzo cierpiała, ale cierpienie jest odczuwane subiektywnie, tak jak wszystko przez człowieka. Każdy człowiek ma inną, właściwą tylko dla siebie granicę cierpienia. Dopiero silne cierpienie jest w stanie obudzić nas i zmusić do działania. Dopiero, gdy mamy dość dotychczasowego życia, jesteśmy otwarci na zmianę.

Nadal wyjeżdżałam z mężem na wieś do jego mamy. Nasz pan Henryk był chory na raka płuc i umierał w domu dla nieuleczalnie chorych w Łodzi. Ja z Ryśkiem jeździliśmy go tam odwiedzać. Rysiek zawsze histeryzował przed takim wyjazdem, a potem, gdy powróciliśmy, pił. Siedział i rozpaczał, myślał, że opłakuje pana Henryka, a użalał się nad sobą. Pan Henryk, pod koniec dusił się i był bardzo chudy. Było mi smutno, gdy na to patrzyłam. Modliłam się o szybką śmierć dla niego, aby długo nie cierpiał. Gdy rozmawiałam z nim byłam pogodna, chciałam dodawać mu otuchy. Rysiek miał minę cierpiénika. Zachowywał się tak, jakby miał pretensję do śmierci, że w ogóle istnieje. W końcu powiedziałam mu, że jeśli nie może, to niech zostanie w samochodzie, a ja sama będę tam wchodziła. Już nie mogłam znieść tego, co on mówił. Dla mnie, gorsza od śmierci faktycznej, była śmierć za życia w postaci śmierci duchowej. Pan Henryk był już starszym człowiekiem, bardzo dużo palił i pił. Jego śmierć nie budziła tyle sprzeciwu, co śmierć ludzi młodych, była jakby nieuchronna. Bałam się tylko o to, aby nie cierpiał zbyt długo.

Nie wiem jak to wszystko spostrzegął Rysiek. On tak histeryzował, jak małe dziecko. Przy tym zachowywał się okrutnie w stosunku do mnie i swojej mamy. Kogo i czego tak żałował? Nad czym tak płakał? Nie wiem. Patrzyłam na niego i myślałam, ale ja mam oparcie w swoim mężu - towarzyszu życia. Przecież on w ogóle nie przypomina mężczyzny - myślałam.

W niedługim czasie otrzymaliśmy telefon, że pan Henryk zmarł. Pogrzeb był za kilka dni. To było jakoś przed świętem Bożego Ciała i wypadało kilka dni wolnych od pracy. Chciałam być koniecznie na pogrzebie, który miał być w Łodzi. Kilka dni miałam spędzić na wsi z Ryśkiem. Ja tego nie dam rady wytrzymać! Co robić, zastanawiałam się. Mogłam sobie wyobrazić, jak będzie zachowywał się Rysiek. On oczywiście zachowywał się tak, jakby tylko jego martwiła śmierć pana Henryka. Po prostu, nic innego nie istniało na świecie, tylko on ze swoim żalem. No cóż, pomyślałam, tyle wytrzymałam, wytrzymam i to. Przygotowałam czarny strój i byłam gotowa do wyjazdu. Było piękne lato. Właściwie w takim okresie najprzyjemniej jest na wsi, wśród zieleni rozległych pól. Nie czuje się tam upału i kontakt z przyrodą daje wytchnienie. Wszystko byłoby dobrze, tylko żeby Ryśka tam nie było. On na pewno wprowadzi zamęt i rozpacz. Jego wyskoki i zachowanie po pijanemu było już niestrawne dla mnie.

Minął jeden dzień i wybieraliśmy się do Łodzi. Ja, mama i sąsiadka, która mieszkała obok naszego domu na wsi. Był upalny dzień, robiło się nieznośnie gorąco, a czarny strój, który miałam na sobie jeszcze potęgował uczucie gorąca. Weszłam pierwsza do małej kaplicy obok kościoła. Dziwnie

martwy chłód bił z jej wnętrza. W samym środku kaplicy stała otwarta trumna. Pan Henryk wyglądał upiornie. Był sino-fioletowy, wychudzony i zupełnie niepodobny do tego, którego znałam. Wcześniej nigdy nie widziałam nieboszczyka, ułożonego tak dostojnie w trumnie. Poczułam zawrót głowy i nogi zrobiły się jakieś – takie gumowe. Zrobiło mi się niedobrze. Sąsiadka zobaczyła, że zbladłam i poprowadziła mnie do kościoła. Usiadłyśmy w kościele. Trochę lepiej się poczułam. Rysiek był zły, że odeszłam. Ona tłumaczyła mu, że źle się poczułam. Powróciłam do kaplicy. Pomyślałam sobie, że każdy napotkany człowiek ma więcej ludzkich uczuć wobec mnie, niż Rysiek. Cieszyłam się, że ona stoi przy mnie, a nie on. Dziwne, tyle lat żyłam z zupełnie obcym człowiekiem, jak to się mogło stać? Czy innych ludzi też coś podobnego spotyka?

Msza i pogrzeb zakończyły się, potem był obiad w restauracji. Byłam głodna i zmęczona. Chętnie i z apetytem jadłam. Był tam nieznany mi starszy, elegancki mężczyzna. Nadszakiwał mi, a mnie sprawiało to przyjemność. Jakże dobrze czuję się wśród ludzi, jak wiele mam dla nich ciepła – myślałam. Tylko wszystko jakoś zamiera przy Ryśku. On ma chyba jakąś zdolność paraliżowania wszystkiego, co dobre w człowieku a wyzwalania wszystkiego, co złe. Powróciliśmy wszyscy do domu. Rysiek zaczął pić i oglądał film na wideo pt. „Noce i dnie” Ciągłe puszczał jeden urywek i rozpaczał. Wołał mnie i kazał mi go oglądać. Gdy chciałam odejść, wrzeszczał i kazał mi pozostać. Przyszła jego mama i kazała mu się uspokoić. Krzyczała na niego, co go jeszcze rozjuszało. Ja siedziałam cicho i spokojnie. Skorzystałam z okazji i wyszłam.

Poszłam na spacer nad staw, który był na naszym terenie. Potem przyszła do mnie mama. Była smutna i mówiła, że on jest chory umysłowo, wygląda jak obłąkany. Błagała mnie, abym odeszła od niego. Bała się o mnie. Gdy on przy niej próbował we mnie rzucić wazonem, mama stanęła i zasłoniła mnie swoim ciałem. Powiedziała do niego: „Nie tkniesz jej, chyba, że po moim trupie”. Rysiek wiele razy podobnie mnie straszył, więc tym razem zbytnio się nie bałam; raczej wiedziałam, że nie rzuci wazonem. Lecz mama wzięła to poważnie i była zrozpaczona. Tłumaczyła mi, że muszę odejść, gdyż jemu nic już nie może pomóc. „Ratuj się ty, dziecko” – błagała. „Przecież on może zrobić ci krzywdę i będziesz kaleką, a on nie będzie opiekował się kaleką. Albo może cię zabić”. – mówiła. Długo rozmawiałyśmy, siedząc nad stawem. Wszędzie była zielona, soczysta trawa, błękitne niebo, przezroczysta woda, która odbijała piękno świata. Jak piękny jest świat! Po co człowiek istnieje na świecie? Czy po to, aby niszczyć jego piękno? Powiedziałam mamie, że ja widzę to wszystko i modlę się o pomoc. Gdyż nie potrafię

podjąć decyzji bez stuprocentowej pewności, że dobrze robię. Muszę jeszcze trochę poczekać, aby nigdy nie żałować tego, co zrobiłam. Również muszę mieć pewność, że nie jestem w stanie mu pomóc. Gdy chciałabym mu pomóc i boli mnie to, że on ginie. Ginie na moich oczach, a ja nic nie mogę na to poradzić. Muszę usłyszeć swój wewnętrzny głos, który zawsze wskazuje mi właściwą drogę. Na razie jakoś go nie słyszałam. Już wtedy wiedziałam, że to jest jedyne i rozsądne wyjście. Lecz było coś, co mnie przy nim trzymało.

Na drugi dzień Rysiek zaczął pić już od rana. Nigdy dotąd nie pił rano. Wyglądał strasznie. Chodził rozczochrany i boso po domu. Jego twarz była skurczona od bólu i rozpacz. Był agresywny, złość go rozsadzała. Ścisnęło mi się serce z bólu, gdy na niego patrzyłam. Bałam się go i bardzo było mi go żal. Było święto, słuchałam mszy przez radio i bardzo się modliłam. Modliłam się o pomoc dla siebie, dla niego, dla wszystkich, którzy cierpią podobnie jak my. Byłam bliska załamania. Po południu przyjechał jego brat. Rysiek złościł się na niego i bardzo się pokłócili. Ja, gdy to słyszałam, popadłam w rozstrój nerwowy. Zrobiło się wielkie zamieszanie, mama wkroczyła między nich, a ja trzęsłam się cała i głośno płakałam. Mama patrzyła na mnie z przerażeniem. Była bardzo zdenerwowana. Krzyczała na Ryśka: „Co z nią zrobiłeś, ona jest jeszcze bardziej chora niż ty. Wykończyłeś ją” - krzyczała i wyzywała go od tyranów. Rysiek wyglądał jak zranione, drapieżne zwierzę. Chciało mi się wyć z bólu, gdy na niego patrzyłam. Wszystko to wyglądało rozpaczliwie i beznadziejnie.

Gdy powróciliśmy do Warszawy, czułam się jak po ciężkiej chorobie. Byłam przybita i potrzebowałam wsparcia. Kiedy Rysiek był w domu, ja z niego uciekałam. On jeszcze bardziej teraz, gdy czuł, że mnie traci, próbował wszelkich manipulacji. Tłumaczył mi, że nie mam gdzie pójść. Mówił: „Zobaczysz jak twoja rodzina pomoże ci. Jeszcze się przekonasz”. Straszyl mnie, że nie mam żadnych szans dać sobie rady sama. Nie masz pieniędzy i pracy, nie masz nikogo - mówił. Jesteś sama i chora psychicznie. Gdy wracałam po kilku godzinach do domu to zawsze dokładnie pytał, gdzie byłam i co robiłam. Jakby prowadził śledztwo. Cokolwiek mówiłam, było zawsze nie tym, co chciał usłyszeć. Teraz często chodziłam do kościoła i jeździłam na cmentarz, na grób mamy. Gdy wracałam z cmentarza Rysiek śmiał się i mówił: „Już nic ci nie pozostało oprócz Boga i nieżyjącej matki”. - Ja mówiłam, że posiadać wiarę w Boga, to znacznie więcej niż jesteś w stanie zrozumieć. To nie jest nic, ale bardzo dużo. Dzięki terapii i głębokiej wierze w Boga, zyskiwałam coraz więcej siły i odwagi. Gdy ja stawałam się coraz silniejsza, Rysiek coraz bardziej szalał. Chciał, abym zrezygnowała z terapii,

abym stała się taka jak dawniej. A przecież tyle wad widział we mnie dawniej.

Pewnego dnia zagroził mi i kazał pozostać w domu. Ja powiedziałam, że nie zostanę i będę dalej się leczyć. Gdyż to moja sprawa, co uczynię ze swoim życiem. Spojrzał na mnie z nienawiścią i wycedził: „Zobaczymy co będzie, gdy pójdziesz!” – Wyszłam jak zawsze i powróciłam wieczorem. Rysiek był podпиты i zaczął wrzeszczeć i przezywać mnie. Ja spokojnie pakowałam podręczną torbę. Rzucił we mnie torebką, w której była parasolka. Torebka trafiła w moją głowę, zabolalo mnie, szybko pojawił się guz. On krzyczał jak opętany, aż krztusił się od tego wrzasku. Pośpiesznie wyszłam z domu. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Stanęłam na przystanku, chciałam zebrać myśli, byłam roztrzęsiona. Był już późny, letni wieczór. Robiło się ciemno. Właściwie to tylko u swojej rodziny mogłam zatrzymać się na kilka dni. Nie miałam ochoty tam jechać, ale nie miałam innego wyjścia. W tej sytuacji, w jakiej się znalazłam potrzebowałam wsparcia, zrozumienia i ciepła. Poza tym oni mogli się martwić o to, że mogę z nimi zamieszkać. Mój ojciec, siostra i ja byliśmy właścicielami tego domu, w którym oni zamieszkiwali. Moja siostra wyszła za mąż i miała dwoje dzieci. Ten dom nie był na tyle duży, abyśmy wszyscy tam mogli mieszkać. Siostra powinna mnie spłacić, ale nigdy nie mieli na to pieniędzy. Na pewno liczyli na to, że ja sama z tego zrezygnuję, w końcu miałam bogatego męża. Przyzwyczaili się już do tego, że ten dom jest ich i na pewno nie cieszyło ich to, że ja mogę z nimi zamieszkać. Sytuacja była niezręczna. Atmosfera ich domu też była napięta i pełna chaosu. Czasem przebywając tam pół dnia czułam zmęczenie i zamęt, który szybko mi się udzielał. Rysiek dobrze wiedział, że jeśli tam pójde, to znaczy, że zmusiła mnie do tego ostateczność.

Jechałam autobusem z ciężkim sercem, obawiając się jak będę przyjęta. Gdy przyszłam, siostra zadała mi jedno konkretne pytanie i nikt już o nic nie pytał. Raczej wszyscy byli życzliwi i pogodni. U nich w domu nie mówiło się o uczuciach. Wypowiadało się wiele słów, pomijając to, co najważniejsze. Córeczka mojej siostry Agnieszka, zadawała mi pytania z właściwą szczerością dziecka. Brałam ją na kolana i tłumaczyłam jej, tak jak umiałam najprościej. Bardzo kochałam dzieci mojej siostry i z nimi czułam się dobrze. Zadawały mi wiele pytań, a ja zawsze odpowiadałam, sprawdzając czy mnie dobrze rozumieją. Nigdy nie odpowiadałam, że to są sprawy dorosłych, że one nie powinny tym się interesować. Dzieci odwzajemniały mi się miłością i czułością.

Po kilku dniach pobytu tam i wewnętrznego rozdarcia, powróciłam do Ryśka. Nie byłam jeszcze gotowa na odejście. To dojrzewanie we mnie de-

czyż o odejściu było straszliwie męczące. O niczym nie byłam w stanie myśleć, na niczym skupić uwagi, żyłam w ciągłym napięciu i wyczekiwaniu. Wyczekiwałam tego, że może wreszcie usłyszę jakiś głos, na którym będę mogła się oprzeć. Na razie byłam jeszcze bardzo chwiejna emocjonalnie. Przesiadywałam po kilka godzin w pustym kościele, czując bezradność. Modliłam się o mądrość, odwagę i rozsądne myślenie. Czekałam na głos Boga, który usłyszę w swoim wnętrzu. Zadawałam Bogu pytanie, czy mam odejść, czy nie? Błagałam o pomoc i zmiłowanie. Byłam u kresu sił. Miałam wiele wątpliwości. Nie chciałam krzywdzić Ryśka, ja w ogóle nie chciałam krzywdzić nikogo. Gdybym miała choć jeden procent wątpliwości, że mogę go jednak uratować, nie odeszłabym. Teraz, prawie że byłam pewna, że jego nie uratuję, raczej czułam, że sama utonę. Zastanawiałam się, co to jest, co mi nie pozwala odejść.

W czasie terapii wiele zrozumiałam, zrozumiałam również, czym jest miłość. Wiedziałam, że w naszym związku nigdy jej nie było. Dla Ryśka byłam przedmiotem, a nie człowiekiem. Natomiast w sobie nie wykształciłam zdolności kochania. Byłam za bardzo niedojrzała i znerwicowana. Aby móc kochać drugiego człowieka, najpierw trzeba pokochać i zaakceptować siebie. Ja siebie nie znosiłam i uciekałam od siebie do drugiego człowieka. „Jeden idzie do bliźniego, ponieważ siebie szuka, drugi, ponieważ siebie zatracić pragnie” – pisał Nietzsche. Ten, który szuka zatracenia, nigdy nie odnajdzie miłości. Zrozumiałam to, zaczęłam trudną pracę nad polubieniem siebie samej. Wiedziałam, że to jest pierwszym krokiem w stronę miłości. Od czasu tamtego rozpaczliwego płaczu na grupie, rozwijałam się szybko. Terapeuci byli ze mnie zadowoleni. Koleżanki w grupie chętnie słuchały moich wypowiedzi i prac. Mówiły, że mówię i piszę pięknym językiem. Już coraz mniej obawiałam się zabierać głos. Dużo mówiłam o sobie i swoich uczuciach. Czułam się dobrze z tą możliwością dzielenia się sobą w atmosferze życzliwości i prawdy. Każdego dnia robiłam mały krok do przodu. Z wielkim zaangażowaniem uczyłam się wszystkiego od nowa. Uczyłam się jak żyć, zdobywałam najcenniejszy dar – sztukę życia. Nigdy nie opuściłam żadnego zajęcia grupowego. Wiedziałam, że to, co tu zdobywam, zdobywam dla siebie. Byłam bardzo wdzięczna terapeutom i całemu ośrodkowi za możliwość tam leczenia. Wykonywałam wszystkie zadania na czas, lub przed czasem. Wiedzieliśmy, że tutaj zdobywamy cenne skarby, to nie była nudna nauka w szkole. To było jak samo życie, pełne tajemnic, głębi i bogactwa. Każda wypowiedź, każda praca była perłą, gdyż odkrywała nam ludzkie serce. Chłonełam wszystko i stawałam się innym człowiekiem. Zawsze moim największym pragnieniem, było pragnienie stania się człowie-

kiem. Teraz miałam ku temu szansę. Nareszcie mogłam uczyć się tego, co było dla mnie najważniejsze.

Byłam tak pochłonięta nauką, że mogłam sprawiać wrażenie szaleńca. Rysiek od dłuższego czasu mówił, że jestem chora psychicznie. Mówił, że przestałam chodzić po ziemi. Dla niego, który interesował się tylko tym, co miało użyteczność i było realne, takie zajmowanie się duchowością, równało się chorobie psychicznej. Tylko dziwiłam się dlaczego, jeśli jest przekonany o mojej chorobie, nie daje mi się leczyć. Zrozumiałam to, że ja i Rysiek żyjemy w zupełnie innych światach. Jesteśmy tak różni - po prostu dzieli nas przepaść ludzkiego niezrozumienia. Nie ma żadnych szans na zbliżenie się i zrozumienie. Nigdy nie powinniśmy się spotkać. W porównaniu z nim byłam delikatnym kwiatem, który on deptał. Mało było mu, że mnie deptał, jeszcze wgniatał mnie w ziemię. To w ogóle cud, że byłam w stanie jeszcze podnieść się i walczyć. Gdyż teraz walczyłam o przetrwanie. Wiedziałam, że jeśli zostanę to on zniszczy mnie.

Odejście od męża

Jeszcze raz wyprowadziłam się na tydzień z domu, tym razem zabrałam całą walizkę. Znów wróciłam. Uciekałam przed niezdolną sytuacją, ale jeszcze nie podjęłam decyzji o rozstaniu. Musiałam zobaczyć całkowitą beznadziejność tego związku, aby odejść. Rysiek drwił ze mnie i śmiał się. Mówił, że na pewno nie było mi zbyt dobrze u rodziny. Wszystkie jego manipulacje i straszenie mnie nie dawało pożądanych przez niego rezultatów. Zaczął wydzielać mi pieniądze, pytał kiedy podejmę pracę. Miałam zacząć pracę za kilka miesięcy, wcześniej nie było takiej możliwości. Tłumaczyłam mu to spokojnie i robiłam swoje. Teraz, gdy był zły przestał dawać mi pieniądze. Powiedział, że będzie jadł poza domem, a mnie nie da pieniędzy. Bardzo oszczędnie robiłam zakupy i wydawałam mało pieniędzy. Pewnego dnia powiedział, że nie da mi wcale pieniędzy. Pojechałam na cały dzień do siostry, opowiedziałam jej co się u mnie dzieje. Wydawało się, że mi współczuje. Wróciłam wieczorem. Lodówka była pusta. Zjadłam bułkę z masłem na kolację. Rysiek wszedł do kuchni i spytał, czy nie chciałabym zrobić jutro zakupów i kupić sobie wszystko co lubię? Powiedziałam, że jest mi wszystko jedno. Nie mam apetytu. Ta sytuacja wydawała mi się wprost nierealna, nie mogłam zrozumieć, że coś takiego można zrobić. To było w mojej ocenie nieludzkie. Opowiadałam o tym na grupie ze zdumieniem i niedowierzaniem, że coś takiego zaistniało w moim życiu. Oczywiście u wielu moich koleżanek sytuacja była podobna. Zaczęłam czuć wstręt do Ryśka. Gdy się przybliżał do mnie, sztywniało moje ciało i czułam blokadę. Powiedziałam, żeby do mnie nie podchodził. „Na razie nie możesz się do mnie zbliżyć” – mówiłam. Rysiek oniemiał i ciągle próbował mnie dotykać i sprawdzał, czy to prawda. Robiłam się blada, gdy zbliżał się i robiło mi się niedobrze. Mój mąż stał się dla mnie najbardziej obcym i wrogim człowiekiem na świecie. On nadal próbował podchodzić do mnie. Powiedziałam, że jeśli nie zostawi mnie w spokoju, to się wyprowadzę. Widząc, co się dzieje, dojrzałam wreszcie do decyzji o rozstaniu. Powiedziałam, że muszę trochę odpocząć i zastanowić się, co dalej. Nie miało sensu to wszystko. Męka zwiększała się, narastała obcość, zwiększały się jego manipulacje. Nic już nie było do uratowania. Zapakowałam dużą walizkę i wiedziałam, że nigdy tu już nie wrócę. Nawet, gdy podjęłam decyzję odejścia, byłam z nim emocjonalnie związana. Odejście od niego i zaczęcie nowego życia, było wielkim bohaterstwem z mojej strony. To bardzo boli, gdy traci się iluzję. Również bardzo trudno jest się przyznać przed samym sobą, że we wszystkim się myliło. Nie praco-

wałam zawodowo, ten związek był dla mnie całym światem. Czy aż tak można siebie oszukać? – zadawałam sobie pytanie. Czy można tyle lat żyć w nierealnym świecie, który usilnie chce się uważać za prawdziwy? Co ja uczyłam ze swoim życiem? Jak dobrze, że nie mamy dzieci, które przecież musiałyby bardzo cierpieć.

Pierwszy moment utraty iluzji, to silny ból, aż skręca wewnątrzności. Potem ten ból mija i przychodzi ulga i poczucie wolności. Potem jeszcze dochodzi poczucie zwycięstwa i radość z pokonania własnych słabości. Wiele szczęśliwych chwil przeżyłam podczas terapii. Budziłam się do życia, coraz dalej zostawiałam ten martwy świat. Jeszcze czułam wiele obciążeń, ale już wiedziałam, że dam radę; przynajmniej znajdowałam się na drodze do zwycięstwa. Miałam w sobie dużo energii i wiary, wiary, że podołam, że nie załamie się, że pozostanę już zawsze człowiekiem. Kiedy wyprowadzałam się, czułam ból emocjonalny, ale wiedziałam, że to jest nieuniknione. W końcu ból minie i zaczne nowe życie. Powiedziałam szczerze siostrze i ojcu o mojej decyzji. Poprosiłam ich o chwilową pomoc. Miałam bardzo mało pieniędzy. Jeszcze nie miałam pracy.

Kończyło się upalne lato. Wieczorami siedziałyśmy na podwórku i rozmawiałyśmy, ja i siostra. Patrzałam na zieleń wokół mnie, widziałam jej piękno i zastanawiałam się, czy to co widzę jest realnym światem, czy złudzeniem. W końcu tyle lat żyłam w złudnym świecie. Jak dotrzeć do rzeczywistości, jak pozbawić się złudzeń do końca. Czułam w sobie zamęt emocjonalny i jeszcze nie wyciszony ból. Siostra miała dla mnie mało czasu. Ciągłe była zajęta gotowaniem i domowymi pracami. Nawet dla dzieci miała mało czasu. Ojcu dużo opowiadałam o tym, jak cierpiałam i jak pragnę zacząć nowe życie na własny rachunek. Życie, które będzie pełne treści i sensu. Już podczas terapii postawiłam sobie dwa najważniejsze cele: stać się prawdziwym człowiekiem i czynnie pomagać innym ludziom. Wiedziałam, że w tym działaniu odnajdę siebie i sens swojego życia. O tym wszystkim mówiłam ojcu. On słuchał, kiwał głową i zdawało się, że rozumie. Ja, będąc na jego miejscu, byłabym dumna z odwagi swojego dziecka. Tak chciałam tego, aby choć raz w życiu stał się dla mnie ojcem. Dziwnie obco się czułam, potrzebowałam ludzkiego ciepła, byłam taka poobijana i zmęczona ustawiczną walką. Mąż mojej siostry traktował mnie jak rzecz, podszczypywał, dokuczał mi lub prawił komplementy. Nie wiedziałam, jak na to reagować. On robił to przy mojej siostrze. Czułam się nieswojo. Byłam za bardzo zmęczona, aby ciągle zachowywać czujność i opanowanie. Gdy szwagier pił alkohol, słuchał tak głośno muzyki, że można było oszaleć. Był bardzo agresywny, gdy się napił i wszyscy się go bali, dzieci również. Wychodziłam wte-

dy na spacer lub szłam do pokoju ojca. Kiedy szwagier dokuczał mi a ja z płaczem biegłam do ojca, ojciec mówił, że chyba lepiej, abym wróciła do męża, gdyż jednak tam było mi trochę lepiej niż tu. Ojciec był sparaliżowany lękiem. Nie wiem, co działo się w ich domu, ale na pewno nic dobrego. Siostra też bała się szwagra. Trudno mi było uczyć się w takiej atmosferze. Trudno było tam w ogóle oddychać. Staralam się w niczym nikomu nie przeszkadzać. Pomagałam siostrze w sprzątaniu, gotowaniu, zmywaniu. Gdy cicho przemyślałam się, szwagier śmiał się i nazywał mnie „myszką”. Ja zawsze byłam delikatna w zachowaniu. Nigdy nie trzaskam drzwiami, mówię cicho, nigdy nie krzyczę, nie robię niepotrzebnych hałasów. Taki jest mój sposób bycia. Gdy wchodzę do łazienki to pytam się, czy ktoś potrzebuje tam wejść. Czy mogę to, czy tamto? Szwagra zdawało się to irytować. Siostrze raczej to odpowiadało. Nie było ze mną kłopotów, zawsze pytałam, czy mogę to zjeść, czy nie? Kiedy myślałam o Ryśku, to czułam ból i takie wewnętrzne rwanie. Nie mogłam sobie wyobrazić, co on robi beze mnie. Jak sobie daje radę. Przecież w domu wszystko ja robiłam. Było mi dziwnie ze świadomością, że w tym domu już mnie nie ma.

Czułam takie dziwne zawieszenie. Już opuściłam dawny świat, ale jak zrobić pierwszy krok do nowego świata? Bałam się tego, że jeszcze mogę powrócić do tamtego świata jakby on miał jeszcze moc nade mną. A jeśli znów wciągnie mnie ta czarna otchłań – myślałam. Jeszcze jestem taka słaba i zagubiona. Muszę, jak małe dziecko, nauczyć się wszystkiego od nowa. Dopiero gdy przekroczę niewidzialną granicę, która dzieli te dwa światy i zakorzenię się w nowym świecie, to ten dawny utraci nade mną moc. Ale to jeszcze musi trochę potrwać. Tak bardzo potrzebowałam wsparcia i otuchy. Ciągłe zamęczałam siostrę, aby mnie słuchała. Ona miała tak mało czasu. Czułam, że teraz rozstrzyga się cały mój los. Nic nie było dla mnie ważniejsze, niż to. Może byłam zbyt zapatrzona w siebie, ale to była naprawdę trudna dla mnie sytuacja.

Po sześciu tygodniach wybrałam się do Ryśka, gdyż chciałam wziąć resztę swoich rzeczy. Wiedziałam, że muszę powiedzieć mu o swojej decyzji i zapytać czy zgadza się na rozwód. Bałam się tej wizyty, ale chciałam mieć to już za sobą. Poza tym obiecałam, że za sześć tygodni pojawię się. Zatelefono wałam do niego i zapowiedziałam swoją wizytę. Wzięłam pustą walizkę i torbę na swoje rzeczy. Bardzo biło mi serce, gdy stałam przed drzwiami dawnego naszego, wspólnego mieszkania. Już samo wejście do budynku było trudne. Czułam ciężar w sercu i napięcie w ciele. Rysiek otworzył drzwi. Weszłam i szybko usiadłam na fotelu w dużym pokoju. Nie chciałam na nic patrzeć, nic sobie przypominać. Pragnęłam patrzeć na wszystko tak jakbym

uprzednio nigdy tu nie była. Z trudem przychodziło mi mówienie. Rysiek podał mi kieliszek koniaku. Byłam błąda i zmęczona. Rysiek powiedział, że wyglądam bardzo źle i koniak dobrze mi zrobi.

Mówiłam słabym, załamującym się głosem o tym, co postanowiłam. Dał mi milion starych złotych i powiedział, że zgadza się na rozwód. Myślę, że bał się roszczeń z mojej strony i dlatego chciał przeprowadzić rozwód. Pamiętam, jak straszył mnie, że jeśli będę miała jakieś roszczenia zniszczy mi twarz. On bardzo cenił sobie rzeczy materialne. Teraz zachowywał się spokojnie i taktownie, jak rzadko kiedy. Był trzeźwy i nie chciał pić. Wstałam i poszłam do kuchni po papierosy i nagle poczułam ostry ból, gdy zobaczyłam swoją kuchnię. Prawie przestałam widzieć, mogłam tylko zobaczyć papierosy i popielniczkę. Reszty nie byłam w stanie zobaczyć. Bardzo zdziwiło mnie to, gdyż coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz. Po prostu przestałam widzieć, tak bardzo bałam się bólu. Wszystko wokół przypominało mi dawną siebie, jakbym wszędzie zostawiła część siebie. Boże, czy kiedyś odnajdę swoje miejsce w świecie!

Następny dzień po tym spotkaniu przeplakałam. Byłam obolała i śmiertelnie znużona, lecz nie mogłam sama przebywać w pokoju, potrzebowałam wsparcia i innych ludzi. Siostra była czymś, jak zawsze zajęta, lecz opiekowała się mną, szykowała mi jedzenie i w wolnych chwilach słuchała mnie. Ja miałam ogromną potrzebę mówienia, wyrzucenia z siebie tej goryczy i bólu. Nie wiedziałam dlaczego to tak boli? Właściwie, co powoduje tyle bólu? Ojciec i szwagier zachowywali się tak, jakby w ogóle nie chcieli mnie widzieć. Udawali, że wszystko jest w porządku. Nikt nie zadawał mi pytań. Tylko dzieci pytały. Ja jakoś im to tłumaczyłam. Oczywiście nie obwiniając Ryśka. Wiedziałam, że wiele koleżanek z grupy, chętnie wysłuchałoby mnie i dzieliło ze mną ból. Ale ja nie miałam siły nawet wykręcić numeru telefonu. Byłam zapuchnięta od płaczu i nie mogłam wyjść z domu w takim stanie. Jakoś nie pomyślałam wcześniej o realnym wsparciu, które na pewno bym otrzymała. Czułam się tak, jakbym była chora. Miałam stan podgorączkowy i wszystko mnie bolało. Tak jakby ktoś mnie poobił fizycznie. Zawsze mogłam jakoś powstrzymać łzy, teraz utraciłam kontrolę i było mi wszystko jedno.

Na następny dzień było już lepiej. Musiałam jeszcze wiele się nauczyć, wiele zrozumieć. Również przygotowywałam się do swojej nowej pracy. Miałam zlecone do przeczytania książki. Profesor, u którego miałam pracować, zlecił mi je. Nie chciałam zawieść jego zaufania. Raz w tygodniu, lub raz na dwa tygodnie, zdawałam mu relację ze swoich postępów i oczywiście problemów, których wówczas nie brakowało. Bardzo szanowałam profesora

ra, był dla mnie wzorcem. Postanowiłam, że ja kiedyś też muszę stać się podobnie ludzka, mądra i wartościowa. Jego postać stała się gwiazdą przewodnią w moim życiu. Właśnie tak zawsze wyobrażałam sobie pełnię człowieczeństwa. On też widział we mnie wiele rozwijających się potencjałów i wspomagał mój rozwój. Pragnęłam jeszcze wiele się nauczyć, ale teraz miałam trudne warunki. Mój stan psychiczny też nie sprzyjał koncentracji uwagi. Miałam trudności z zapamiętywaniem i uwagą. Moje wewnętrzne zdyscyplinowanie pomagało mi w tych trudnych warunkach.

Siedziałam nad książką i z determinacją uczyłam się. Lecz ciągle coś mi zakłócało naukę, jak nie dzieci, to siostra prosiła mnie o pomoc w domowych zajęciach, albo szwagier słuchał bardzo głośnej muzyki. Pewnego dnia włączył tak głośno muzykę, że można było ogłuchnąć. Wybiegłam z domu i poszłam na spacer. Byłam wzburzona i wściekła na niego. Weszłam do kościoła, usiadłam na ławce i modliłam się. Zastanawiałam się, co będzie ze mną dalej. Czy rozwiążemy jakoś po ludzku swoje sprawy rodzinne i będę miała gdzie mieszkać? Czy dojdzie do nieporozumień i waśni? Nie miałam obecnie siły na pokonywanie następnych trudności. W tej chwili byłam zrozpaczona, miałam wrażenie, że jakaś ściana niemożności wyrosła przede mną. Wyszłam z kościoła i spacerowałam cichymi ulicami, między domkami. Przyglądałam się mijanym domom i ogrodom. Kiedyś marzyłam o pięknym domu i ogrodzie. Teraz chciałam mieć tylko małą kącik dla siebie i spokój wewnątrz siebie. To teraz było moim marzeniem. Życie uczy nas rezygnacji i dostrzegania tego, co ma naprawdę wartość.

Byłam już trochę zmęczona i powróciłam do domu. Szwagier był pijany i szalał. Przegrzebał mój pokój, zabrał stamtąd książkę, coś krzyczał i przeklinał homoseksualistów. Zrozumiałam, że pewnie w tej książce przeczytał o homoseksualizmie. Bardzo krzyczał i kłął, oblewając się wodą w mieszkaniu. Wyglądał jak oszalone zwierzę. Dzieci były przestraszone. To niemożliwe, żeby tu można było mieszkać - pomyślałam. On jest jeszcze trudniejszy we współżyciu niż Rysiek i chyba bardziej szalony. Byłam bardzo tym przygnębiona. W dodatku on potrafił pić cały tydzień. Kto by wytrzymał codziennie takie szaleństwa? Również wiedziałam, że ma do mnie żal. Dokładnie nie wiedziałam o co, ale robił mi jakieś zakamuflowane propozycje. Zaczepiał mnie, gdy był pijany i prawił mi komplementy. Również pewne sytuacje były niejasne i niezrozumiałe dla mnie. Teraz myślę, że on i moja siostra chcieli mnie w coś wmontować dla własnej korzyści. Wszystko to wówczas wydawało mi się bardzo niejasne.

Właśnie będąc w takim stanie szaleństwa szwagier pobił mnie. Uciekłam do sąsiadów tak jak stałam, bez niczego, z mokrymi włosami. Ślady

pobicia były widoczne na mojej twarzy i sąsiedzi od razu wiedzieli, co się stało. Wezwali pogotowie ratunkowe i policję. Policja nie przyjechała, pozostało tylko zgłoszenie pobicia. Byłam zszokowana i trzęsłam się cała, nie mogłam mówić. Dostałam zastrzyk od lekarza i pogotowie pojechało. Pierwszy raz w życiu ktoś targnął się na mnie i okaleczył mnie. Czułam strach i poczucie krzywdy. Cały czas była przy mnie sąsiadka, którą znałam jeszcze od czasów dzieciństwa. Czułam się dobrze u nich w domu. Ona była mądra, ludzka i tolerancyjna. Nie pocieszała mnie głupkowato, tylko starała się dogłębnie wszystko zrozumieć. Jej mąż też był dobrym człowiekiem. Dużo opowiadali mi o domu mojej siostry. Oni już wcześniej tego się spodziewali. W sposób mądry, rozsądny i pełen ludzkiego zrozumienia próbowali mi pomóc, znaleźć jakieś rozwiązanie. Jak dużo to mi dawało, że oni skupiali się na mojej sytuacji, nikogo nie oceniając i nie krytykując.

Najbardziej żalowali mnie i dzieci. W końcu my nie mieliśmy wpływu na to, co nas spotkało. Oni znali dobrze problem alkoholizmu i pomagali wielu ludziom uwikłanym w ten nałóg. Po kilku godzinach przyszła siostra i powiedziała, że szwagier chce podpalić wszystkie moje rzeczy, jeśli nie przyjdę go przeprosić. Oniemiałam, gdy to usłyszałam. Boże! - pomyślałam, nie mam już nic pieniędzy i mam zostać bez ubrań. Przecież po nim można się było spodziewać wszystkiego. Moja determinacja doszła do szczytu, nie byłam w stanie myśleć rozsądnie. Machnęłam ręką, powiedziałam ażeby robili co chcą, jest mi wszystko jedno. Sąsiadka spytała zdumiona - za co ona ma go przepraszać? Ja miałam tylko jedno postanowienie, że nie poddam się, nawet gdybym miała stracić życie. Już niczym nie można było mnie zastraszyć. Pozostała jedna droga - policja i prokuratura. Musiałam znów podjąć walkę o przetrwanie. Dotąd prowadziłam walkę duchową, teraz przyszła kolej na walkę o podstawowy byt. Już chyba nie zaznam spokoju i wytchnienia na tym świecie! - myślałam.

Wieczorem, gdy trochę zebrałam siły zatelefonowałam do Matki Chrześnej, która trochę orientowała się w mojej sytuacji. Powiedziała mi, że mogę zaraz do niej przyjechać. Pokój był już dla mnie przygotowany. Było już późno i zostałam na tę noc u sąsiadów. Długo w nocy modliłam się. Wszystko bardzo mnie bolało, znieczulenie związane z szokiem mijało. Wszystko to, co się wydarzyło, było jakieś nierealne, jakby dotyczyło kogoś innego, nie mnie. Nie mogło to do mnie dotrzeć, nie byłam w stanie tego przetrwać. Czułam się jak lunatyk, idący po omacku w świecie, którego nie zna i nie rozumie. Musiałam iść do przodu, dobrze nie rozróżniając kształtów tego co mijam. Trzeba było podjąć jakieś działanie, gdzieś się zatrzymać, znaleźć pomoc. Od jutra zaczęć działać, teraz muszę się wypaść - pomyślałam i usnęłam.

Rano poszłam po swoje rzeczy, te najbardziej niezbędne. Szwagier nadal pił i był agresywny. Zaczął mnie dusić przy dzieciach. Zabrałam torbę z rzeczami i wyszłam. Za wskazówką sąsiadki udałam się do Ośrodka Pomocy Społecznej. Przedstawiłam swoją sytuację w paru słowach i konkretnie. Wszystkie kobiety, jakie były w pokoju, były poruszone i zainteresowane tym jak mi pomóc. Nie miałam za bardzo gdzie się podziać, nie miałam w ogóle pieniędzy. Kobiety te znały sytuację w domu mojej siostry. Powiedziały mi znacznie więcej, niż ja wiedziałam. Bardzo żałowały dzieci i chciały im pomóc. Lecz ich próby nie udały się, gdyż moja siostra, bojąc się szwagra, wszystkiemu zaprzeczała. Bez jej zgody nic nie można było zrobić. Ucieszyły się, że pójdę w tej sprawie do Prokuratury. Długo zastanawiały się, jak mi pomóc. Przecież gdzieś muszę zamieszkać, a potem dopiero działać. Poradziły mi pójście do kierowniczkii Pomocy Społecznej, którą była siostra zakonna. Ona zajmowała się kobietami maltretowanymi przez alkoholików i sprawowała władzę nad domami dla takich kobiet. Były to domy dla matek z dziećmi. Ja nie miałam dzieci, lecz pomyślałam, że jeśli uda mi się z nią porozmawiać, na pewno mi pomoże. Złożyłam potrzebne dokumenty w Prokuraturze i miałam czekać na termin rozmowy z prokuratorem.

Postanowiłam zobaczyć się z Ryśkiem. Obiecał mi, że zawsze mogę zwrócić się do niego o pomoc, gdy będę w potrzebie. Chciałam od niego tylko trochę pieniędzy, które zresztą mi się należały. Zadzwoniłam do drzwi, nie miałam czasu na zapowiedzenie się. Wszystko tak szybko się toczyło. Rysiek otworzył mi i aż westchnął z przerażenia: „Boże, jak ty wyglądasz” – krzyknął. Powiedział, że zaraz musi usiąść, gdyż nogi mu się uginają. Ja też usiadłam i spokojnie wyjaśniłam, co zaszło i jakiej oczekuję pomocy. Od rana nic nie jadłam, byłam głodna. Poszliśmy na obiad. Rysiek zadawał mi pytania, a ja spokojnie odpowiadałam. Pytał mnie, co zamierzam zrobić. Odpowiedziałam, że jeszcze dokładnie nie wiem, ale poradzę sobie. Teraz najbardziej potrzebuję pieniędzy. Miałam wrażenie, że mi współczuje. Powiedział, że da mi pieniądze, tylko musi iść do Banku. Szliśmy przez park, w pewnym momencie ocknęłam się i zrozumiałam, że idziemy do naszego dawnego domu. Zatrzymałam się i usiadłam na ławce, powiedziałam, że nie pójdę do domu z nim, że mogę tu zaczekać lub umówmy się na jutro. Spojrzał na mnie z wściekłością i odszedł bez słowa. Ja siedziałam na ławce i patrzyłam jak odchodził. Szedł szybkim krokiem, wiatr rozwiewał mu płaszcz, a złote, jesienne drzewa okalały aleję, którą szedł. Patrzyłam onieśmiala na to i miałam tylko jedną myśl, aby nigdy nie zapomnieć tego widoku. Nawet się nie obejrzał, po prostu zostawił mnie i odszedł.

Jak lunatyk powróciłam do domu moich sąsiadów. Byłam błada i śmiertelnie zmęczona. Sąsiadka powiedziała, że powinnam się położyć i odpocząć. Opowiedziałam jej w wielkim skrócie co załatwiłam i poszłam położyć się. Zaraz usnęłam. Gdy się obudziłam było już ciemno. Zeszłam na dół. Miałam wrażenie, że przestaję czuć, widzieć i odbierać bodźce ze świata. Swojej twarzy nie mogłam poznać. Przestałam patrzeć w lustro. Zaraz przyszedł mój ojciec. Usiedliśmy wszyscy w dużym pokoju naradzić się co dalej robić. Sąsiadka, jej mąż, ja i mój ojciec. Sąsiad próbował namówić ojca, aby mi pomógł w Prokuraturze, aby w ogóle jakoś mi pomógł. Mówił: „proszę niech pan zobaczy, co zrobiliście z tą ładną wartościową dziewczyną. Spakowaliście jej rzeczy i wysyłacie ją w świat, gdzie ona ma iść, przecież odeszła od męża, ma za sobą ciężkie chwile i trudne doświadczenia. Przyszła do swojej rodziny po pomoc i co otrzymała? Pomóżcie jej i poprzyjcie jej sprawę w Prokuraturze. Tym samym pomożecie sobie”. Sąsiadka ze łzami w oczach błagała ojca, mówiła aby zrobił to ze względu na pamięć swojej żony, a mojej mamy. Kto pomoże temu dziecku, jeśli nie pan? - pytała. Ojciec wszystko wysłuchał i powiedział, że najlepiej to powinnam wrócić do swojego męża. Sąsiad opuścił ręce w geście bezradności i powiedział, że to jest jasne, że ona tam nie wróci. Gdyby mogła tam wytrzymać, to by stamtąd nie uciekła. Twarz sąsiada wyrażała smutek i bezradność. Ja patrzyłam na to, jak na teatr. Czy to wszystko mnie dotyczy? - zastanawiałam się. Byłam zdziwiona jak moja sytuacja porusza tych dobrych ludzi, jak pragną mi pomóc. Zrobiło mi się ciepło na sercu po wysłuchaniu tego. Przyszła moja siostra i coś mówiła, równie mądrego jak mój ojciec. Machnęłam ręką i powiedziałam, że wychodzę, niech sobie sami przed sobą odgrywają ten teatr. Ja już nie mogę na to patrzeć. Byłam zmęczona i teraz to właściwie zachciało mi się śmiać.

W Domu Pomocy Społecznej

Na drugi dzień wybrałam się do kierowniczkii Ośrodka Pomocy Społecznej. Oczywiście, już w sekretariacie napotkałam opór. Podobno termin spotkania z nią mógł być ustalony za miesiąc, lub kilka miesięcy. Wiele osób czekało na rozmowę z nią. Powiedziałam, że to nie wchodzi w rachubę, gdyż potrzebuję pomocy od zaraz. Mój stanowczy ton głosu zrobił wrażenie. Było wiele kobiet w sekretariacie i zaczęły zadawać mi pytania. Ja powoli przedstawiałam swoją sytuację. Kobieta, która stała blisko mnie spytała, czy złożyłam skargę w Prokuraturze i założyłam sprawę o alimenty i rozwód? Wszystko to miałam już załatwione. Tak też powiedziałam. Wydawało mi się, że to jest bardzo ważne dla nich, czy ktoś stara się sobie pomóc? Czy czeka z założonymi rękami na pomoc. Powiedziały abym zaczekała, że na pewno dzisiaj dostanę się do kierowniczkii. Usiadłam na korytarzu i czekałam, aż przyjmie wszystkich umówionych wcześniej interesantów. Patrzyłam na ludzi wchodzących i wychodzących z sekretariatu. Wszyscy wyglądali na biednych, zaniedbanych i pochodzących z marginesu społecznego. Bardzo dziwnie było mi siedzieć tak wśród nich. Jakie to dziwne - myślałam, nagle nie mam domu, nie mam gdzie spać, nie mam pieniędzy, nie mam jeszcze pracy. Przyglądałam się pracownikom i zastanawiałam się, jak się to wszystko stało? Czy to możliwe, abym w krótkim czasie wszystko straciła? Dom, rodzinę, męża i swoje iluzje. Może właśnie tak zaczyna się nowe życie? Może trzeba je sobie wywalczyć? Siedziałam spokojna i zamyślona. Czułam, że otrzymam pomoc i to zaraz. Liczyłam na swoją inteligencję i zdolność przekonywania.

Gdy weszłam, siostra zakonna poprosiła, abym usiadła. Powoli siadając, powiedziałam z poważnym wyrazem twarzy. „Siostro, mnie warto pomóc, ponieważ sama chcę sobie pomóc”. - Powoli wyjaśniałam swoją sytuację. Siostra kiwała głową ze zrozumieniem, mówiłam tylko to, co było prawdą. Na mojej twarzy były widoczne dowody pobicia. Siostra zapytała, czy mam gdzie przenocować i co zjeść. Powiedziałam, że tak. Zabroniła mi chodzić do męża i szwagra, abym już się więcej nie narażała. Od jutra miałam zamieszkać w Domu dla Samotnych Matek. Byłam ucieszona, wprawdzie pobyt ten miałam tylko na miesiąc, ale miałam na razie gdzie się podziać. Wróciłam wieczorem do domu sąsiadów. Wszyscy ucieszyli się, że już załatwiłam dla siebie pomoc. Zadzwoniłam do Matki Chrzestnej i umówiłam się na jutrzejsze popołudnie.

Po załatwieniu wszystkich formalności pojechałam do tego domu. Byłam przyjemnie zaskoczona. Otrzymałam pokój tylko dla siebie, który był zamykany na klucz. Darmowe obiady i zapomogę pieniężną. Byłam zdumiona, jak dużą pomoc otrzymałam, po prostu nie mogłam jeszcze w to uwierzyć. Rozpakowałam rzeczy, których miałam bardzo mało. Położyłam się na chwilę na łóżku i rozplakałam się z radości. Nareszcie sama i będę miała tu trochę spokoju. Pozałatwiam najważniejsze i najtrudniejsze sprawy przez ten czas. A potem też na pewno wszystko jakoś się ułoży. Najważniejsze, to wierzyć i chcieć sobie pomóc. Już byłam w znacznie lepszym stanie psychicznym. Uwierzyłam, że jeśli chcę, to mogę wszystko załatwić. Zamknęłam swój pokój i pojechałam do Matki Chrzestnej na obiad. Opowiadałam jej i jej mężowi, co się wydarzyło. Słuchali w skupieniu i od czasu do czasu zadawali pytania. Byli wstrząśnięci tym, co usłyszeli. Zjadłam obiad z przyjemnością i pierwszy raz z apetytem, od czasu pobicia mnie przez szwagra. Pierwszy raz złapałam głębszy oddech. Byłam bardzo napięta przez cały ten koszmarny czas. Dostałam od nich pieniądze, byłam wzruszona i rozplakałam się. Dostałam milion złotych i Matka Chrzestna, powiedziała, że to jest normalne, że jeszcze dostanę. Moja rodzina dała mi niecałe 200 starych zł na odchodne. Teraz już wiedziałam, że podołam, że zacznę nowe życie. Nic już nie jest w stanie mnie złamać. Jeśli już tyle pokonałam to już dam sobie radę na pewno.

Nigdy nie mieszkalam w internacie, ani w akademiku. Nie bardzo wiedziałam, jak mam się tu znaleźć. Kuchnia była wspólna, pokój jadalny i łazienka. Raz w tygodniu każda z nas miała mieć dyżur w kuchni i raz w tygodniu w łazience. Rano trzeba było obierać dużą ilość ziemniaków. W porze obiadowej wydawać obiady, na które przychodzili biedni ludzie z okolicy. Trzeba było potem pozmywać. Późnym wieczorem trzeba było posprzątać kuchnię, która była bardzo duża. Wynieść śmieci na zewnątrz budynku i posprzątać korytarz i pokój jadalny. To było dużo fizycznej pracy. Pierwszy raz, gdy myłam taki wielki kocioł do gotowania zupy wprost nie mogłam uwierzyć, że to wszystko jest prawdą, nie złym snem. Ledwie mogłam go udźwignąć, ale z determinacją uczyłam się, jak sobie z nim radzić. Przypomniałam sobie, że kiedyś oglądałam film o więzieniu, czy poprawczaku i były tam podobne dyżury i sprzątanie, jak tutaj. W ciągu ostatniego czasu tyle rzeczy działo się, że nie zdążyłam ich przetrawić. Miałam wrażenie, że oglądałam film o kimś innym. W myśli powtarzałam sobie, choćbym miała tak pracować codziennie, to i tak wytrwam i dam sobie radę.

W krótkim czasie wszyscy mnie w tym domu polubili. Kucharka, pani Hania mówiła, że jestem ludzka i bardzo kulturalna. Nasza gospodyni domu

od razu, właściwie od pierwszych dni, mówiła o mnie wszędzie, że jestem bardzo kulturalną osobą. Ta dobra opinia dotarła do siostry zakonnej Lidii. Ja po prostu byłam sobą i nie rozumiałam za co mnie chwala. Wszyscy, którzy tam mieszkali, gdy ja tam przybyłam, byli ze sobą skłóceni. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak jest? Przecież w cierpieniu wszyscy powinniśmy się wspierać. Im trudniejsza sytuacja, tym więcej solidarności powinna wyzwać w człowieku – ja tak rozumowałam. Podczas terapii grupowej również do tego przywykłam, że stanowimy pewną wspólnotę. Tutaj wszystko wyglądało inaczej. Nikt o sobie nic nie wiedział. Każdy bał się każdego. Jeden donosił na drugiego. Nikt sobie na wzajem nie pomagał i nie współczuł. Jeden drugiemu wykradał jedzenie z lodówki. W pierwszych dniach pobytu tam właśnie ktoś ukradł mi szynkę, którą dostałam od Matki Chrystej. Byłam tak zaskoczona, że omal nie rozplakałam się. Nie chodziło mi o tę szynkę, ale o to, że ona mi ją dała z dobrego serca, sama jej nie zjadła. A ja nie przewidziałam tego, że mi ją ukradną. Było mi dziwnie głupio i smutno. Myślałam, że ci, którzy poznali głód i cierpienie, nie potrafią ukraść jedzenia. Byłam bardzo naiwna i dziecinna. Pobyt w tym domu to była swoista szkoła życia. Nauczyłam się tam ostrożności i pilnowania swoich spraw. Na początku nie zamykałam pokoju na klucz, gdy wychodziłam na krótko. Potem już zamykałam. Cały czas byłam nastawiona na to, że spotka mnie tam jakaś przykrość. Ciągłe wybuchały kłótnie między mieszkankami. Na samym początku pobytu, ja też raz powróciłam późno i nie byłam trzeźwa. Każdy z mieszkańców musiał powrócić do godz. 21⁰⁰. Ja powróciłam znacznie później, ale nie wiem o której. Po prostu chwilowo załamalam się psychicznie. Poszłam do Ryśka z nim porozmawiać i upewnić się, czy dobrze rozumiałam ostatnie z nim spotkanie. Poza tym siostra Lidia namówiła mnie na ostatnią z nim rozmowę. Właściwie to nie wiem o czym chciałam się przekonać i co jeszcze zobaczyć. Napiłam się wina i powiedziałam mu prawdę, co o tym wszystkim myślę a on wylał mi kieliszek wina na twarz. Był wściekły i ja szybko uciekłam. Nie wiem dokładnie o czym rozmawialiśmy, wiem, że on namawiał mnie do powrotu. Mówił, że kompromituje jego nazwisko mieszkając w „przytułku”. Gdy rano się obudziłam to myślałam, że oszaleję ze strachu, z bólu i poczucia winy. Tyle kosztowało mnie znalezienie sobie miejsca, a teraz wszystko bym straciła. Ja chyba oszalałam? Co ja robiłam? Nie mogłam sobie tego darować. Bardzo wstydziłam się swojej słabości. Wyglądałam tak, jakbym była chora. Powiedziałam, że boli mnie ząb. Gdyż ból wykrzywił mi twarz, cała się trzęsłam i byłam błada. Pani Hania szykowała mi jedzenie i była taka dobra, pocieszała mnie jak umiała. Pani Marta – gospodyni domu, też była ciepła, serdeczna i opiekuń-

cza. Dziwiłam się dlaczego, przecież nie zasłużyłam na to. Czułam się jak „zbity pies”. Gdy trochę zrobiło mi się lepiej, postanowiłam, że już nie upadnę, nawet na chwilę nie poddam się. Najdziwniejsze było, że nikt o tym nie doniósł siostrze zakonnej Lidii. Miałabym poważne kłopoty, gdyby tak się stało. Potem, gdy coś podobnego przytrafiło się komuś innemu, zawsze znalazł się ktoś, kto doniósł. Miałam wiele szczęścia.

Potem, w czasie całego mojego pobytu zachowywałam się nienagannie. Zawsze wracałam o czasie. Nigdy nie zaniedbałam swojego dyżuru, nawet gdy źle się czułam. Sprzątałam dokładnie i pomagałam tym, którzy potrzebowali pomocy. Dowiedziałam się, że pracę będę mogła podjąć dopiero od pierwszego grudnia, a ja liczyłam na listopad. Obawiałam się, że siostra zakonna pomyśli, że kłamie. Tam prawie wszyscy kłamali. Przyniosłam jej zaświadczenie i jakoś uwierzyła. Chciałam podjąć pracę u starszej kobiety, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Byłam u niej dwa razy i nie mogłam się z nią porozumieć. Ona zmuszała mnie do robienia tego, czego nie mogłam zrobić. Już wcześniej panie w administracji przestrzegły mnie, abym tego nie robiła. Ja zgodziłam się, a jeśli dam słowo, to koniec, nie ustąpię. W końcu ona zrezygnowała ze mnie. Zaproponowałam siostrze Lidii, że będę pomagać w magazynie. Siostra trochę się zdziwiła i powiedziała, że za to nie dostanę pieniędzy. Ja wiem – odpowiedziałam, ale przecież dostaję zasiłek i to wystarczy. Tego samego dnia poszłam do magazynu. Było tam bardzo dużo kurzu i było brudno. Trzeba było zacząć robić jakiś porządek. Przebierałam ubrania i układałam je na półkach. Ubrania te leżały na podłodze, raczej na betonie i były bardzo brudne. Była to nieprzyjemna dla mnie praca, gdyż nie lubię brudu. Ale wykonywałam ją dokładnie i z sercem. Nie umiem robić czegoś byle jak, aby było zrobione. To strata czasu dla mnie. Teraz codziennie rano pracowałam w magazynie, a raz w tygodniu w kuchni. Pani Maria, która była tam magazynierką, przyglądała mi się ciekawie. Potem zadawała mi wiele pytań. Dlaczego tu się znalazłam? Mówiła, że ja tu nie pasuję. Wyglądałam na kobietę inteligentną, pochodzącą z dobrej rodziny. Uważała, że nie jest możliwe pozostawienie bez opieki takiej kobiety, jak ja. Tłumaczyłam jej, że to ja odeszłam. Mój mąż pił i nie mogłam tego znieść. Ona nadal zadreżczała mnie pytaniami. Nie była w stanie zrozumieć mojej sytuacji. Pani Maria polubiła mnie i zaczęła darzyć zaufaniem. Dobrze czułam się w jej obecności. Czasem siadałyśmy przy herbacie i rozmawiałyśmy o życiu, o Bogu, o tym co daje człowiekowi sens. Pani Maria szanowała mnie i lubiła. Mówiła, że jestem wykształcona, inteligentna i piękna, a nigdy nie wynoszę się nad innych.

Przed południem byłam zajęta w magazynie, a popołudniu uczyłam się. W Prokuraturze powiedzieli mi, że wiele kobiet jest bitych i nic nie można na to poradzić. Prokurator zapytał mnie, czy to się pierwszy raz zdarzyło? Gdy odpowiedziałam, że tak - powiedziała: „Zeby pani wiedziała, ile ja mam spraw o pobicie i maltretowanie”. - Powiedziała mi, że mam tylko jedną możliwość, założyć sprawę z prywatnego oskarżenia. Tak też zrobiłam. Wyszłam zszokowana z Prokuratury. Myślałam, jak to jest? Ktoś zostaje pobity i nie ma instytucji, która tym się należycie zajmuje? Przecież to, co usłyszałam w Prokuraturze było farsą. Po co istnieje ta instytucja i czym się zajmuje. Jeśli nie zajmuje się ludzką krzywdą i nie broni słabszych.

Powróciłam przybita. Zjadłam obiad w kuchni opowiadając pani Hani, co załatwiłam i co mi doradzali. Potem zostałam i pomagałam jej w sprzątanii po obiedzie. Myłam garnki i rozmawiałam z nią. Nie chciałam być sama. Pani Hania miała w sobie dużo ciepła i dobroci. Jej oczy były jasno-błękitne i dziecinnie zadziwione. Gdy coś mówiła, zawsze patrzyła prosto w twarz i miała szeroko otwarte i ufne oczy dziecka. Polubiłam ją. Gdy miałam trochę wolnego czasu to przesiadywałam w kuchni i coś jej pomagałam. Ona zawsze dbała o mnie i dawała mi duże porcje. Do końca mojego pobytu tam zawsze o mnie pamiętała. Szybko upłynął mi miesiąc tam pobytu. Musiałam prosić o przedłużenie, gdyż nie miałam gdzie się wyprowadzić.

Pewnego dnia byłam u sąsiadów, tych u których spędziłam kilka dni po pobiciu mnie przez szwagra. Zauważyła moją obecność moja siostra i przyszła ze mną porozmawiać. Właściwie trudno nazwać to rozmową. Ona zaszantażowała mnie, że jeśli nie wycofam sprawy z Prokuratury, ona pokaże Ryśkowi wszystkie moje notatki. Były to prace związane z moim życiem, które pisałam przechodząc terapię w Petrze. Kiedy wybiegłam z domu tamtego pamiętnego dnia, nie zdążyłam ich zabrać ze sobą. Zbyttnio się tym nie przejmowałam, gdyż nie było tam nic co mogłoby mi zaszkodzić. Po kilku dniach siostra oddała mi je razem z moimi rzeczami, ale podobno zrobiła z notatek kopie kserograficzne. Okazało się, że jednak wspólnie ze szwagrem pokazali te prace mojemu mężowi, z którym razem je czytali. Gdy to usłyszałam, zrobiło mi się niedobrze. Prace, które wyrażały ból, zagubienie, oni czytali jak sensację. Banda głupców - pomyślałam, gdy wyobraziłam sobie, jak to mogło wyglądać. Poczułam zimno, dreszcze i wstręt do siostry. Zdradziła moje zaufanie, chciała mnie nastraszyć w tak haniebny sposób. Wszystko, co jej mówiłam w tajemnicy, powiedziała mojemu mężowi. Mój mąż podobno planował udowodnić mi chorobę psychiczną przy rozwodzie. Więc szukał punktu zaczepienia. Siostra i szwagier oczywiście chcieli wydrzeć mi mój majątek. Każdy miał jakiś swój interes, aby interesować się mną. Ale

tym, czy jestem głodna, czy mam gdzie spać, nikt z moich bliskich nie interesował się. Jeszcze przeszkadzali mi w mojej walce o przetrwanie. Pożegnałam się z siostrą, powiedziałam, że jest mi wszystko jedno, niech każdy czyta to, co napisałam. Zapytałam ją też, czy ona wie, że to jest szantaż. Odpowiedziała, że nie ma innego wyjścia. Jeszcze pocałowała mnie na pożegnanie w policzek. Poczułam obrzydzenie, przypomniała mi się opowieść o Judaszu. Nie chcę ich wszystkich więcej widzieć - pomyślałam. Byłam zszokowana tak, że nie mogłam zebrać myśli i przeanalizować tego wszystkiego, co usłyszałam. Nadeszła sobota, nadal nie miałam pracy. Wszystko bolało mnie, czułam się dotkliwie zraniona i ośmieszona. Dalej nie byłam w stanie tego zrozumieć. Gdzie tkwi błąd - myślałam? Czy naiwnością jest ufać bliskiej osobie? Może nie powinnam ufać nikomu? Tak bardzo się zawiodłam. Dlaczego akurat na wszystkich musiałam się zawieść? W tak krótkim czasie tyle bólu zadali mi „najbliżsi” ludzie. Przecież to wszystko jest tak straszne, że prawie nierealne. To chyba niemożliwe, aby w jednym życiu było tyle cierpienia? Długo leżałam i nie mogłam pozbierać myśli. Nasuwały mi się takie myśli, że co by się stało, gdyby tak przeciąć żyłę i powoli zasypiać. Odpływająca krew przynosiłaby błogi sen i nieczucie. Czy warto walczyć tak bardzo o życie, w którym jest tyle męki? Tak pragnę spokoju. Jestem taka zmęczona. A tu jeszcze sprawa w sądzie o pobicie przez szwagra, sprawa rozwodowa, sprawa o alimenty, które należały mi się do czasu rozvodu.

Sąd umorzył sprawę o alimenty po rozmowie z moim mężem. Teraz zrozumiałam, że Sąd działa podobnie jak Prokuratura. Po prostu nigdy nie było i nie będzie w Sądzie sprawiedliwości. Każda instytucja i każda ideologia jest na tyle dobra lub zła, jak ludzie, którzy się nią zajmują. Dwie wielkie instytucje zajmujące się sprawiedliwością i człowiekiem, w których nie ma sprawiedliwości i nie liczy się człowiek. Byłam tak zmęczona i samotna, że pragnęłam choć na chwilę wytchnienia. To były tylko takie myśli, gdyż pomimo bólu, który czułam całą sobą to jednak nadzieja pozostała w moim sercu. Pragnęłam żyć, przecież właściwie dopiero budziłam się do życia. Teraz chodziłam na kolejną grupę terapeutyczną, Grupę Odnowy Duchowej. Mój psycholog był dumny ze mnie i nie szczędził mi pochwał. Wzmacniał mnie na duchu jak tylko potrafił. Co jakiś czas chodziłam również do profesora, ale teraz dawno już nie byłam, gdyż trochę źle się czułam. W tych najtrudniejszych chwilach czułam obecność Boga przy sobie. Czułam się wspierana duchowo. Czasem, gdy siedziałam w kościele zadumana, zaczęłam odczuwać ciepło i takie bezpieczeństwo, jakiego nigdy dotąd nie znałam. Jakby otulał mnie jakiś ciepły, bezpieczny, złoty blask Boskiej Miłości. W takich chwilach czułam przyptykającą moc i miałam pewność, że dobro

zawsze wcześniej czy później zwycięży. Chciałam również jak najszybciej uporać się z goryczą, jaką odczuwałam wobec „bliskich” po ostatnich wydarzeniach. Chciałam im wybaczyć w swoim sercu, tylko przed Bogiem. Modliłam się o to, ale to było jeszcze za świeże i za trudne jak na ten moment. Psycholog radził mi na razie o tym nie myśleć. Trzeba było dać czasowi czas.

Zdawałam sobie z tego sprawę, że poczucie krzywdy, jak również nienawiść wiąże nas z obiektem nienawiści. Jeśli nie potrafimy wybaczyć, to sami siebie zamykamy w niewoli przeszłości. Nienawidząc sami bardzo cierpiemy, czasem znacznie dotkliwiej niż ten, który nas zranił.

Wszystko to wiedziałam, ale rany były jeszcze za świeże i miały prawo boleć. Teraz miałam okazję sprawdzić wszystko to, czego się nauczyłam. Wcale nie było łatwe zachowanie spokoju i równowagi ducha w takim ciągłym zamieszaniu i kłótniach, jakie były wokół mnie w Domu Pomocy Społecznej. Ciągłe ktoś odchodził i przychodził ktoś nowy. Jedni drugim robili na złość. Była tam jedna kobieta, która też przeszła małżeństwo z alkoholikiem i miała dwoje dzieci. Jedno z nich było jeszcze małe. Współczułam jej bardzo. Ona nie leczyła się, dałam jej kilka książek do przeczytania. Ta kobieta ciągle robiła mi coś na złość, ale nie robiła tego otwarcie, tylko domyślałam się, że to właśnie ona. Trwało to jakiś czas, ja nie mogłam na to zareagować wprost, gdyż nie miałam co do tego pewności. Pewnego dnia moja cierpliwość i łagodność przemogła jej złość. Zaczęłyśmy normalnie ze sobą rozmawiać. Opowiadałam jej jak mi było i jest ciężko, jak wiele dała mi terapia. Wszyscy wokół postrzegali mnie jako osobę spokojną, zrównoważoną i pełną życzliwości. Zachowałam pewien spokój, pomimo tylu burzliwych sytuacji, które właśnie w tym czasie się rozgrywały.

Warunki bytowe były tam bardzo dobre. Tylko przez pierwszy miesiąc nie było ciepłej wody i ogrzewania. Trzeba było garnek z wodą znosić z piętra na dół, do łazienki, gdyż kuchnia była na górze. Dostaliśmy piecyki do ogrzewania w pokojach. W tym czasie przybyła tam kobieta, która uczyła dzieci religii. Dla niej nie było piecyka, więc ja dawałam jej swój na noc. W ten sposób dzieliłyśmy się tym piecykiem. Pamiętam jak byłam zdziwiona, gdy pani Marta podziękowała mi za to. Miałam tam coraz lepszą opinię i wszyscy stawali się dla mnie życzliwi. Nawet najtrudniejsze w kontakcie współmieszkanki uśmiechały się na mój widok. Czułam się tam coraz bezpieczniej. Chyba nigdy przedtem, ani potem nie odczułam tak natychmiastowych rezultatów swojej życzliwości. Powoli przekonując się do mnie, każdy odpłacał mi tak, jak umiał swoją życzliwością. Właściwie to od samego początku dziwiły mnie dowody zaufania jakimi darzyli mnie ludzie. Przeważnie słyszałam od nich, że sami nie wiedzą dlaczego, lecz po prostu czują

to, że mogą mi zaufać. Oczywiście, ja nigdy nie zdradzałam tego, co ktoś mówił mi w zaufaniu. Miałam tam również opinię osoby, która nic nie widzi i nie słyszy, oprócz tego co chce widzieć i słyszeć. Nikt nie obawiał się donosu z mojej strony. Potrafiłam zawsze się wymigać z odpowiedzi na takie pytania. Czy ktoś był trzeźwy? O której wrócił godzinie? Czy słyszałam jakieś hałasy? Ja zajmowałam się swoimi problemami i pomagałam tym, którzy o tę pomoc prosili.

Znów kończył się miesiąc mojego pobytu, czyli listopad. Od grudnia miałam podjąć pracę. Miałam pewne trudności w załatwianiu formalności. Długo nie pracowałam, i przełożona pielęgniarek robiła trudności z tym związane. Chociaż kierownik Zakładu wyraził zgodę, to ona robiła wszystko, aby mi utrudnić przyjęcie. Chciała koniecznie zmusić mnie do zrobienia kursu przypominającego zasady pracy pielęgniarki. Gdybym miała pracować w szpitalu, to może byłoby to sensowne. W Zakładzie nie miało to znaczenia, gdyż tam praca miała inny charakter. Cały tydzień męczyła mnie załatwianiem dodatkowych zaświadczeń i straszeniem, że nie będę przyjęta. Kilka nocy prawie nie spałam. Tak bardzo zależało mi na tej pracy, nie miałam w ogóle pieniędzy na opłacenie kilkumiesięcznego kursu. Walczyłam o podstawowe przetrwanie. Przełożona od samego początku, gdy mnie zobaczyła, była niechętna i wroga wobec mnie. Nawet użyła takiego zwrotu: że ja balowałam tyle lat, a teraz chcę zaraz pracę i to w Zakładzie Seksuologii. Ta kobieta nic o mnie nie wiedziała, a układała scenariusz mojego życia. To niezwykle, jak ludzie nas pochopnie oceniają, według własnych wyobrażeń. Ja cały czas zachowywałam się bardzo grzecznie i poprawnie. Ona sprawiała wrażenie niezrównoważonej emocjonalnie, tym bardziej musiałam być ostrożna. Swoją gorycz i ból wypłakiwałam w kościele i w samotności. Wobec innych ludzi starałam się być ludzka i cierpliwa.

Powróciłam do swojego tymczasowego domu i płakałam jak dziecko. Pani Hania i pani Marta pocieszały mnie. Jakie one były kochane! Jak dużo dało mi to ciepło, które otrzymałam od ludzi, którzy teraz byli mi bliscy. Następnego dnia jakoś w końcu zostałam przyjęta i wszystkie formalności były załatwione. Uradowana poszłam do kościoła podziękować Bogu za pomoc. Teraz jeszcze pozostało zwrócić się do siostry zakonnej Lidii - kierowniczkii Opieki Społecznej o przedłużenie pobytu na kolejny miesiąc. Niestety odmówiono mi możliwości zapisu do niej na rozmowę, gdy chciałam to załatwić drogą oficjalną. Bardzo martwiłam się, co będzie dalej. Mogłam zamieszkać u Matki Chrzestnej, ale tu miałam obiady za darmo i czułam się uprawniona do tej pomocy, tak samo jak inni. Zamyślona wydawałam obiady w kuchni, gdyż był to dzień mojego dyżuru. Ci, którzy przy-

chodzili do nas na obiady, pochodzili przeważnie z nizin społecznych. Ci ludzie cieszyli się, gdy był mój dzień dyżuru. Mówili, że to niebywałe, że ta kobieta zawsze się uśmiecha i jest pogodna. Chciało mi się śmiać, gdy to słyszałam. Sama zastanawiałam się, jak ja to robię tzn. uśmiecham się, gdy jestem taka przygnębiona i pochłonięta myślami, co dalej robić, aby jakoś przetrwać.

Po południu zrobiło się u nas wielkie zamieszanie, gdyż siostra Lidia wzięła do pomocy policję, aby zmusić do wyprowadzenia się jedną osobę, która długo tu mieszkała, pracowała i dawno obiecała wyprowadzić się. Była to młoda kobieta, która miała jedno dziecko, ładną dziewczynkę. Wszyscy mieszkańcy zbiegli się i przyglądali jak na widowisko. Przybyło kilka osób z dyrekcji, ale siostry Lidii nie było. Zamieszanie trochę ucichło i ta kobieta zaczęła pakować swoje rzeczy. Ubrałam się w dres i poszłam do niej zapytać się, w czym mogę jej pomóc. Ona miała dużo rzeczy ze sobą, meble, dużo ubrań i różnych drobiazgów. Ja miałam tylko jedną walizkę ubrań i podręczną torbę. Z ulgą pomyślałam o swojej wyprowadzce. Było mi jej szkoda i postanowiłam jej pomóc. Trochę obawiałam się, że to będzie źle przyjęte przez nasze kierownictwo, ale trudno, co ma być to będzie – pomyślałam. Ona ucieszyła się, że przyszłam i powiedziała mi w czym mogę jej pomóc. Szybko uwijałyśmy się. Po godzinie, czy dwóch godzinach, przyszła pani Marta i przyniosła dla nas herbatę i ciasto. Chciała żebyśmy zjadły i trochę odpoczęły. Przechodząc obok mnie czule mnie przytuliła. Byłam zaskoczona jej reakcją. Myślałam, że nie okaże mi tyle ciepła teraz w tej dziwnej sytuacji. To pakowanie i wynoszenie rzeczy trwało do późnego wieczora. Byłam trochę zmęczona, a jeszcze czekała mnie praca, czyli sprzątanie wieczorne kuchni, korytarza, pokoju jadalnego. W dodatku przyszła do mnie pani Marta poprosić o pomoc w opiece nad kilkunastoletnią dziewczynką, której matka poszła na kilka dni do szpitala. One obie mieszkały na tym samym korytarzu, co ja. Pani Marta była zmartwiona i powiedziała, że nie może liczyć na nikogo oprócz mnie.

Zmęczona udałam się do kuchni i zaczęłam sprzątać. Po chwili przyszła do mnie ta kobieta, która na początku tak mi dokuczała. Powiedziała, że dzisiaj pomoże mi, gdyż jestem już zmęczona. Nie chciała słuchać moich protestów, tylko zaraz wzięła się ze mną za sprzątanie. Byłam mile zaskoczona i naprawdę bardzo jej wdzięczna. Nie wiem jakbym sobie dała radę bez jej pomocy tego dnia. Przyszła również do mnie zastępczyni siostry Lidii i powiedziała, żebym przyszła w środę do siostry, gdyż załatwiła mi u niej widzenie. Byłam ucieszona tym, wiedziałam, że pewnie pozytywnie wstawiła się za mną.

Oczywiście w środę przyszedłam do Urzędu i czekałam na korytarzu. Zastępczyni siostry przywitała mnie uśmiechem i powiedziała, że jeszcze kilka osób jest przede mną i zaraz ja wejdę. Byłam trochę zdziwiona tym, że jest taka dla mnie serdeczna. Nie widziałam, aby dla kogokolwiek taka była. Gdy weszłam do siostry Lidii, to pierwsze co mi powiedziała, to że dziękuje mi, że pomogłam przy przeprowadzce, że jestem ludzka, a inni tylko się przyglądali. Zdziwiłam się i odpowiedziałam, że to jest oczywiste, jestem człowiekiem i chrześcijanką. Przedłużenie pobytu miałam załatwione od ręki. Wyszłam uradowana. Cały dzień zastanawiałam się, jak w życiu ciągle coś nas zaskakuje. Byłam przekonana, że to co zrobiłam obróci się na moją niekorzyść, a tu stało się zupełnie odwrotnie. Powróciłam pełna energii. Niedługo zaczynam pracę, pobyt też jest załatwiony. Wszystko układa się dobrze. Teraz już nie mieliśmy dyżurów w kuchni, gdyż przyjęto kogoś do po mocy w kuchni. Pozostały dyżury w łazienkach, to był już drobiazg w porównaniu z uprzednią pracą. Ogólnie byłam zadowolona ze swojego rozwoju, terapia dawała mi dużo dobrego. Nadal chodziłam dwa razy w tygodniu na grupy terapeutyczne. W sobotę chodziłam na mityngi otwarte AA⁴.

Wielu ludzi ciekawych i inteligentnych grupowało się w Petrze. Zawsze można było coś ciekawego i mądrego usłyszeć. Co dwa tygodnie były organizowane zabawy, które odbywały się w sobotni wieczór. Już kilka razy byłam na takiej zabawie, gdyż było to moim zaleceniem terapeutycznym. Największą zasługę w namówieniu na uczęszczanie na nią, miał Bogdan, kolega z Petry. Bogdan był ciepły, bardzo sympatyczny i bezinteresownie pomocny. Z początku tańczyłam tylko z nim, inni panowie bardzo mu zazdrościli, ale nie mieli odwagi podejść do mnie. Niektórzy mówili (tak mi powtarzał Bogdan), że jestem piękna i sympatyczna, ale jakaś tajemnicza i niedostępna. Śmiałam się razem z Bogdanem z tego braku u nich odwagi. Choć Bogdan przyznał się, że na początku też czuł obawę przede mną. Natomiast teraz, gdy mnie poznał, bardzo mnie lubi i ceni. Nazywa mnie klejnotem pośród zwykłych kamieni. Bogdanowi bardzo podobało się, że ja nie rozpaczam i nie użalam się nad sobą, będąc w tak trudnej sytuacji. Powiedziałam mu prawdę o swoich kłopotach. Podziwiał mnie, że przez taki koszmar przechodząc, zachowałam tyle ludzkiego ciepła i chęci życia. Bardzo dobrze czułam się przy Bogdanie i w tym małym środowisku, które skupiało się w Petrze. To był zupełnie inny świat niż ten na zewnątrz. Każdy z nas zdawał sobie sprawę ze swoich braków i ograniczeń, ale dążyliśmy do wartości nieprzemijających. Ceniliśmy Prawdę, Szlachetność i drugiego człowieka. Na

⁴ AA - Ruch samopomocy alkoholików.

takich mityngach unosił się duch Prawdy, który odmieniał serca wszystkich w nich uczestniczących. Gdy ktoś zabierał głos, mówił o tym co go boli, co cieszy, mówił o swoich uczuciach. Mówił prawdę, każdy z nas wyczuwał to, czy ktoś mówił prawdę, czy lukrował swoją wypowiedź. Nie wiem jak, ale to się po prostu czuje. Słuchając wypowiedzi innych, odnajdywałam w sobie podobne niepokoje, obawy, pragnienia, czułam z nimi bliskość. Zyskując świadomość tego, co się we mnie dzieje pozwalałam rzeczywistości odmieniać się. Stawałam się podatna na zmianę. Bez świadomości tego człowiek się nie zmienia; może zmienić swoje zachowanie, ale nie siebie. Na zabawie mogłam być krótko, gdyż do godz. 21⁰⁰ musiałam powrócić do „przysiółka”. Zabawa się zwykle wówczas „rozkręcała”, a ja musiałam wychodzić. Zrezygnowałam więc w ogóle z chodzenia na zabawy, przynajmniej na razie. Bardzo lubiłam wyjazdy do Zosi do Milanówka, którą poznałam na grupie terapeutycznej. Raz, lub dwa razy w miesiącu jeździłam do niej. Bardzo dobrze czułam się u niej w domu. Małeńkie mieszkanko pełne ciepła i ładu. Zosia ma dwie córki w wieku 9 i 11 lat. Zosia jest drobną, ruchliwą, pełną energii czarnulką. Przyjeżdżałam do niej w niedzielę i cały dzień z nią spędzałam. Chodziłyśmy na długie spacery i cały czas rozmawiałyśmy. Razem chodziłyśmy na niedzielną mszę do małej kaplicy. Zosia posiadała wewnętrzną harmonię prawdziwie wierzącej osoby. Miałyśmy sobie wiele do powiedzenia. Te długie, mądre rozmowy i ciepło jej domu bardzo wówczas były mi potrzebne. Przecież w krótkim czasie straciłam swoją rodzinę i czułam się samotna. U niej czułam się jak u siebie w domu. Jej szczerość i otwartość to sprawiła. Ona nigdy nie maskowała się. Była autentyczna. To wielka sztuka pozostać autentyczną, będąc nieśmiałą. Ona wielu swoich zalet nie była świadoma. Mówiła mi, że zazdrości mi pięknej wymowy i inteligencji. Ja przekonywałam ją, że posiada cenne dary, jak dar mądrości, prawości i odwagi. Zosia długo nie mogła nabrać pewności siebie.

Pewnej niedzieli w zimie byliśmy jak zawsze na mszy w kaplicy. Msza jeszcze się nie zaczęła, ludzie zajmowali miejsca, siedzieliśmy obok siebie modląc się w myślach. Nagle zwrócił moją uwagę mężczyzna, który prowadził kobietę, chyba swoją żonę i sadzał ją delikatnie na ławce przed nami. Zaczęłam mu się przyglądać z zainteresowaniem. Ta kobieta wyglądała na chorą, ledwie się poruszała i miała amimiczną twarz. Mężczyzna, który był z nią troszczył się o nią, jak o małe dziecko. Jego ruchy były delikatne, naturalne i widać było, że czyni to codziennie. Z coraz większą ciekawością obserwowałam ich. Jego twarz wyrażała życzliwość, miłość i łagodność. Wyglądał na starego rolnika, miał pomarszczoną twarz i bardzo zniszczone ręce. Ale wyraz jego twarzy był zadziwiający i niespotykany wśród ludzi. Po

prostu ta twarz jaśniała blaskiem. Dotknęłam Zosię za rękę i wskazałam twarzą na niego, ona pokiwała głową i uśmiechnęła się. Widać było, że go zna i domyśla się, co chcę jej powiedzieć. Lecz zaczęła się już msza i nie chciałam jej przeszkadzać. Nadal byłam poruszona tym widokiem. Kiedyś czytałam takie zdanie, że krzyż, który otrzymujemy od Boga może stać się błogosławieństwem. Pomyślałam, że ten starszy, zniszczony pracą człowiek jest tego żywym dowodem, że tak można żyć. Swoją niedolę zamienił w błogosławieństwo. On nie popadł w gorycz i cynizm, jak większość ludzi, gdy spotyka ich nieszczęście, on wyszedł do ludzi z jeszcze większą miłością i otwartością po tym, co go spotkało. Wszystko to było widoczne na jego twarzy. Po mszy opowiadałam Zosi swoje wrażenia i byłam głęboko wzruszona. Okazało się, że ona zna go i też podziwia jego dobroć i łagodność.

Od czasu, jak wprowadziłam się do tego tymczasowego domu, wszystkie niedziele oprócz tych, które spędzałam z Zosią, byłam zapraszana do Matki Chrzestnej. Przychodziła tam również jej córka z mężem i dzieckiem. Matka Chrzestna przygotowywała świąteczny obiad, ja pomagałam w drobnych pracach przygotowawczych. Po obiedzie zmywałyśmy na zmianę z jej córką. Zawsze w niedzielę najadłam się dużo smacznych rzeczy. Również otrzymywałam od Matki Chrzestnej coś na wynos. Potrawy do odgrzania na obiad, wędlinę i coś słodkiego. W tym czasie ja w ogóle nie kupowałam wędlin i słodczy. Nie było mnie na to stać. Musiałam liczyć każdy wydatek i kupować rzeczy niezbędne. Prawie przez pół roku otrzymywałam takie wsparcie. To była ogromna pomoc dla mnie w tej sytuacji. Lecz najistotniejsze było to, że ja wiedziałam, że w każdej sytuacji mogę liczyć na jej pomoc. Ona była główną moją podporą i zabezpieczeniem w razie nieszczęścia. Na święta Bożego Narodzenia i wszystkie inne święta byłam zapraszana do jej domu. Wszystko to bardzo złagodziło moją samotność i brak rodziny.

Rozpoczęcie pracy zawodowej

Wreszcie podjęłam pracę po wielu latach przerwy. Niestety pierwsze tygodnie były bardzo trudne. Nikt oprócz profesora nie przywitał mnie przyjaźnie. Niektóre osoby były wręcz wrogie i zaczepne. Nikt mnie jeszcze nie znał, a już ustosunkowywał się tak jakby coś o mnie wiedział. Czułam się bardzo niepewnie i byłam zagubiona. Ja zawsze bardzo trudno adaptowałam się do nowego środowiska. Wiedziałam, że potrzebuję dużo czasu, aby poczuć się bardziej swojsko. W dodatku pierwszego dnia spóźniłam się, miałam trudności z dojazdem, choć wyszłam bardzo wcześnie z domu. Sekretarka profesora od razu głośno krzyczała, tak jakby nigdy to się jej nie zdarzało. Byłam zdziwiona jej reakcją. Ja nie lubię się spóźniać, także byłam zdenerwowana od samego początku. Pierwsze dni byłam bardzo zmęczona, gdy powracałam z pracy. Cała moja energia była zużywana na obserwowanie innych i próbę dostosowania się do nowych warunków. Poza tym nie mogłam zrozumieć ogólnej niechęci i wrogości, jaką większość osób wykazywała wobec siebie. Takie małe środowisko i takie skłócone, nie mogłam tego pojąć. Czy zdołam przyzwyczaić się do tego? - zastanawiałam się. Początek grudnia był smutny. Były moje urodziny i imieniny, które spędziłam w samotności. Po dwóch tygodniach spędzonych w pracy wiedziałam, że będę miała trudności w przywyknięciu do tej atmosfery. W pracy było znacznie trudniej porozumieć się ze wszystkimi, niż w tym domu, który był zbiorowiskiem najróżniejszych ludzi. Nawet nie było porównania. Przez cały czas obawiałam się jakiejś przykrości, lecz nic złego mnie nie spotkało. Raczej dużo dobrego, czym byłam mile zaskoczona. Już teraz wiedziałam, że w pracy sytuacja rysuje się znacznie bardziej zagmatwanie.

Dostałam wezwanie na rozprawę rozwodową. Jak bardzo pragnęłam mieć to już za sobą i nie oglądać więcej Ryśka. Przed rozprawą Rysiek cynicznie pytał mnie, co słyszeć i napomynał o powrocie. Nie chciałam z nim o tym rozmawiać. Zachowywałam się grzecznie i powściągliwie. Obiecał mi, że on opłaci wszystkie koszty sądowe i prosił o ugodowe rozwiązanie małżeństwa. Zgodziłam się na to. Wystarczyły dwie rozprawy do unieważnienia związku. Nie mieliśmy dzieci, żadne alimenty nie wchodziły w grę. Nie było niczyjej krzywdy, przynajmniej takiej, jaką interesowałby się sąd. Kiedy już pożegnaliśmy się, przypomniałam sobie, że on nie dał mi pieniędzy na opłacenie rozwodu. Byłam taka pochłonięta panowaniem nad sobą i swoimi emocjami, że zupełnie zapominałam o pieniądzach. No trudno - pomyślałam, gdy przyjdzie zawiadomienie o zapłaceniu, zwrócę się do niego

o pieniądzu. Powróciłam jakby lżejsza do swojego tymczasowego miejsca zamieszkania. Przynajmniej jedną sprawę w sądzie mam za sobą. Pozostała jeszcze jedna, związana ze szwagrem, ale o tym już w ogóle starałam się nie myśleć.

Tak bardzo pragnęłam mieć jakiś mały kącik dla siebie. Jednak tu zaczynałam czuć się niepewnie. Każdego dnia, gdy powracałam z pracy dowadywałam się, że ktoś został wyrzucony za jakieś przewiny. Ciągłe ktoś nowy przybywał. Już tylko kilka osób pozostało z tych, których znałam. Wiedziałam, że ja również będę musiała wyprowadzić się. Niczego konkretnego nie mogłam ustalić z siostrą i szwagrem. Mój szwagier miał spółdzielcze, lokatorskie małe mieszkanko, taką stróżówkę na parterze budynku 11-piętrowego. Na razie to mieszkanie było zajęte, ktoś je wynajmował.

Wiele razy zastanawiałam się nad tym, co mnie spotkało. Zaczęłam rozumieć, że to co się stało było dla mnie błogosławieństwem. Ja nigdy nie zdobyłabym się na takie samodzielne działanie, bez takiego wstrząsu, który przeżyłam. To wszystko było konieczne do pozbycia się resztek iluzji z mojego świata. Tylko tak silny ból mógł mnie zmusić do zobaczenia prawdy, nawet wtedy było to trudne. Ale bez tego niemożliwe. Będąc w kościele dziękowałam Bogu za to, co mnie spotkało. Im więcej porzucałam iluzji, tym bardziej czułam się wolna. Właściwie to wszystko, o co się modliłam, otrzymałam. Już nie byłam dzieckiem zagubionym pośród ciemności. Coraz bardziej wiedziałam, jak powinnam w danej sytuacji postąpić. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, co jest właściwe i dobre. Zaczęłam dostrzegać, że inni podziwiali moją zdolność rozumienia i szybkiego orientowania się nawet w bardzo trudnych sytuacjach. Otrzymałam dar mądrości i trzeźwego myślenia, o który tak bardzo prosiłam Boga. Również Bóg postawił na mojej drodze ludzi, których potrzebowałam. Dzięki nim odzyskałam nadzieję i wiarę w człowieka i w sens jego walki o dobro na ziemi. Otrzymałam taką pomoc, jakiej potrzebowałam. Zaczęłam również widzieć rzeczy, których dawniej nie widziałam. Zaczęłam odróżniać prawdę od fałszu. Pojęłam to, że wreszcie przekroczyłam tę niewidzialną granicę między dawnym światem ciemności a obecnym, w którym uczę się żyć. Dużo czytałam i zastanawiałam się nad sobą, światem, miłością, Bogiem. Musiałam wszystko dogłębnie przemyśleć, aby ostatecznie dotrzeć do Prawdy. Teraz wiele osób pytało mnie: jak ja to robię, że jestem taka ludzka i pogodna? Jak ja to robię, że prawie wszyscy mnie lubią i chcą przebywać w moim towarzystwie. Ja odpowiadałam, że to Bóg dał mi tyle cierpienia, ile potrzebowałam, aby się obudzić. Mówiłam, że ciężko nad tym pracuję, aby być taką jaką jestem.

Tylko jedno napawało mnie smutkiem. A mianowicie to, że było coraz mniej osób wokół mnie z którymi mogłabym rozmawiać o tym co mnie nurtuje, co mnie interesuje. Cały czas w samotności szukałam Boga i Prawdy. Teraz szukałam własnego sensu w życiu, ale potrzebowałam ludzi, aby dzielić się swoimi spostrzeżeniami, odkryciami i wątpliwościami. Spostrzegłam również smutny fakt, że ludzie utożsamiają się ze swoimi poglądami, opiniami i reagują agresją, gdy mówi się coś przeciwnego. Tak jakby to ich bezpośrednio dotyczyło. A przecież człowiek to nie to samo, co jego poglądy. Poglądy można wiele razy zmieniać w ciągu życia. Człowiek też w pewnym stopniu się zmienia, ale pozostaje niezmienna jego istota. Tylko, że większość myśli, że jest swoimi poglądami, a nie zna swojej istoty. Dlatego nie sposób rozmawiać z ludźmi o rzeczach istotnych i ważnych, gdyż zwykle dochodzi do sprzeczki i oburzenia. Lecz w konsekwencji lepszy jest smutek, który towarzyszy widzeniu rzeczywistości niż beznadziejna ślepotą. Wiele rzeczy opłacamy cierpieniem, aby potem móc się radować. „Ból to radość, co jeszcze twarzy nie odkryła” pisze w jednym z wierszy L. Staff. Wiele musimy posiadać umiejętności, aby nauczyć się żyć. Musimy godzić się ze złem, głupotą i nienawiścią. Zaczęłam uczyć się rozumienia, a nie oceniania i krytyki. Lecz nadal smuci mnie, jak ludzie sami ograniczają swoje zdolności rozumienia, sami ograniczają zdolność ludzkiego umysłu.

Były i są takie chwile, gdy czuję się zupełnie inna, nie rozumiana i samotna. Ale uczę się również tego, że najlepszym towarzystwem dla siebie jestem ja sama. Jeśli będę dobrze czuła się ze sobą, to i z innymi poczuje się lepiej. To jest dokładnie tak, jak z miłością. Jeśli siebie kocham, to również mogę kochać innych. Jeśli ktoś mówi, że kocha tylko innych, to nie kocha nikogo. Wielcy mistycy twierdzą, że najpierw trzeba poczuć ból samotności, aby nauczyć się kochać, że najpierw trzeba przejść przez własną śmierć, aby obudzić się do życia. Tu nie chodzi o faktyczną śmierć, tylko o duchowe uwolnienie od swoich lęków i ograniczeń. Nadal nurtuje mnie i zachwyca tajemnica Miłości, poznawanie Boga jako niepoznawalnego, głębia ludzkiego wnętrza. Wiem, że nigdy do końca tego nie zrozumieć, gdyż granice ludzkiego umysłu kończą się znacznie wcześniej, niż prawdziwe poznanie tych tajemnic. Lecz ciągle odczuwam pragnienie wgłębiania się w te tajemnice i dzielenia się swoimi spostrzeżeniami z innymi ludźmi. Tylko, że mało jest ludzi z którymi można o tym rozmawiać. Większości wydaje się, że posiada dostateczną wiedzę o życiu, a tak naprawdę to trzeba wyjść poza wiedzę, aby dotrzeć do życia, do rzeczywistości.

Święta Bożego Narodzenia spędziłam w domu u Matki Chrzestnej. Było mi tam dobrze, ale odczuwałam smutek, brak stabilizacji, niepewność jutra.

W pracy uczyłam się pisania na maszynie, gdyż wcześniej tego nie umiałam. Jeszcze wiele musiałam się nauczyć. Po południu czytałam książki, które poszerzały moją wiedzę zawodową. Aby pracować z ludźmi i im pomagać, a nie szkodzić, trzeba bardzo wiele się nauczyć. Nie tylko pracować nad sobą, ale trzeba osiąść wiedzę o sobie i wszystkim, co dotyczy człowieka. Profesor cały czas kierował moim rozwojem i nauką. Ja starałam się nauczyć wszystkiego, aby być mu pomocna. Oczywiście wiele rzeczy mi się nie udawało. Pewne rzeczy robiłam dobrze, a inne źle. Natomiast miałam dużo chęci i dobrej woli. Zostawałam popołudniami i uczyłam się pisania adresując ogromną ilość kopert, w których miały być rozesłane zaproszenia na corocznie organizowane przez nas sympozja. Byłam bardzo szczęśliwa, że mogę pracować i to jeszcze dla dobra innych ludzi. Taka praca nadaje sens życiu. Zastanawiałam się, jak mogłam tyle lat żyć bez pracy. Nareszcie zaczynam życie, które jest pełne treści i daje mi możliwość pełnego rozwoju.

Wychodziłam wcześniej rano z budzącą się nadzieją na nowy dzień. Zawsze przychodziłam wcześniej niż inni do pracy, nie lubię porannego pośpiechu. Patrzyłam na wstający dzień. Pomarańczowa kula słońca budziła go do życia. Każdy dzień był dla mnie zapowiedzią czegoś lepszego. Budziła się we mnie ciekawość świata, która dawniej była tłumiona przez lęki. Obserwowałam wszystko wokół z ciekawością dziecięcą, ale posiadając już pewne doświadczenie. Pragnęłam jeszcze jednego, zachować świeżość uczuć, nie dać się stłamsić i nie poddać się zgorzknieniu. Nie stać się tzw. człowiekiem dorosłym, ale niedojrzałym. Takim człowiekiem, który myśli, że wszystko wie o życiu i nic go już nie może zadziwić. Taki człowiek jest dla mnie już za życia martwy, przypomina kukłę, którą inni ludzie pociągają za sznurki. Pragnęłam stawać się dojrzałą, ale zachować świeżość duchową.

Pracując nad sobą ciągle zauważałam jakieś pozytywne zmiany. Zauważyłam, że nawet bardzo konfliktowi i agresywni ludzie przy mnie się zmieniają. Mieszkała w tym domu co ja, pewna młoda dziewczyna, która została sama z maleńkim dzieckiem. Chłopak ją zostawił a rodzina wyrzuciła z domu. Ona była bardzo arogancka i często przeklinała. Wszyscy skarżyli się na nią. Przy mnie stawała się łagodna i spokojna. Potem już nigdy przy mnie nie przekleła. Gdy mnie widziała, jej twarz łagodniała. Nawet potrafiła bezinteresownie pomagać innym przyłączając się do mnie. Każdy człowiek potrzebuje ludzkiego ciepła i zrozumienia. Gdy to otrzyma, jest w stanie zmieniać się na lepsze. Tylko, że wobec takich ludzi życzliwość musi być autentyczna, nie wymuszona. Każdy człowiek wyczuwa intuicyjnie nastawienie drugiego człowieka. Ale człowiek mający problemy ze sobą, wyczuwa to jeszcze głębiej i trafniej. Dlatego zawsze przeraża mnie takie stwierdzenie:

zapomnij o sobie i idź pomagać innym. Jeśli mając własne problemy udamy się do innych ludzi, to tylko pozostaje współczuć tym, do których się udaliśmy. Bezwiednie uczynimy im krzywdę. Oni i tak wyczują w nas obłudę i będą tracić coraz bardziej nadzieję na normalny ludzki kontakt. Dystans między nimi a drugim człowiekiem powiększy się. Musimy sami stać się miłością, łagodnością, mądrością, aby móc pomagać innym i wskazywać drogę, której szukają.

Minął już ponury i ciemny grudzień. Mój świat powoli nabierał nowych realnych kształtów. Sporo nowych rzeczy nauczyłam się i miałam nadzieję, że jeszcze dużo się nauczę. Ten nowy świat wcale nie był taki straszny, rządziły w nim pewne logiczne i sprawiedliwe reguły. To co dajesz, to otrzymujesz. Wszystko, czego się nauczyłam, potwierdzało się w życiu. Bywały dni, kiedy czułam się szczęśliwa. Nadal miałam wiele problemów finansowych. W grudniu otrzymałam niespodziewaną pomoc, obiady za darmo jeszcze na cały miesiąc grudzień. Załatwiła mi to młoda kobieta pracująca w sekretariacie siostry Lidii. Ponieważ pensję otrzymywałam pod koniec miesiąca, wszyscy uznali, że potrzebuję jeszcze pomocy. Bardzo uradowałam się, gdy powracając z pracy otrzymałam taką wiadomość. Byłam mile zaskoczona, że inni proszą za mnie. Zresztą ja bym o to nie poprosiła, raczej pożyczylabym pieniądze na życie od Matki Chrzestnej. Moje pierwsze pensje były bardzo niskie, ledwie starczały na skromne wyżywienie.

Poznałam czym jest Miłość

Pewnego dnia powracałam z zakupów, które robiłam w pobliskim sklepie. Zapadał szary, zimowy zmierzch. Przechodząc przez ulicę skręciłam lekko nogę i siatka z zakupami wypadła mi z ręki. Część zakupów rozsypała się na chodniku. Jakiś mężczyzna podszedł pomóc mi. Przepraszając za swoją nieudolność zbierałam razem z nim rzeczy i wkładałam do siatki. Trochę bolała mnie noga w kostce. Takie rzeczy prawie nigdy mi się nie zdarzają, byłam zawstydzona i nawet do tej pory nie spojrzałam na niego. Teraz spojrzałam z wdzięcznością i zaciekawieniem. Zobaczyłam przed sobą bardzo eleganckiego pana w średnim wieku o miłej, męskiej twarzy. Po wszystkich swoich przeżyciach nie byłam zbyt przyjaźnie usposobiona do mężczyzn. Zawsze zachowywałam rezerwę i powściągliwość. Teraz poczułam ciepło i chęć poznania go. Był jakiś inny od wszystkich mężczyzn. Była w nim życzliwość, zdecydowanie i jakiś nieokreślony czar. Zaproponował mi podwiezienie do domu i ja chętnie wsiadłam do jego samochodu. Byłam pewna, że przy nim nic mi nie grozi. Umówiliśmy się za kilka dni w tym samym miejscu. Rozmowa z nim i umówienie na pierwszą randkę było takie naturalne, że nawet nie wiem jak to się stało. Przecież tak unikałam wszystkich mężczyzn. Nie myślałam zbyt wiele o nim przez te kilka dni, lecz w moim sercu rozwinął się jakiś nowy, maleńki i dotąd nie znany mi kwiat. Gdy przypominała mi się jego twarz, to uśmiechałam się tajemniczo do siebie. Gdzieś w głębi siebie czułam nową isierkę życia.

Na pierwszej naszej randce byliśmy w małej, zacisznej kawiarni. Przyjemnością była rozmowa z nim. Z otwartością i naturalnością opowiadał o sobie. Był pisarzem i malarzem. Miał podobnie jak ja, jedno niezbyt udane małżeństwo za sobą. Dzieci nie miał. Jego twórcza praca wynagradzała mu brak rodziny. Mieszkał w dużym mieszkaniu razem z matką. W ich wspólnym mieszkaniu pozostała jego była żona. Smutne doświadczenia, które wyniósł ze swojego małżeństwa nie pozostawiły w jego sercu goryczy. Był pełen ciepła, życzliwości, zrozumienia i mądrości. Ja również zaczęłam mówić o sobie, najpierw mówiłam niewiele obserwując jego reakcję. To, co w nim widziałam było wprost niewiarygodne i mało realne. W myślach mówiłam sobie, muszę go lepiej poznać, na pewno wtedy zobaczę jego wady. Teraz wydawał się nie mieć wad. Samo siedzenie przy nim w milczeniu było przyjemnością. Czy on wypromieniowuje jakąś pozytywną energię? - zastanawiałam się. Po kilku godzinach pożegnaliśmy się. Po tym pierwszym spo-

tkaniu czułam, że on jest mi bliższy, niż wszyscy inni ludzie na świecie. Byłam zdumiona tym, co czułam.

W początkach stycznia otrzymałam wezwanie do sądu na rozprawę przeciw mojemu szwagrowi, który mnie pobił. Czułam strach i mdłości na samą myśl, że go zobaczę. Boże, jak ja to zniosę – myślałam. Wiedziałam, że będę tylko ja i on wśród obcych ludzi. Wprawdzie w sądzie nic mi nie grozi, ale sam jego widok wywoływał wstrząsające wspomnienia. Bardzo potrzebowałam wsparcia i obecności kogoś bliskiego. Niestety, na to nie mogłam liczyć. Zwolniłam się z pracy i pełna obaw jechałam do sądu. Siedziałam sama w pustym, dużym korytarzu przed salą rozpraw. Byłam napięta i zdenerwowana, gdyż wiedziałam, że on zaraz nadejdzie. Marzyłam o tym, aby nie przyszedł. Nadal byłam zupełnie sama. Zobaczyłam go, szedł w moim kierunku. Serce zamarło we mnie. Próbowałam zachować spokój i rezerwę. Usiadł obok mnie, grzecznie z nim rozmawiałam. Nie pamiętam o czym rozmawialiśmy, byłam zbyt zdenerwowana.

Wezwano nas na salę rozpraw. Była tylko jedna sędzina. Szybko przeczytała akt oskarżenia i zaczęła zadawać nam pytania. Czy on jest mężem mojej siostry? Czy pierwszy raz mnie pobił? Odpowiadałam zgodnie z prawdą. Ona zaczęła mnie namawiać do wybaczenia mu, motywując to, że przecież należy do rodziny. Zaproponowała mu zobowiązanie do uregulowania ze mną spraw majątkowych. W przypadku nieuregulowania mogłam wznowić sprawę. Stałam blada naprzeciw niego i nie wiedziałam, co mam mówić. Krew odpłynęła mi do nóg, czułam bezwład i pustkę w głowie. Zgodziłam się na takie rozwiązanie. Mój szwagier zobowiązał się do uregulowania ze mną spraw mieszkaniowych. Sędzina to zanotowała. Tak skończyła się rozprawa o pobicie. Wyszliśmy z sali, szwagier grzecznie przepuścił mnie przed sobą. Był bardzo zadowolony i uprzejmy. Powiedział mi, że myślał, że ja będę kłamać i pograżę go a ja tylko mówiłam prawdę. Wydawało się, że zaraz zacznie podskakiwać z radości. Obiecał mi, że ten człowiek, który wynajmuje jego mieszkanie, w krótkim czasie się wyprowadzi. Potem on wykupi od spółdzielni to mieszkanie. Ja zostanę jego właścicielką zrzekając się swojej własności, czyli współwłasności domu, w którym mieszkają: on, moja siostra i mój ojciec. Przyszło mi czekać cztery miesiące na wyprowadzenie się tego człowieka i uzgodnienie czegoś z moim szwagrem.

Gdy kończył się styczeń, bałam się znów prosić o przedłużenie pobytu. Miałam już pracę, nie byłam już w tak tragicznej sytuacji, jak na początku, właściwie powinnam sama sobie radzić. Lecz na wynajęcie, nawet małego pokoju, nie było mnie stać. Za obiady już płaciłam i pani Hania, nasza kucharka, zostawiała mi je w mojej szafce. Próbowałam dowiadywać się o

jakiś tani pokój przy starszej osobie, której pomagałabym w zamian za niską opłatę. Każdego dnia liczyłam się z tym, że może będę musiała zaraz wyprowadzić się. Teraz wiedziałam, że nawet jeśli tak się stanie, to już sobie poradzę. Pragnęłam już jakiejś stabilizacji. Niepewność męczyła mnie.

Mój były mąż jeszcze wiele razy próbował się ze mną kontaktować. Telefonował, pisał listy. Nie znał mojego adresu i przysyłał listy na adres Biura Opieki Społecznej. Na początku mojego tam pobytu mój mąż przyjechał tam z moim ojcem i usilnie prosili kierowniczkę o adres do mnie. Lecz kierowniczka była zbyt doświadczona w pracy z alkoholikami, aby dać się zwieść. Mój mąż oczerniał mnie wobec niej. Mówił, że z nim piłam, że jestem niewdzięczna, że on chciał kupić mi drogie futro, lecz ja nie chciałam. Kierowniczka powiedziała mu, że miałam rację. Nie dała się zwieść jego manipulacjom i wszystko mi powtórzyła dodając: „Nie dość, że alkoholik to jeszcze drań”. – Wy tłumaczyła mi, że nie chce mnie ranić. Pewnie nie powiedziała by mi tego wszystkiego, gdyby nie to, że myśli, że w ten sposób będzie mi łatwiej oderwać się od niego emocjonalnie. Na jej pytanie, czy z nim piłam? – powiedziałam prawdę. Mówienie jej prawdy wyszło mi wyjątkowo na dobre. Większość oszukiwała ją.

Mój mąż groził mi, że jakaś grupka Białorusinów zniszczy mi twarz. Telefonował do mnie i mówił, że mnie poszukują gdyż jestem winna im pieniądze. Nie wiem, czy on był im coś winien i próbował mnie w to wmanewrować. Telefonował również i pytał o mnie jakiś mężczyzna z Białorusi. Mówił, że mnie poszukuje. Wiedziałam, że mój mąż miał tam założyć firmę. Muszę przyznać, że było to niepokojące. Teraz obawiałam się powracać wieczorem. Tyle czasu żyłam z człowiekiem, po którym nigdy bym się tego nie spodziewała. Jego zachowanie przechodziło wszelkie moje wyobrażenia. Straszył mnie, tyranizował, krzywdził i ciągle miał nadzieję, że może powrócę do niego. Opowiadał siostrze Lidii, że mnie kocha i chce, abym wróciła. Jak on się nie wstydził mówić po tym wszystkim, że mnie kocha. Nienawiść i pychę nazywał miłością. Siostra Lidia powiedziała do niego, że jeśli chce, to może mi pomóc przysyłając czek. Oczywiście, nie przysłał żadnych pieniędzy.

Miałam parę groszy na swojej książeczce oszczędnościowej, trzymałam je na tzw. czarną godzinę. W pewnym momencie były mi bardzo potrzebne i poszłam po nie do Banku. Dowiedziałam się, że moja książeczka jest zlikwidowana, mój mąż miał upoważnienie. Ja byłam pewna, że nie będzie mu się chciało iść po tak małą sumę. Gdy dowiedziałam się o tym, miałam tak zaskoczoną minę, że urzędniczka zaproponowała mi dokładne sprawdzenie. Tłumaczyła mi jakie mam napisać pismo, ale ja wiedziałam co to

może znaczyć i machnęłam ręką. Już tyle razy miałam tego dowody, że mój były mąż nie jest człowiekiem honoru, a jednak byłam zdumiona i wstrząśnięta tym co zrobił. Rozsadzało mnie oburzenie i złość. Tyle lat z nim byłam, będąc święcie przekonana, że czegoś takiego by nie uczynił. Jak wiele błędów możemy popełniać w nieświadomości. Jaką tajemnicą może być jeden człowiek dla drugiego. Mój dawny świat to „ciemny labirynt sprzeczności”, nic dziwnego, że się w nim gubiłam i nie mogłam odnaleźć. Byłam szczęśliwa, że nawet tak trudne doświadczenia nie zostawiły trwałego śladu goryczy i nie zniszczyły jasności mojej duszy. Tylko jeszcze hartowały ją i umacniały w jej nienaruszalnej Prawdzie.

Dziękowałam Bogu za to, że taką mnie stworzył. Dziękowałam za głębię swojej duszy i za to, że dane było mi to poznać. Poznać inny świat, głębszy i bogatszy niż ten zewnętrzny, który nas otacza. Kiedy byłam gotowa na zmianę, to również byłam gotowa na przyjście Boga. Zaczęłam zastanawiać się, czym Bóg nie jest, ponieważ kim jest Bóg, to za trudne pytanie dla człowieka. Tak wiele mówi się w naszym kościele o sprawiedliwości Bożej, o tym co czeka w przyszłym świecie sprawiedliwych i niesprawiedliwych. W moim sercu było wiele goryczy i poczucia krzywdy. Wiele doznałam krzywdy od innych ludzi, a jednak nikomu nie życzyłabym Piekła. Z jednej strony przynosi ulgę taki sposób myślenia, że każdy otrzyma to, na co zasługuje. Chętnie myślimy o wymierzaniu kar dla innych, szczególnie dla tych, od których doznaliśmy krzywdy. Lecz wszystko to jakoś klóci mi się z pojęciem Boga jako Miłosierdzia i Sprawiedliwości.

Takie myślenie jest chyba pocieszeniem dla nas tu na Ziemi. Jeśli sami nie możemy sądzić, to chcemy ufać, że Bóg za nas rozsądzi i ukarze tych, co nas skrzywdzili. Tu na ziemi, posiadamy ludzką postać i ograniczenia. Im więcej posiadamy ograniczeń - tym więcej potrzebujemy pociechy. Może w przyszłym świecie, już nie będzie zależało nam na ukaraniu innych. Będziemy widzieć wszystko z innej perspektywy, nasze ograniczenia ziemskie już nie będą przesłaniały nam horyzontu. Jeśli teraz wraz ze swoimi ograniczeniami jestem w stanie wybaczać i nie chcieć Piekła dla innych. To o ile doskonalszy jest Bóg od człowieka. Tu na ziemi szlachetniejemy poprzez cierpienie i wzrastamy w swoim człowieczeństwie. Nie wszyscy jednak są w stanie szlachetnieć. Dlatego każdy idzie inną drogą do Boga, ale chyba każdy będzie miał szansę dojść. Nie wiem, co może czekać niesprawiedliwych w innym świecie, ale na pewno nie Piekło. Myślę, że otrzymają inną szansę, inną formę wzrastania, może też poprzez cierpienie. Ale na pewno nie będą czekać ich wieczne męki. To po prostu jest wbrew Miłosierdziu.

Myślę, że każda Ewangelia jest kluczem, alegorią i że nie można rozumieć jej wprost. Ci, co ją dosłownie tłumaczą, popełniają błąd. Dlatego dla tych co przyjmują ją powierzchownie jest pełna sprzeczności. Np.: „Prędzej przejdzie wielbłąd przez ucho igielne, niż bogacz wejdzie do Królestwa Niebieskiego” lub „Ci, co przychodzą do mnie, muszą mieć w nienawiści ojca i matkę swoją”.

Za tymi słowami kryje się głęboka mądrość, którą ujrzy i zrozumie tylko ten, kto nie szuka prostych i dosłownych rozwiązań. Te dosadne przykłady, którymi posługuje się Jezus mają nam pomóc w odrzuceniu naszego zaślepienia, mają nas obudzić i poprowadzić do Prawdy. Gdyż Prawdy nie da się wyrazić słowami. Dlatego Ewangelie są kluczem do zrozumienia. Gdybyśmy w prostych słowach mieli to podane, to tylko naśladowalibyśmy to, co Jezus nam przekazał, bez głębokiej przemiany wewnętrznej potrzebnej do czynienia tego, co czynił Jezus. W ten sposób nigdy nie dotarlibyśmy do Prawdy i nigdy nie zrozumielibyśmy, co miał na myśli Chrystus. Zmieniając swoje zachowanie, nie zmieniamy siebie. W tym tkwi pułapka.

Myślę, że nie byłoby tyle nienawiści i obludy wśród wierzących, gdyby nie zmuszali się do zachowań, które tak naprawdę są im obce i nienawistne. Dlatego wielu mówi, że przychodzą z miłości, a są pełni nienawiści. Ponieważ nie zaszła w nich przemiana. Oni oczywiście są tego nieświadomi. Narzucili sobie taki przymus, gdyż są w swoim mniemaniu wierzącymi. Ten przymus rodzi w nich bunt, złość i nienawiść. Aby postępować tak jak Chrystus, trzeba stać się Chrystusem. Trzeba dotrzeć do Prawdy. Dlatego Chrystus mówi: gdy poznacie Prawdę, to Prawda was wyswobodzi. To święte i mądre słowa. Jeśli zajdzie w nas wewnętrzna przemiana upodabniająca do Chrystusa, to sami będziemy wiedzieli jak postąpić i będziemy dobrze rozumieli słowa Ewangelii.

Właśnie faryzeusze popełnili taki błąd. Przestrzegali przepisów zawartych w Świętych Księgach i byli przekonani, że czynią dobrze. Zwracali uwagę na zewnętrzne zachowania, czasem tylko pozory świętości. Dlatego w oparciu o swoją wiarę i swoje rozumienie Świętych Ksiąg ukrzyżowali Chrystusa. Wielu chrześcijan popełnia podobny błąd. Większość chce mieć dokładne wskazówki, co powinno się czynić, a czego nie czynić. Większość trzyma się usilnie własnych interpretacji lub w ogóle mylnych interpretacji, podobnie jak swoich przekonań. W ten sposób zamykają się na Boga i na Prawdę i nigdy do niej nie dotrą, gdy nie porzucą tych przekonań. Czasem nasze wyobrażenie Boga jest największą przeszkodą w drodze do Boga.

Miłość uskrzydla, nadając sens

Wstał piękny słoneczny, zimowy dzień. Była sobota i czekał mnie przyjemny dzień. Byłam w dobrym nastroju. Patrzyłam przez okno na świat. Drzewa i krzewy już dawno potraciły wszystkie liście, były półmartwe i zapadły w głęboki sen. Cały świat zdawał się trwać w znieczuleniu. Tego dnia blask słońca obudził szarą martwość, spadł biały śnieg i dodał uroku całemu światu. Świat przystrojony tym białym, delikatnym puchem wyglądał, jakby szykował się na jakieś uroczyste święto. Ta świeżość zimowego poranka udzieliła mi się i nastrojała pogodnie. Wczesnym popołudniem wybierałam się na mityng AA, a potem byłam umówiona z moim nowym tajemniczym znajomym. Radość i niecierpliwe oczekiwanie sprawiało, że czas jakoś długo odmierzał godziny. Chciałam przyspieszyć czas, ale on płynął swoim powolnym i upartym rytmem. Wreszcie byłam już gotowa i jechałam na mityng. Na mityngu zawsze starałam się wsłuchiwać w to, co mówią inni. Starałam się być otwarta i skupiona. Chciałam jak najwięcej skorzystać z doświadczenia i przemyśleń innych ludzi. Teraz trudno było mi się wyciszyć i skupić. Ciągłe przed oczami widziałam jego twarz. Gdyby dziś nie przyjechał, jakże byłoby mi smutno – myślałam. Dziwne, prawie go nie znam, a tak jest ważny w moim życiu. Jego osoba dodała blasku i bogactwa mojemu światu. Czy uczucia rodzą się poza naszą świadomością? Może dopiero wtedy gdy dojrzeją, stajemy się ich świadomi? Nie wiedziałam co czułam, ale byłam radośnie odurzona. Na mityngu była mowa o emocjonalnym uzależnieniu od drugiego człowieka. Przysłuchiwałam się uważnie. Pomyślałam, że to trudne do odróżnienia, kiedy człowiek potrzebuje drugiego człowieka, gdyż on wyrównuje jego braki, a kiedy dlatego, że go kocha i odnajduje siebie w nim, tworząc pełnię człowieczeństwa. Jaką postawić granicę między przywiązaniem emocjonalnym, a miłością, której podstawą jest wolność? Na ile ja uzależniam się od innych? – pomyślałam. Pewnie kiedyś będę potrafiła to odróżnić. Już tyle rzeczy rozumiałam, nie ma potrzeby zbytnio się śpieszyć. Wszystko ma swój czas pod słońcem.

Wyszłam na ulicę i zobaczyłam jego samochód. Serce jakoś poczułam w gardle. Szybko usiadłam i już opowiadałam swoje wrażenia i refleksje z mityngu. Pojechaliśmy daleko za miasto. Chcieliśmy odpocząć od widoku betonu, samochodów i hałasów wielkiego miasta. Byłam szczęśliwa, oglądałam widoki przez okno, czułam jego pełną życzliwości bliskość i bezpieczeństwo. Jechaliśmy powoli, on nigdy nie jechał szybko, ani nerwowo. Sprawiał wrażenie opanowanego mędrca. Większość ludzi sprawia wrze-

nie rozkojarzenia, rozlatania, jakiegoś zagubienia. W nim była pewność, stateczność, lecz nie pycha. Nigdy nie przechwalał się i nie koloryzował swoich wypowiedzi. Cały czas byłam nastawiona na to, że zapewne zobaczę jego wady, ale im więcej go poznawałam, tym więcej widziałam zalet. Widziałam w nim wszystko to, co pragnęłam ujrzeć w drugim człowieku. Były chwile gdy myślałam, że chyba śnię na jawie sen szczęśliwy. Przecież to niemożliwe, aby był ideałem. Coraz więcej opowiadałam mu o sobie. On słuchał nie przerywając mi, z wytrwałością i mądrością mędrca. Zapamiętywał wszystko, co mówiłam. Gdy potem do tego wracaliśmy okazywało się, że pamiętał nawet szczegóły. Ja byłam przyzwyczajona do tego, że nikt nie potrafi uważnie słuchać. Umiejętność słuchania, to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakiej uczy się człowiek. Nawet ci, co zawodowo muszą słuchać, nie zawsze to potrafią, oczywiście z wyjątkiem profesora. On jeden potrafił słuchać. Lecz ci, którzy nie musieli się tego uczyć, prawie w ogóle nie potrafili słuchać.

Ten człowiek coraz bardziej mnie zaskakiwał. Mówiliśmy sobie na „ty” od tego spotkania. On miał na imię Łukasz. Nigdy nie znałam nikogo, kto nosiłby to imię. Kilka godzin minęło jak pięć minut w jego obecności. Musiałam już powracać. Powiedziałam mu gdzie mieszkam i jakie sytuacje losowe mnie tu przywiodły. On okazywał mi zrozumienie i współczucie. Po każdym z nim spotkaniu byłam odmieniona. Nawet patrząc w lustro widziałam zmianę na twarzy. W moich oczach były jakieś ciepłe promyki, łagodność zmieniała rysy twarzy.

Jeszcze przez pewien czas po rozstaniu, byłam jak odurzona narkotykiem. Usypiałam pełną wspomnień i ciepła z tego pięknego, zimowego dnia. Po kilkunastu spotkaniach Łukasz zaprosił mnie do domu. Miałam obawy przed pójściem tam. Lecz Łukasz nalegał. Mieszkanie jego mieściło się w małym przytulnym bloku w centralnej dzielnicy Warszawy. Byłam napięta jadąc tam. Zastanawiałam się, jak mnie przyjmie jego mama. Już tyle razy spotkałam się z ludzką wrogością, która nie miała w mojej osobie żadnego uzasadnienia. Po prostu ludzie tkwiący w swojej przeszłości, przenoszą ją na teraźniejszość i zupełnie nas nie znając wydają oceny, które dotyczą przeszłości. Wielu ludzi tworzy sobie o nas obraz nieprawdziwy na podstawie swoich doświadczeń. Jednak ten obraz nie ma nic wspólnego z nami. Wytworzywszy sobie o nas obraz, nie starają się nas poznać naprawdę. Niestety tak postępuje większość ludzi.

Zależało mi, aby jego matka była dobrze do mnie usposobiona. Kiedy mnie zobaczyła przyjazny uśmiech pojawił się na jej twarzy. Była miła, sympatyczna, ale była w niej jakaś rezerwa i dystans. Przyglądała mi się ciekawie,

kiedy na nią nie patrzyłam. Widziałam w jej oczach, że ocenia mnie jako atrakcyjną i niegłupią kobietę. Na pewno Łukasz też dużo dobrego opowiadał o mnie. Lecz była w jej twarzy jakaś obawa. Po godzinie wspólnej rozmowy poszliśmy do pokoju Łukasza. Zostaliśmy sami, odetchnęłam z ulgą. Nawet nie wiedziałam, że jestem tak napięta. Łukasz włączył piękną, nastrojową muzykę. Usiadłam na fotelu i przymknęłam oczy. To dziwne, że czuję się taka bezpieczna przy nim – pomyślałam. Opowiadałam mu o swoich obawach i jak się czułam rozmawiając z jego mamą. Rozumiał moje obawy. Byłam trochę zmęczona. W pracy ciągle musiałam mieć się na baczności, jeszcze nie przywykłam do jej atmosfery. W domu, w którym mieszkalam ciągle coś nieprzyjemnego się wydarzało. Wszystko to razem powodowało napięcie. Jeszcze teraz ta rozmowa z jego mamą.

Łukasz siedział na wersalce, poprosił mnie, abym usiadła blisko niego. Chętnie usiadłam przy nim przytulając się do niego. Objął mnie ramieniem, a ja wtuliłam się jak małe dziecko w jego ramiona. Głaskał moje ramię i cicho rozmawialiśmy. Bardzo podobało mi się, że jest taki delikatny i że zważa na moje reakcję niczego nie wymuszając. Obserwował mnie i robił dokładnie to, co było mi w tej chwili potrzebne. Czytał w moich oczach. Do tej pory wszyscy mężczyźni robili wszystko za szybko, niż ja bym tego chciała. Ciągle musiałam bronić się przed ich napastliwością i namolnością. Łukasz był zupełnie inny i znów mi tym zaimponował. Mówił mi jak mnie postrzega, mówił o tym jak bardzo mu się podobam. Patrzył na mnie tak, jak patrzy się na najdroższy klejnot. Byłam wzruszona, zarzuciłam mu ręce na szyję i mocno go przytuliłam. On pocałował mnie krótko i bardzo delikatnie w usta. Zachowywał się tak, jakby bał się mnie spłoszyć, jakbym była delikatna tak jak poranna mgła, która może w każdej chwili się rozpląnąć. Widziałam w jego oczach coś, czego nigdy u nikogo nie widziałam. Trudno to wyrazić, była w nich: troska, rozważa, opiekuńcza czułość i podziw.

Nigdy nie zapomnę tego spotkania, czułam się w jego ramionach w pełni człowiekiem. Człowiekiem zasługującym na uwagę, szacunek i miłość. Był to przełomowy moment w naszej znajomości. Łukasz dał mi na pożegnanie maskotkę, małego, porcelanowego słonia. Wiedziałam, że będę zawsze nosić go ze sobą. Łukasz odwiózł mnie do domu i pocałował tak samo delikatnie na pożegnanie. Wyszedł zataczając się ze szczęścia z samochodu. Byłam odmieniona, coś ważnego zaszło we mnie. Tylko nie wiedziałam, jak to jeszcze nazwać. Głos intuicji mówił, że to miłość, rozsądek zaprzeczał temu. Przecież to niemożliwe, aby był taki doskonały jak go teraz widzę. Na pewno w krótkim czasie boleśnie zawiodę się na nim. Czułam

rozchodzące ciepło po całym ciele i jakimś wewnętrznym blaskiem świeciła moja dusza. Byłam bogatsza, pełniejsza, szczęśliwsza. Co za szczęście, że go spotkałam. Co za szczęście, że teraz spotykam ludzi, którzy są godni określenia, że są ludźmi. Bóg dał mi profesora, jako wzorzec do którego dążę i Łukasza, który jest taki ludzki i męski zarazem. Przecież jeszcze nie tak dawno nie wierzyłabym, że są tacy ludzie na świecie. Byłam przekonana, że cały świat składa się z takich ludzi jak mój mąż i moja rodzina. Traciłam wiarę w człowieka i bolesna samotność towarzyszyła mi zawsze. Ci dwaj ludzie przywrócili mi wiarę w człowieka. Teraz pragnęłam żyć, rozwijać się, a potem pomagać innym iść tą samą drogą. Zaczęłam myślami wracać do wczesnego dzieciństwa, kiedy jeszcze żyła mama. Tak, wtedy był normalny świat, w którym był sens i miłość. Przypomniałam sobie chwile szczęścia, o którym już zupełnie zapomniałam. Tak, teraz na pewno nauczę się wierzyć w Boga, nauczę się żyć godnie i treściwie. Dziękowałam Bogu za wysłuchanie moich modlitw. Tyle skarbów otrzymałam; wszystko to, o co prosiłam. Chwilami nie mogłam w to uwierzyć, tyle na raz darów spadło mi z Nieba. Jak to dobrze, że zdobyłam się na odwagę zerwania z przeszłością. To, czego dokonałam w ostatnim czasie uważam za bohaterstwo. Byłam przecież tak niepewna siebie, tak bardzo wdeptana w ziemię, że to cud, że się podniosłam. Byłam bardzo uzależniona pod każdym względem od mojego męża, traciłam także wiarę w człowieka, a jednak z wiarą i otwartością ruszyłam naprzód. Wykazałam wielką odwagę zostawiając stary świat i podążając w nieznaną, niepewną przyszłość.

Opowiadałam profesorowi o Łukaszu, o moich refleksjach. Profesor był bardzo zadowolony z mojego rozwoju. Mówił, że mój rozwój przeszedł wszelkie jego oczekiwania. Był ze mnie dumny. Po prostu wierzyć mi się nie chciało, że taki wielki człowiek jest ze mnie dumny. Teraz, gdy była deszczowa pogoda, spędzaliśmy czas z Łukaszem w jego domu. Kiedy świeciło słońce wyjeżdżaliśmy za miasto. Spotykaliśmy się często, mniej więcej dwa razy w tygodniu. Tylko wieczorem miałam ograniczony czas do 21⁰⁰ godziny. Zawsze wracałam przed czasem, uważałam, że muszę nienagannie stosować się do regulaminu. W ten sposób wyrażałam swoją wdzięczność za otrzymaną pomoc. Dni stawały się coraz jaśniejsze i dłuższe.

Powoli mijała zima. Słońce zmieniało swoje położenie i jego promienie zapowiadały powrót życia na ziemi. We mnie również budziło się życie, czasem aż tętniło w moich żyłach. Przy Łukaszu byłam szczęśliwa. Jego bliskość zamieniała świat w błogość Raju. Lubiłam wtulać się w jego ramiona i tak trwać godzinami. Kiedy mnie dotykał, traciłam panowanie nad sobą i zapominałam o wszystkim. Łukasz był bardzo męski. Męską siłą i stanow-

czegoś łączył z delikatnością i subtelnością uczuć. To jest bardzo rzadkie zjawisko. Był uważny i delikatny. Jego pieśczęty były bardzo delikatne, a zarazem był stanowczy w działaniu. Od tamtego spotkania widziałam w jego oczach miłość. Miłość, której nie wyrażał słowami, ale każdym gestem, spojrzeniem, uwagą z jaką mnie słuchał i czułością, którą mnie darzył. Myślę, że ja patrzyłam podobnie na niego. Rodziła się w nas miłość, a my nie niszczyliśmy słowami jej rozkwitu. Myślę, że o rodzących uczuciach nie jest dobrze mówić. Uczucia, jak kwiaty, muszą się rozwinąć dopiero wówczas widoczne jest ich piękno. Rodząca się miłość jest tak delikatna i eteryczna, że czasem wydawać się może iluzją. Ubrana w słowa może pęknąć jak bańka mydlana i przestać istnieć. Wtedy jest tak łatwo wszystko zniszczyć i spopielić. My traktowaliśmy ją jak cenny delikatny kwiat, który trzeba chronić przed zimnem i wiatrami. Ona odwzajemniała nam się coraz piękniejszym rozkwitem.

Pewnego dnia zadzwoniłam do Łukasza i jego mama powiedziała, że jest w szpitalu. „Co się stało?” – spytałam ledwie dosłyszalnym głosem. – „Jest chory i jeszcze nie wiadomo co mu jest” – padła odpowiedź. „Jak się czuje?” – spytałam. Dlaczego od razu znalazł się w szpitalu? Jego mama odpowiadała niejasno, tak jakby nie chciała czegoś powiedzieć. Chciałam zaraz jechać do niego, lecz ona mi odradzała. Nie chciała mi powiedzieć, w którym jest szpitalu. Powiedziałam stanowczym głosem, że i tak się dowiem i pojadę tam. W końcu powiedziała mi. Zaraz tego samego dnia pojechałam do szpitala. Serce biło mi jak młot. Myślałam, że nie zdobędę się na odwagę wejścia do sali chorych. Koszmarne wizje miałam przed oczami, bałam się panicznie. Miałam przeczucie, że to coś poważnego.

Błada, prawie nie oddychając, weszłam do sali. Łukasz był sam na sali i leżał z podłączoną kroplówką. Ucieszył się na mój widok. Nie spodziewał się mnie. Powoli podchodziłam do niego. Był blady i miał dziwnie niewidzące oczy. Usiadłam i spytałam jak się czuje. „Trochę lepiej” – odpowiedział. Spytałam czy mnie dobrze widzi? Powiedział, że ma trudności w dokładnym widzeniu, gdyż oczy mu latają. Ogarnął mnie strach. Dalej opowiadał mi, że również nie bardzo może chodzić, gdyż zatacza się i nogi są jakieś słabe. Byłam przerażona, coś takiego mogło zapowiadać poważną chorobę. Staralam się nie pokazywać po sobie przerażenia. Łukasz był bardzo uradowany moim widokiem, dotykał mnie upewniając się, czy naprawdę jestem przy nim. Był zmieniony chorobą, ale czułam tę samą bliskość, co dawniej. Trzymaliśmy się za ręce rozmawiając. Powiedział, że dla mnie uczyniłby wszystko. Nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie zrobiłby dla mnie.

Byłam zszokowana. Zaskoczyła mnie jego choroba i to co mówił. To było wyznanie miłości. Łukasz wyrażał ją całym sobą.

Myślałam, że się rozplaczę ze wzruszenia. Musiałam wyjść po dwóch godzinach. Poszłam zapytać się lekarza o jego stan zdrowia. Lekarz nie bardzo chciał mi powiedzieć, gdyż nie należałam do rodziny. W końcu zrozumiałam, że istnieje podejrzenie o pierwszy rzut choroby zwanej Stwardnienie Rozsiane. Dobrze wiedziałam, co to jest za choroba. Zrobiło mi się niedobrze. Po prostu świat rozstąpił się pod moimi nogami. Szybko wyszłam ze szpitala, ból rozsadzał mi piersi. Poszłam do kościoła i płakałam. Pytałam Boga dlaczego? Dlaczego musiałam utracić kochaną mamę, a teraz zabiera mi Bóg najdroższego człowieka? Dlaczego akurat jego? Byłam ogłuszona bólem. Cały następny dzień byłam chora z niepokoju. Nie mogłam się doczekać kiedy znów go zobaczę. Może poczuje się lepiej, a może to wcale nie jest ta choroba – łudziłam się. Czułam, że muszę natychmiast mieć o nim jakąś wiadomość, bo oszaleję. Teraz wchodząc do szpitala już tak się nie bałam, byłam raczej nastawiona na udawanie i dodawanie mu otuchy. Trudno było mi ukrywać smutek i strach. Jego stan był podobny i niewiele się zmieniał. Trwało to kilka dni. Smutek obezwładniał mnie, obawiałam się najgorszego. Jego choroba upewniła mnie, że go kocham, że jest dla mnie najdroższy na świecie, że nie chcę żyć bez niego. Wszystko gasło we mnie, gdy myślałam, że odejdzie. Ból powoli znieczulał wszystko we mnie. Czułam się na wpół martwa.

Pewnego dnia, gdy przyszłam, zobaczyłam nagłą i niespodziewaną poprawę. Łukasz dobrze mnie widział, zaczął chodzić. Jego twarz nabierała życia. Rozplakałam się z radości. Jeszcze tylko tydzień i miał wyjść ze szpitala. Lekarze powiedzieli Łukaszowi, że to jest najprawdopodobniej Stwardnienie Rozsiane. Powiedzieli mu również, jaki przebieg może mieć ta choroba. To straszna choroba, człowiek w pełni świadomości może przestać chodzić i być sparaliżowany od pasa w dół, lub może przestać zupełnie widzieć, lub słyszeć. U każdego chorego to inaczej przebiega. Choroba ta powraca tzw. rzutami, co pewien czas. Nigdy nie można przewidzieć, jaki będzie następny rzut i do jakich uszkodzeń może dojść. Nie umiera się szybko na tę chorobę. Można żyć długo z niewielkim kalectwem, lub można stać się kaleką. Wszystko to dzieje się przy pełnej świadomości. Myślę, że ludzie bardziej boją się kalectwa, zależności od innych, upokorzenia niż śmierci. Dlatego choroby niosące ze sobą kalectwo są takie trudne i przerażające dla nas.

Łukasz nie rozpaczał, nie załamał się. Tylko jakoś spoważniał i posmutniał. Z właściwą sobie mądrością i witalnością robił wszystko, aby jak naj-

szybciej powrócić do zdrowia. Wracał do zdrowia w zadziwiającym tempie. Znów zaczął pracować jak dawniej, gdy wyszedł ze szpitala. Łukasz zawsze dużo pracował, pisał z zapamiętaniem jak prawdziwy twórca. Czasem trudno było mu oderwać się od pracy, Mówił, że praca twórcza odmienia człowieka i nadaje głęboki sens jego życiu.

Znów byliśmy szczęśliwi ze sobą, tylko jakiś cień kładł się na naszym życiu, jak dalekie echo z przeszłości. Nie chcieliśmy o tym pamiętać. Zrodziła się w nas miłość, byliśmy całym światem dla siebie. Teraz już czułam, że zaczynam kochać go obłędnie. Poszłabym za nim na koniec świata. Wszędzie przy nim czułabym się szczęśliwa. Jego obecność odmieniała mnie, czyniła innym człowiekiem. Zaczęłam zastanawiać się nad cudem Miłości. Czym jest Miłość w życiu człowieka? Miłość jako zjawisko pozostanie dla nas nieodgadnioną do końca Tajemnicą. Ale zastanawiałam się nad tym, jak Miłość może przemieniać człowieka i odmieniać jego życie? Pierwszym warunkiem jej odczuwania jest dojrzałość emocjonalna i otwartość naszego serca na jej rozkwit. Czasem przychodzi jako nagroda za nasz trud stania się człowiekiem, a czasem przychodzi i wspomaga nas w rozwoju. Jest największym i najcenniejszym darem, jaki może otrzymać człowiek na ziemi. Dzięki niej jesteśmy w stanie poczuć wiele tajemnic ukrytych w nas i poza nami. Gdy przychodzi do nas, budzi śpiące w nas piękno. Rozkwitamy jak piękne kwiaty pod jej wpływem. Mówi się, że szlachetniejemy pod jej wpływem. Miłość budzi do życia tkwiące w nas potencjały i ukrytą energię. Nikt nie promieniuje bardziej energią, niż człowiek zakochany. Pragniemy rozwijać się i stawać się piękni dla tego, kogo kochamy. Gdyż Miłość jest swą istotą szkołą altruizmu.

Zanim spotkałam Łukasza również pragnęłam się rozwijać, ale gdy go poznałam wszystko nabrało głębokiego znaczenia. Teraz poprzez niego spostrzegałam świat i siebie. Kiedy był przy mnie, innych barw nabierał świat. Często zmuszałam się do zapamiętania tego nastroju i uchwycenia zmiany, która zachodzi w moim widzeniu świata, gdy dłużej go nie widzę. Jak to się dzieje, że patrzę na takie same drzewa i niebo, a wszystko jest inne, gdy on jest? Ja również staję się inna, pełna bogactw, których nawet nie mogę zrozumieć. Czuję całą sobą, że gram jakąś symfonię, która mnie zachwyca, ale której nie potrafiłabym odtworzyć. Miłość bierze nas w posiadanie i porwuje do lotu. Wszystko w nas tętni, śpiewa, płonie. Dlatego Miłość jest przeciwieństwem śmierci i nicości. Jest niespożytą, wiecznie tętniącą energią.

Będąc z Łukaszem czułam, że tworzymy jedność. Jedność, która daje poczucie głębokiego i wiecznego sensu. W pełni sobą staję się dopiero gdy jestem razem z nim. Łukasz nie tylko zapala gwiazdy na niebie, ale również

roznieca ogień mojej duszy. Zastanawiałam się nad tym, czy Bóg umyślnie stworzył tak człowieka, aby dopiero w połączeniu z drugim poznawał siebie w pełni? Przecież całym naszym psychofizycznym „ja” tęsknimy do nieustannego przyjmowania i dawania, które jest cechą Miłości. Trudno jest rozwinąć w sobie zdolność do kochania i trudno jest spotkać człowieka, który tę zdolność rozwinął, a jednak tylko dzięki Miłości możemy narodzić się w pełni. Większość ludzi nawet nie wie, czym jest Miłość, lub nazywa Miłością to, co jest jej zaprzeczeniem, jak żądza, kontrola, posiadanie.

Czułam się szczęśliwa i wyróżniona tym, co otrzymałam od Boga. Teraz już mówiliśmy sobie wszystko. Również mówiliśmy o Miłości. Przedtem obawiałam się słów, teraz okazało się, że nie ma słów na wyrażenie Miłości. Swoją Miłość raczej wyrażałam nie słowami, ale bezgranicznym zaufaniem, którym go darzyłam, szczerością z jaką opowiadałam mu o swoich myślach i pragnieniach. Nawet dopiero rodzące się myśli wypowiadałam przy nim, sama ich jeszcze nie rozumiejąc. Łukasz okazywał się godnym zaufania człowiekiem. Całymi godzinami rozmawialiśmy ze sobą i zawsze było za mało czasu na to, aby wszystko powiedzieć. Zawsze pozostawał jakiś niedosyt i pragnienie czegoś więcej. Nigdy nie mogłam się nasycić jego bliskością fizyczną. Nawet, gdy byłam zmęczona i senna po przeżytej z nim rozkoszy, chciałam czuć jego rękę na twarzy lub w swojej dłoni. Jego bliskość jakimś szczęściem dopełniała moje istnienie. Gdy on był przy mnie, wydawało mi się, że potrafię znieść wszystko i wszystkiemu stawic czoła. Nawet gdyby wziął mnie za rękę i powiedział: „Chodźmy do krainy ciemności” – to bez wahania poszłabym wszędzie. To nie było zaślepieniem i bezmyślnością, ale ogromnym pragnieniem bycia z nim nawet za cenę śmierci. Dlatego ci, którzy wiedzą czym jest Miłość mówią, że jest silniejsza od śmierci.

Bardzo lubiłam przebywać z Łukaszem w miejscach publicznych. Wiedziałam jaką przyjemność mu sprawiało to, że podobam się innym mężczyznom. Nigdy nie okazywał zazdrości i nie ograniczał mojej wolności. Po prostu powiedział, co dla niego jest zdradą i co może nas rozłączyć. Powiedział mi, że odkąd mnie poznał, inne kobiety straciły dla niego powab. Jakoś inaczej je postrzega niż dawniej. Mnie bardzo to odpowiadało; potrzebowałam tej wyłączności, aby rozwijała się u mnie miłość. Gdyby zdradził mnie z inną kobietą, bardzo bym cierpiała, ale jemu wybaczyłabym wszystko. Moja miłość do niego była silniejsza, niż ból związany ze zdradą. On jest ponad wszelkimi granicami dobra czy zła, on jest częścią mnie. Jeśli boli nas żołądek lub głowa, to choć dostarcza nam cierpień nadal jest częścią nas. Tak właśnie jest z Łukaszem. On jest częścią mnie, a ja jego. Już nigdy nic tego nie może zmienić. Wszystkim kolegom Łukasza podobałam się, nie-

k którzy nawet skrycie kochali się we mnie. Widziałam jaką radość sprawia to Łukaszowi. Czasem umyślnie uwodziłam jakiegoś mężczyznę, aby jemu sprawić przyjemność. Łukasz ufał mi i nie był o takie rzeczy zazdrosny. On był zbyt mądry, aby tego nie wiedzieć, że ograniczając moją wolność, straciłby moją miłość. Oprócz kilku małych sprzeczek, nasza więź pogłębiała się między nami. Im dłużej go znałam tym bardziej potrafiłam go uszczęśliwiać, a on mnie. Wiedziałam, co sprawia mu największą przyjemność. Zaczęłam uzmysławiać sobie, że zrobiłabym wszystko dla niego, aby go uszczęśliwić. Nawet to co byłoby złem. Trochę przerażały mnie takie myśli, że nie cofnęłabym się przed niczym dla ratowania jego. Staralam się o tym nie myśleć mając nadzieję, że Bóg nigdy nie postawi mnie w tak trudnej sytuacji. Mój rozwój, moja praca, moje refleksje i pragnienia były związane z nim.

Nadeszła wiosna, zbliżał się miesiąc maj. Jaki piękny wydawał się świat. Nigdy początki wiosny nie wydawały mi się tak piękne, jak tego roku. Obserwowałam pączki, które były blisko rozkwitu. Każdego dnia powiększały się i budziły wzruszenie swoją urodą i niewinnością. Rano, gdy szłam do pracy, obserwowałam drzewa, krzewy i niebo. Niebo ma inną barwę o każdej porze roku. Wracając po południu wszystko wyglądało już inaczej. Z każdą godziną przybywało piękna światu. W skupieniu i zadumie przyglądałam się wszystkiemu. Pragnęłam nasycić się tym nowym widzeniem świata. Wszystko było inne, takie przyjazne, bezpieczne i piękne. Delikatność, kruchość i odradzające piękno roślin, było takie bliskie ludzkiej duszy. Wszystko tworzy jedność w świecie. Człowiek, rośliny, zwierzęta wszystko to było harmonią świata. Dopiero człowiek współczesny zaburzył tę harmonię. Poszukując nowych dróg i szczęścia dla siebie, człowiek utracił szczęście. Człowiek gubi się w labiryncie swoich sprzeczności. Lecz to, co człowiek odczytuje jako sprzeczność jest nią tylko pozornie, natomiast w głębi jest harmonią.

Człowiek jest pełen bogactw i wszystko, co w nim tkwi może wykorzystać (jeśli potrafi) dla scalania i rozwoju. Teraz świat wydawał mi się pełen bogactw i uroku, gdyż odkryłam swój własny wewnętrzny świat, który pozwolił mi widzieć rzeczywistość bez lęków i skrzywień. Dawniej, gdy byłam pełna lęków i różnorodnych obciążeń, nie byłam w stanie nic widzieć, oprócz własnych niedociągnięć. Nerwicowiec to człowiek, który nic nie widzi. Jest obłędnie skoncentrowany na własnych lękach. Dawniej, gdy widziałam piękno kwitnących drzew, lub pełną rozkwitu urodę lata, odczuwałam jakieś nienasycenie, ból i lęk utraty tego. Nie potrafiłam zatrzymać się na tej chwili, która właśnie przemija, tylko ciężar przeszłości wlokąc ze sobą, byłam

pełna lęków o przyszłość, o to co nadejdzie. Teraźniejszości nie było, również spokoju i wytchnienia nie było. Lęk układał myśli w beznadziejne paranoje. Teraz potrafiłam się zatrzymać i obserwować to, co działo się we mnie i to co ciągle zmieniało się na zewnątrz.

Łukasz bardzo lubił słuchać moich refleksji. Mówił, że jestem mądra, wartościowa, głęboka i niezwykła. Ciągłe powtarzał, że moja uroda zewnętrzna w połączeniu z moim pięknym duchem tworzy zjawisko rzadko spotykane w świecie. Łukasz znał wiele kobiet w swoim życiu, ale nigdy nie spotkał takiej jak ja. Nie chciało mi się wierzyć w tę wyjątkowość, ale dla niego chciałam być piękna, mądra i wyjątkowa. Jaka byłam dla innych, to było mi obojętne. Gdy pokonałam swoje lęki, przestałam być kukiełką dla ludzi. Teraz najważniejsze było dla mnie, co myśli o mnie Łukasz i jak siebie widzę. Nauczyłam się również tego, że inni ludzie postrzegają świat i ludzi poprzez siebie. Nie ma żadnego znaczenia, co ja uczynię gdyż i tak będą widzieć to, co są w stanie zobaczyć. A co nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To wielka ulga, przestać przejmować się tym, co mówią inni, być pewnym własnej Prawdy. Stałam się również mniej podatna na zranienia. Gdyż wolność ducha zmienia nasze nastawienie do innych ludzi. Już nie potrzebujemy innych jako narkotyku w postaci pocieszania, schlebiania, bicia braw. Już inaczej spostrzegamy to, co ludzie oceniają jako sukces, w porównaniu z tym co ma istotną wartość. Życie przestaje być areną, na której oczekujemy na oklaski, aby poprawić swoje samopoczucie. Jak również skutek obmowy, czy czyjejs krytyki, już tak nie cierpimy. Mamy inny sposób widzenia rzeczy i ludzi. Na tym polega uwalnianie od wpływów tego świata i stawanie się wolnym. Gdyż kochać ludzi, to ich nie potrzebować.

Moje pierwsze samodzielne mieszkanie

Wreszcie pojawiły się szanse na wyprowadzenie się z Domu Opieki Społecznej i zamieszkanie w swoim mieszkaniu. Otrzymałam informację od szwagra, że ten, który wynajmował jego mieszkanie wyprowadził się. Trzeba było odnowić mieszkanie i wprowadzić się. Nie miałam żadnych mebli i nadal mało zarabiałam. Właściwie, to nic oprócz ubrań, jednego kompletu pościeli i dwóch ręczników nie miałam. Jeden kubek, łyżeczkę i talerzyk, które dała mi Matka Chrzestna. Nie przejmowałam się tym. Wszystko kupi się powoli.

Poprosiłam o pomoc Bogdana, kolegę z Petry. On już nieraz malował mieszkanie, ja nie wiedziałam od czego zacząć. Najpierw poprosiłam go, aby pojechał do mojego dawnego domu rodzinnego. Sama nie czułam się na siłach tam pójść. Musiałam ustalić jeszcze pewne rzeczy ze szwagrem i pożyczyć od niego narzędzia potrzebne do odnowienia mieszkania. Nie byłoby mnie stać na kupienie wszystkiego. Kupiłam to, co było niezbędne jak: farby, środki czystościowe, pędzle. Kiedy już mieliśmy zgromadzone wszystkie rzeczy, zabraliśmy się do malowania razem z Bogdanem. Ja malowałam okno i drzwi, Bogdan sufit i ściany. Było kilka wolnych dni od pracy na początku maja i właśnie te dni wykorzystaliśmy na malowanie. Oczywiście Bogdan pomagał mi bezinteresownie. Byłam mu bardzo wdzięczna. Bogdan pożyczył mi kilka talerzy i szklanek, gdy zobaczył, że ja nic nie mam. Na początku nie miałam żadnych mebli oprócz pożyczonego, bardzo niskiego łóżka i starej szafy. Kupiłam używaną lodówkę, kołdrę, poduszkę i wprowadziłam się do nowego mieszkania.

Nigdy nie mieszkalam sama, trochę obawiałam się samotności. Mieszkanie to znajdowało się na paterze. Musiałam załatwić zgodę na założenie krat w oknie, gdyż to jest niski parter i można byłoby wejść przez okno do mieszkania. Na samym początku obawiałam się niechcianych wizyt. Spałam źle i czujnie w nocy. Załatwienie zgody na kraty i wszystkich potrzebnych do tego zaświadczeń zajęło mi dwa miesiące.

W końcu pewnego upalnego lipcowego dnia założono mi kraty. Od razu poczułam się pewniej i bezpieczniej. Uregulowałam wszystkie rachunki i powoli kupowałam rzeczy do mieszkania. Z czasem zrobiło się przytulnie. Musiałam dorobić trochę popołudniami, gdyż z pensji nie mogłabym kupić mebli. Najważniejsze było to, że byłam wolna i stanowiłam sama o sobie. Przyjemnie było urządzać dla siebie i tak jak chciałam to mieszkanko. Oczywiście poszłam osobiście podziękować siostrze zakonnej Lidii za umożli-

wienie mi nowego życia. Bez jej pomocy nie dałabym rady. Moja walka o przetrwanie zakończyła się zwycięstwem. Wprawdzie nadal to mieszkanie nie figurowało na moje nazwisko, ale miałam już gdzie mieszkać. Mojej siostrze i szwagrowi bardziej zależało na domku z ogródkiem, gdzie szwagier miał swoją pracownię, niż na tak maleńkim mieszkanku, dlatego to w pewnym sensie dawało mi gwarancję nietykalności. Mój mąż na szczęście mnie nie nachodził, pomimo, że znał adres tego mieszkania. Stopniowo i konsekwentnie zrywałam z przeszłością, która coraz mniej ciążyła na moim życiu. Jeszcze wiele miałam do zrobienia w dziedzinie duchowej, ale również bardzo dużo już zrobiłam. Czasem nawet byłam dumna z siebie.

W pracy również rozwijałam się. Zdobywałam wiedzę pod kierownictwem profesora. Ogólnie mówiąc szef był ze mnie zadowolony. Chociaż jeśli chodzi o prowadzenie sekretariatu, to wykazuję wiele braków. Praca nad sobą i cierpienia, które przeszłam uwrażliwiły mnie na drugiego człowieka, nauczyły mnie rozumienia innych. Łatwo nawiązuję kontakt z drugim człowiekiem i wzbudzam zaufanie. Właśnie w tej dziedzinie mój szef cenił sobie najbardziej moje postępy. Uczyłam się jak pomagać ludziom, jak przekazać im to, czego sama się nauczyłam, jak wzbudzić w nich pragnienie doskonalenia i pracy nad sobą. Dużo czytałam po pracy i opowiadałam szefowi swoje spostrzeżenia i wątpliwości.

Trud rozwoju poprzez miłość i cierpienie

Nadal uczę się i pracuję nad osiągnięciem duchowej wolności. Duchowa wolność jest czymś bardzo ważnym dla mnie. Zdaję sobie sprawę, że dopóki nie uwolnię z różnych obciążeń swojego ducha nie stanę się w pełni otwarta na ludzi i Boga. Dlatego to jest takie ważne. To czego nie poznam w sobie i nie zaakceptuję będzie zawsze rzutować na moje relacje z ludźmi i z Bogiem. Niedojrzałość człowieka polega między innymi na nieznajomości, czy też wprost lekceważeniu swojego świata uczuć. Pierwszym wymogiem dojrzałości człowieka jest świadomość uczuć, które towarzyszą wszystkim naszym doświadczeniom. Ja uważam, że praca nad sobą jest pewnym zobowiązaniem wobec własnego człowieczeństwa i wobec bliźnich. Odpowiedzialność za swoje życie rozumiem nie tylko poprzez nie krzywdzenie innych, ale również jako moralny obowiązek doskonalenia i wzrastania w swoim człowieczeństwie. Jeśli Bóg dał nam zdolności i wiele tkwiących w nas potencjałów to nie po to, aby były marnowane. Nie jest to oczywiście przymusem, ale tak się składa, że właśnie w takim twórczym rozwoju tkwi sens i szczęście człowieka. Bardzo dużo pisze o tym Erich Fromm. „Wolność i szczęście polegają na rozumieniu przez człowieka siebie samego, na jego wysiłku, by stać się tym, kim jest potencjalnie”. „Szczęście stanowi kryterium doskonałości w sztuce życia”. Z własnego doświadczenia wiem, że to czego w sobie nie akceptujemy, co wręcz nas przeraża przy pierwszym na to spojrzeniu, właśnie najdotkliwiej nas rani i zamyka w kręgu własnego egoizmu. Gdyż egoizm – to nie miłość do siebie samego, ale nienawiść wobec siebie. Wszystko to, co jest mroczne i nieakceptowane w nas, odgradza nas od świata, od ludzi, od Boga. To poczucie niemocy, osamotnienia i izolacji jest największym cierpieniem człowieka. Przez wiele lat żyłam w takim cierpieniu. To jest tak, jakby kwiat przykryć grubym, ciemnym, szklanym kloszem i kazać mu cieszyć się: promieniami słońca, letnim powiewem, poranną rosą, zapachem ziemi.

Nigdy nie pozna i nie odczuje piękna świata, będąc zamknięty w tym kloszu. Tak samo człowiek nigdy nie ujrzy urody świata, gdy jego dusza jest więziona przez niego samego. Mówi się, że głównym złem świata jest głupota, czyli niewiedza. Ja określiłabym to, jako nieświadomość, gdyż martwej wiedzy jest pod dostatkiem. Lecz człowiek nieświadomy obróci zdobycze wiedzy i nauki przeciwko sobie, zamiast dla dobra ludzi. Głównym złem świata jest sam człowiek ze swoją nieświadomością siebie. Dlatego aktywną, twórczą pracę nad sobą traktuję jako pomnażanie dobra na Ziemi.

Łukasz rozumiał mnie. Mogłam godzinami rozmawiać z nim na takim głębokim poziomie. Od niego również mogłam wiele się nauczyć. Kocham i podziwiam Łukasza za jego mądrość, ludzkość i męskość. Dla mnie przekroczył on nawet moje marzenia, po prostu stał się bardziej idealny od wymarzonego ideału.

Wokół nas była piękna wiosna, odurzająca przepychem kwiatów, zapachów i soczystą zielenią. Teraz często wybieraliśmy się na wycieczki za miasto. Stawialiśmy samochód w lesie i godzinami rozmawialiśmy przytuleni do siebie wdychając zapach wiosennego lasu. Dawaliśmy sobie wiele szczęścia. To prawie Boskie uczucie, mieć możliwość uszczęśliwiania kogoś, kogo kochamy. Przytulona do Łukasza patrzyłam na wierzchołki drzew na niebie. Czułam jego dłonie na sobie i czułam, że jestem sercem Wszechświata. Nic nie jest ważniejsze i sensowniejsze od tego miejsca na ziemi, w którym my razem tworzymy część Wszechświata – myślałam. Łukasz był słońcem i centrum mojego świata. Jego obecność tworzyła inny świat niż ten, który był wokół mnie, gdy jego nie było. Nie mogłam pojąć tego fenomenu miłości. Oczywiście, wszystkie te refleksje nachodziły mnie, gdy zostawałam sama. Będąc z nim, byłam tak błogo szczęśliwa, że mogłam tylko sycić się tym powabem i pięknem, które nadaje światu miłość. Wtedy miałam wrażenie, że tak będzie zawsze, że nie ma sensu nad tym się zastanawiać. Po prostu Ziemia zamieniała się w Raj. A odurzająca radość odbierała zdolność myślenia, pozostawało tylko czucie szczęśliwe i zdawać by się mogło, że wieczne.

Pewnej niedzieli wybraliśmy się na cały dzień do kolegi Łukasza, który mieszkał w domku oddalonym od Warszawy. Był piękny, słoneczny dzień. Wokół domku był duży ogród, w którym rosły piękne świerki i ozdobne krzewy. Wiele krzewów teraz było obsypanych kwiatami. Soczysta zielona trawa tworzyła naturalny dywan. Niedaleko od jego domu rósł las. Po prostu rajski zakątek. Wnętrze domu było gustownie urządzone. Po zjedzeniu obiadu i wypiciu szampana udaliśmy się we troje na długi spacer po lesie. Jego kolega cały czas ciekawie mi się przyglądał. Byłam ładnie ubrana i myślę, że wyglądałam pociągająco. Widziałam, jaką to sprawiało przyjemność Łukaszowi. Nawet trochę tego kolegę uwodziłam. Siadałam z wysoko podciągniętą spódnicą, czasem niby niechcący dotykałam go. On był coraz bardziej mną zauroczony, a ja była rozbawiona i śmiałam się. Po kolacji wybieraliśmy się w drogę powrotną. Jego kolega koniecznie chciał umówić się ze mną i poprosił mnie o to, gdy przez chwilę byłam sama. Odpowiedziałam, że owszem, ale spotkamy się razem we troje.

Gdy wracaliśmy, opowiadałam o tym Łukaszowi. Cieszyliśmy się wspólnie spędzonym pięknym dniem. Łukasz powiedział mi, że jest dumny, że

kocha go taka piękna, mądra i szlachetna kobieta. Powiedział mi, że przekroczyłam jego marzenia. Jaka byłam szczęśliwa słysząc to! Powoli zaczęliśmy snuć plany na przyszłość. Oczywiście najważniejsze było, że będziemy razem. Czasem, gdy dłużej nie widzieliśmy się, pisałam do niego długie listy, pełne przemyśleń i refleksji. Łukasz twierdził, że mam zdolności pisarskie, że bardzo dużo dobrego mogę w ten sposób przekazać ludziom. Nie mogłam w to uwierzyć. Łukasz złościł się z tego powodu na mnie.

Nigdy nie widziałam nic szczególnego w tym co pisałam. Łukaszowi zawsze ufałam, wierzyłam. On był dla mnie autorytetem. Lecz w to, że mam zdolności literackie jakoś długo nie mogłam uwierzyć. Po jakimś czasie, gdy długo mnie przekonywał, obiecałam, że gdy będę do tego „psychicznie” gotowa, to kiedyś zacznę pisać. Ja zawsze byłam bardzo siebie niepewna i przekonana, że nie posiadam żadnych uzdolnień. Teraz zdobywałam pewność siebie poprzez ciężką pracę, ale uwierzyć w swoją niezwykłość - jak mówił Łukasz - było trudno. Nawet jeśli słyszałam to od niego. Łukasz wiele rzeczy odkrył we mnie wcześniej, niż ja je okryłam. Wiedziałam, że on miał zawsze rację, że na jego zdaniu mogę polegać. On w ogóle był człowiekiem, na którym można było polegać.

Łukasz jest mądry, stateczny, odpowiedzialny i wrażliwy. Posiada dar empatii. Do ludzi wrażliwych odnosi się z właściwą sobie delikatnością, ale do ludzi gruboskórnych odnosi się ostro. Właśnie tego uczyłam się od niego, nie można być dla wszystkich tak samo delikatnym. Trzeba dać odczuć ludziom konsekwencje ich postępowania. Jeśli postępują źle, muszą otrzymać tzw. lekcję. Łukasz potrafił wyczuć bezbłędnie z kim ma do czynienia. Mnie nigdy nie ranił. Cały czas traktował mnie jak klejnot, otaczając mądrą opieką. Czasem zastanawiałam się, czy to możliwe, aby tak wielki i mądry człowiek kochał mnie. W dodatku twierdził, że nigdy nikogo tak nie potrafił kochać. Nawet, gdy posiadamy zdolność kochania, to jeszcze musimy natrafić na właściwą osobę. Czyli ja byłam dla niego tą właściwą i wyjątkową w jego życiu osobą. To jest niewiarygodne - myślałam. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie mogłam wyobrazić sobie takiego szczęścia. Każdego dnia wieczorem dziękowałam Bogu, że dane było mi go spotkać. On całkowicie odmienił moje widzenie ludzi i świata. Pojęłam to, że w człowieku może przyjść do nas Bóg. Gdyż w ludziach, którzy są ludzcy jest wiele Boskości. Ta Boskość rozwija się pod wpływem wzrastania i miłości. Miłość z każdym dniem przybliża nas do Boga.

Pewnego czerwcowego dnia, ładnie ubrana i umalowana jechałam do Łukasza. Czułam się tak, jakbym miała skrzydła zamiast nóg. Każdy krok sprawiał mi przyjemność. Czułam lekkość, radość i podekscytowanie. Łu-

kaszk otworzył mi drzwi, lecz był smutny i poważny. Przytuliłam się do niego, jak zawsze. Intuicyjnie wyczułam jakieś niebezpieczeństwo, poczułam ukłucie w sercu. „Co się stało?” – zapytałam. Łukasz odpowiedział, że źle się czuje i jutro musi znów iść do szpitala, gdyż prawdopodobnie pojawił się drugi rzut choroby. Musi być co najmniej tydzień pod obserwacją w szpitalu. Opadłam bez sił na fotel. Próbowalam zebrać myśli. Widać było zmianę na jego twarzy. Czułam ból i rozczarowanie. Już się łudziłam, że ta choroba nigdy nie powróci. Tak bardzo modliłam się o to. Nie chciałam pokazywać mu, jak bardzo cierpię, ale tak trudno było udawać. Siedziałam naprzeciwko Łukasza i w milczeniu, z powagą słuchałam, co mówił. Łukasz powiedział, że dużo myślał na nasz temat, na temat choroby i naszej przyszłości. Powiedział, że nie ma prawa obciążać mnie sobą i nieuniknionym kalectwem, że to byłoby nieuczciwe z jego strony. Ze łzami w oczach zaprzeczałam temu, wiedziałam, że dla mnie on mógłby być nawet bez rąk i nóg. Tak bardzo go kochałam, że wystarczyłaby mi tylko jego obecność.

Byłam załamana! Zdawałam sobie sprawę ze stanowczości, jaką cechował się Łukasz. Jeśli coś głęboko przemyślał, nigdy nie zmieniał zdania. Chyba, żeby odczekać parę lat, może choroba wycofa się. W końcu nawet cud jest możliwy, ale cuda zdarzają się rzadko. Miałam zamęt w głowie. Ciężka i obolała wyszłam od niego. Nie, to jest za straszne, aby mogło być prawdziwe. Nie wierzę w to, a jeśli uwierzę, to oszaleję. Ja już nie potrafię żyć bez niego. Przecież to nieprawdopodobne, aby Bóg dał mi go po to, aby mi go odebrać. Jak to, poznałam szczęśliwość Raju przy nim, a teraz mam się pogodzić z jego utratą? Przecież to wykracza poza możliwości ludzkie. Ja nie zniosę tego bólu! Czy wszystkie nieszczęścia świata muszą przypaść mi w udziale? Byłam pewna, że Bóg dał mi go, jako zadośćuczynienie za wszystkie cierpienia, które przeszłam. On rzucił światło nie tylko na teraźniejszość i przyszłość, ale oświecał i rozjaśniał przeszłość. Po prostu, aby jego spotkać mogłabym przejść jeszcze raz przez to piekło, które było już poza mną. Nie ma takiej ceny na ziemi, której bym nie zapłaciła za bycie z nim. Jeśli to cierpienie miało mnie przybliżyć do niego – to stawało się dobrem i błogosławieństwem. Ale co teraz będzie? Czy to możliwe, aby w jednej chwili runął cały świat? Przecież zaplanowaliśmy swoją przyszłość razem. Bez Łukasza nie było przyszłości, była pustka.

Poszłam na mityng szukając wsparcia. Byłam zaślepiona bólem i goryczą. Na mityngu cały czas zastanawiałam się nad kruchością ludzką. Wystarczy, aby przyszła choroba lub śmierć i człowiek jest biedną, cierpiącą istotą, bezsilną wobec zagrażających mu potęg. Poprzez miłość staje się potęgą niejako wykracza poza siebie samego, a kiedy los zadaje mu cierpienie,

to staje się jak maleńka mrówka wobec Nieznanego. Człowiek jest wielkością i małością zarazem. Teraz czułam się okrutnie odarta ze swoich marzeń, a co gorsze, bezsilna wobec cierpienia i choroby. Nie mogłam znieść nawet myśli, że Łukasz cierpi. Już nie wiedziałam, co byłoby lepsze, czy choroba, która niesie cierpienie, czy śmierć, która uwalnia od cierpienia. Jego śmierć byłaby gorsza dla mnie, ale dla niego chyba lepsza. Bo jeśli choroba zacznie postępować, to będzie bardzo cierpiał, a ja chyba zwariuję patrząc na to.

Na drugi dzień odwiedziłam go w szpitalu. Miał zniesione czucie w połowie ciała, źle widział. Nie mógł nawet czytać. Łukasz nie był przyzwyczajony do bezczynności. Słuchał tylko muzyki. Mój widok ożywił go. Nie byłam w stanie pogodzić się z jego chorobą. Cały czas w napięciu wyczekiwałam na cud, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Uważałam, że skoro to jest tak upragnione przeze mnie, to mi się należy. Zresztą po co Bóg mi go dał, przecież to niemożliwe, żeby tylko po to, aby go zabrać. To jest wbrew logice i miłosierdziu. Tylko czy lepiej byłoby, gdybym wcale go nie spotkała? Nie, chyba nie? Gdyż on całkiem odmienił mnie i wzbogacił moją duszę. Nigdy nie byłabym tym, czym jestem, bez niego. No cóż – myślałam, nawet jeśli ceną jest cierpienie, to jednak dobrze, że go spotkałam.

Świadomość, że mogłabym być tak bardzo szczęśliwa z nim, a teraz już wiem, że nie będę – była nieznośna. Nie mogłam się z tym pogodzić, czułam bunt, czasami wprost wściekłość. Dlaczego tylu ludzi może być ze sobą, a my nie? My, którzy tak bardzo się kochamy i tyle szczęścia możemy sobie zaofiarować. A przecież wielu ludzi jest ze sobą tylko dlatego, że nie spotkali kogoś lepszego, lub dlatego, że łączy ich wspólnota majątkowa, gdyż pierwsze wzloty przeminęły. Niektórzy żyją ze sobą jak cień z cieniem, jak manekiny rozmawiające o niczym. My rozumiemy się na tak głębokim poziomie, lecz nie możemy być razem – co to za ironia losu! Dla nas, gdy jesteśmy ze sobą, Ziemia staje się Rajem. A może Ziemia boi się szczęśliwości Raju? Może musi być zachowana równowaga cierpienia i szczęścia? Gdybym mogła być z Łukaszem, byłabym bardzo szczęśliwa, nieprawdopodobnie szczęśliwa! Może byłoby to nie w porządku wobec tych, którzy cierpią, są samotni, opuszczeni w chorobie. Przecież tyle bólu jest na tym świecie! A może to, co dane było mi poznać, jest zapowiedzią wiecznego szczęścia w przyszłym świecie? Wiele takich myśli i refleksji snuło się w mojej głowie. Musiałam jakoś przegryźć ten kamień, spróbować zrozumieć, co się właściwie stało.

Kiedy pierwszy ból minął, pragnęłam, aby Łukasz po prostu był. Byłam pewna, że jeśli nie mogę tego znieść, to coś takiego nie może zaistnieć. Dopiero obudziłam się do życia, a już śmierć kładzie cień na moje życie. Czy

życie w ogóle ma sens, jeśli jest w nim tyle chorób i śmierć? Czy po to uczyć się jak żyć, aby zaraz spotkać się ze śmiercią? Gdy Łukasz był chory, byłam chora i ja. Moje myśli kierowały się ku śmierci. Dopiero, gdy Łukasz zaczął czuć się lepiej, nadzieja przywracała mi chęć do życia. Po tygodniu Łukasz wyszedł ze szpitala. Mógł chodzić, tylko powłóczył jedną nogą. Jeszcze trochę źle widział i słyszał szum w uszach. Nigdy nie było wiadomo, czy objawy chorobowe wycofają się do końca, czy już tak pozostanie. W domu troskliwie opiekowała się nim mama. Była mi przyjazna, ale czasem patrzyła na mnie z obawą, czasem ze współczuciem. Myślę, że widziała w naszych oczach miłość, po prostu każdy ją w nas widział. Zupełnie inaczej patrzymy na kogoś kogo kochamy, niż na tego, kto jest nam obojętny.

Często przychodziłam do Łukasza, udawałam dobry nastrój i nie mówiłam o chorobie. Strasznie ciążyło mi to, że nie mogę być taka naturalna i spontaniczna jak dawniej. Za oknami była pełnia lata. Słysząc było śpiew ptaków. Długie letnie zmierzchy kończyły dzień. Musiałam wychodzić przed zachodem słońca, gdyż Łukasz nie chciał, abym chodziła po ciemku. Bardzo troszczył się o mnie, mówił, że jestem najcenniejszym skarbem dla niego. Zachodzące słońce swoją czerwienią rozjątrzało ból w moim sercu. Miałam wrażenie, że moje serce krwawi taką samą nieuleczalną czerwienią. Nigdy nie pogodzę się z tą sytuacją - myślałam. Wolałabym, abyśmy razem umarli. To chyba byłoby najlepsze wyjście. Powracałam do domu i płakałam. Tak dużo ostatnio płakałam, ale ból pozostał taki sam. Nic się nie zmieniało. Byłam nie pogodzona i zaślepiona bólem. Próbowałam sobie tłumaczyć, że wielu ludzi cierpi chorobę, ból, niedostatek, że nie jestem odosobniona w cierpieniu. Ale ja się już tak nastawiłam na szczęśliwe życie z Łukaszem, że nic do mnie nie docierało. W tym czasie rozmowy z profesorem były dla mnie dużą pociechą i wytchnieniem; sprawiały mi wyraźną ulgę, po której znów ból dławił moje gardło.

Jeśli nie mogę żyć razem z Łukaszem, założyć rodziny, to pragnę chociaż tylko go widywać. No cóż, nie będę miała już dzieci, nie założę rodziny, ale pragnę tylko jednego - mieć świadomość, że on jest. Jeśli oczywiście nie będzie bardzo cierpiał. Jeśli będzie cierpiał, to będę modlić się o śmierć i wybawienie dla niego. Lecz na razie, gdy choroba nie poczyniła wiele spustoszeń, chcę cieszyć się nim i dawać mu siebie. Coraz bardziej go kochałam i coraz bardziej byłam jego. Cierpienie rozwijało i pogłębiało we mnie miłość. Łukasz również kochał mnie bardziej z każdym dniem. Jak on potrafił mówić szczerze i pięknie o tym, co czuje. On ciągle coś nowego we mnie odkrywał i zachwycał się tym. Byliśmy dla siebie stworzeni.

Nie mogłam się nadziwić temu, jak my podobnie odbieramy świat i ludzi oraz w tym samym poszukujemy sensu. Nie ma na świecie człowieka, który byłby tak podobny do mnie, jak Łukasz. We wszystkich ważnych sprawach mieliśmy podobne zdanie. Po prostu rozumieliśmy się bez słów. Kiedy próbowałam z innymi ludźmi tak rozmawiać jak z Łukaszem, miałam wrażenie, że przybywam z innej planety niż ten, z którym rozmawiam. To czego Łukaszowi nie musiałam tłumaczyć, co on w lot rozumiał i podobnie odbierał jak ja, innym nie byłam w stanie wytłumaczyć, o co mi chodzi. Nic nie rozumieli z tego, co mówię. Tak jakbym mówiła w innym, nie znanym języku. Boże, gdy zabraknie Łukasza, to będę zupełnie samotna - myślałam. Czy to możliwe, żebyśmy tylko my dwoje tak siebie rozumieli? To o czym rozmawiają ze sobą ludzie? Czy nie snują refleksji, nie dociekają sensu zjawisk? Dlaczego to o czym rozmawiam z Łukaszem z taką naturalnością, jest dla większości niezrozumiałe i niepotrzebne? Teraz Łukasz jeszcze niezbyt dobrze widział, ale malował obrazy na płótnie. On musiał ciągle coś tworzyć, coś, co miałoby nieprzemijającą wartość. Dobrze rozumiałam go, takie twórcze działanie potwierdza i realizuje nasze człowieczeństwo.

Tak bardzo pragnęliśmy mieć dziecko. Jednak Łukasz uważał, że to nie jest możliwe. Przecież mógł w krótkim czasie zostać kaleką, a ja musiałabym cały trud wychowania ponosić sama. Nie chciał tak mnie obarczyć, uważał, że to byłoby nierozsądne i w końcu ja też mogłabym tego żałować. Ja jeszcze się łudziłam, że jeśli minie jakiś czas i choroba nie powróci, to może Łukasz zmieni zdanie. Tym razem objawy choroby nie wycofały się całkowicie. Od czasu do czasu Łukasz słyszał szum i miał zaburzenia równowagi. Gdy był zmęczony, powracał oczopląs, który utrudniał widzenie. Lekarze zalecili mu oszczędny tryb życia. Nie mógł już tak pracować jak dawniej, musiał więcej wypoczywać. Łukasz zawsze źle znosił lenistwo, potrafił zupełnie zatracać się w pracy twórczej. Teraz choroba przypominała mu dotkliwie o ludzkich ograniczeniach.

W moim świecie nadzieja znów zamazywała rzeczywistość, rozwijając coraz szerzej skrzydła do lotu. Widziałam to, co pragnęłam widzieć swoim sercem i łudziłam się, że choroba już nie powróci. Między pragnieniami, snuciem marzeń a śmiertelną trwogą przemijał dzień za dniem. Gdy Łukasz był przy mnie, byłam szczęśliwa i zapominałam o jego chorobie. Wszystko nabierało innego znaczenia. Nie ma znaczenia, czy jest śmierć i choroby, aby tylko on był przy mnie. Pytałam Łukasza, czy gdyby było już bardzo źle z nim - mógłby zabrać mnie ze sobą? Gdybym została tu bez niego, byłabym w podobnej sytuacji jak Mały Książę szukający na wielu planetach dla siebie sensu. Łukasz był moim sensem. Kiedy człowiek odnajduje sens poprzez

miłość, wtedy wszystko nabiera sensu. Wstający dzień, zmienność pór roku, zachmurzone, burzowe niebo i błękitne niebo letniego, pogodnego dnia. Wszystko to zdaje się mieć swój głęboki sens, uśmiech i ciepły gest, którym darzymy innego człowieka. Każda czynność i bezczynność nabiera znaczenia.

Chciałam być coraz piękniejsza i duchowo bogatsza dla Łukasza. Moja praca, chęć rozwoju i dawania innym tego, co otrzymałam; wszystko, czego pragnęłam i o czym marzyłam było związane z Łukaszem. Każdy wschód i zachód słońca. Każda chwila radosna i smutna była wypełniona częścią jego duszy, która była we mnie. Gdy długo nie widziałam Łukasza, bardzo za nim tęskniłam, po prostu moja dusza podążała za nim. Więc czułam pustkę i tęsknotę za nim i za swoją duszą.

Szybko minęło lato. Nadchodziła jesień pełna ciepłych barw i refleksji nad minionym pięknem lata. Zawsze jesienią ogarnia mnie lekka melancholia i chęć zadumy. Chciałabym zatrzymać się, zastanowić nad tym, co przeminęło, przemyśleć wiele spraw. Postanowiliśmy z Łukaszem wyjechać na kilka dni w góry. Byłam bardzo szczęśliwa. Być cały czas z nim, przyrosnąć do niego i nigdy się nie rozstawać, to było pragnieniem mojej duszy. Świadomość kilku dni przebywania z nim odrywała mnie od ziemi. Wreszcie nadeszła chwila wyjazdu. Jechaliśmy powoli podziwiając piękno złotych drzew. Błękitne niebo podsycalo i nadawało im ogniste barwy. To piękno zachwycało mnie. Byłam tak szczęśliwa, że brakowało mi słów na wypowiedzenie tego, co czuję. Całą sobą wyrażałam radość istnienia. Oczy błyszczały mi i wysyłały radosne iskierki, gdy patrzyłam na Łukasza. W tej chwili nie było przeszłości ani przyszłości, była tylko ta chwila. Nic nie było ważne, oprócz nas.

Pomyślałam, że sama nigdy nie byłabym w stanie zobaczyć tyle piękna, co przy Łukaszu. Poprzez niego widziałam piękny świat, lecz również poprzez niego kochałam innych i cały świat. Gdzieś przeczytałam takie zdanie, że sprawdzianem prawdziwości miłości jest otwarcie na świat i miłość do świata. Dokładnie tak to odczuwałam, moja miłość do Łukasza otwierała całą mnie na otaczającą rzeczywistość. Przy nim mogłam wybaczyć wszystko i zapomnieć o krzywdzie z przeszłości. Przy nim pragnęłam kochać i rozsiewać dobro. Wręcz czułam potrzebę dzielenia się tym, co dobre z innymi. Właśnie miłość do niego wyzwalała we mnie takie pragnienia.

Byłam szczęśliwa i chciałam, aby inni też byli szczęśliwi. Bolało mnie to, że jest tyle cierpienia na świecie i czułam w sobie energię do pomnazania dobra na Ziemi. Pragnęłam, aby wszyscy byli tak szczęśliwi, jak ja w tej chwili. W takich chwilach miałam wrażenie, że już nie jestem sobą, że Bóg

zamieszkał w moim sercu, że mam siłę i moc do pokonania wszelkiego zła na świecie. Miłość, którą odczuwałam przerastała mnie i zdolność mojego rozumienia. Siedziałam blisko Łukasza, trzymałam jego rękę i patrzyłam z czułością na niego. Wydawało mi się, że ta chwila będzie trwać wiecznie.

Miłość nadaje wieczny sens rzeczom niewiecznym. Może tak silnie odczuwane szczęście stawia nas poza czasem? Kiedy poprzez miłość czynimy coś dobrego dla drugiego człowieka, Królestwo Boże staje się udziałem tego świata. A może, przekraczając siebie samego poprzez miłość, człowiek ma szansę odczuć wieczność w świecie niewiecznym? Takie myśli snuły mi się po głowie i opowiadałam o nich Łukaszowi. Całą drogę rozmawialiśmy. Minęło już kilka godzin, a w naszych odczuciach były to minuty. Gdy byliśmy razem, zupełnie inaczej odczuwaliśmy bieg czasu. Łukasz żartował i mówił, żeby tak ludziom w więzieniu płynął czas, jak mnie przy tobie. Ja także przy nim czułam się oszukana przez czas, bałam się patrzeć na zegarek. Teraz, gdy wiedziałam, że mamy dla siebie kilka dni, nie odczuwałam tak dotkliwie tej presji odmierzanych godzin na zegarze. Teraz wszystko wstrzymało swój bieg.

Dojechaliśmy do miejsca, w którym mieliśmy się zatrzymać. Mały hotel pośród gór. Wokół roztaczał się piękny widok. Wszystkie barwy złota, czerwieni i brązu były widoczne na ścianach gór. W dole, w oddali płynął mały, górski strumyczek. Świat był taki przytulny, przyjazny i czarująco piękny. Zupełnie jak na obrazkach z dziecinnych bajek. Uroda tej krainy przypominała bardziej marzenia, niż rzeczywistość. Hotel był zadbane i funkcjonalny. Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Zawsze bardzo reagowałam na dotyk Łukasza. Gdy mnie dotykał, zapominałam o całym świecie. Potem poszliśmy coś zjeść. Byliśmy trochę zmęczeni i głodni. Po obiedzie poszliśmy zwiedzać okolicę. Długo spacerowaliśmy przytuleni do siebie. Zbliżał się zachód słońca. Ciemno-pomarańczowa kula zniżała się nad pasmem gór. Promienie słońca odbijały się od drzew, które teraz świeciły jak ogień. Cały świat był złotem, czerwienią i płonął jak wielki ogień. Mocno przytuliłam się do Łukasza i patrzyliśmy razem na ten cud. Teraz słońce miało barwę jaskrawej czerwieni. W tej chwili byłam pewna, że właśnie tak wygląda Raj. Byłam szczęśliwa zapominając, że wszystko ma swój kres. Byłam przekonana, że to, co jest teraz, jest wieczne. Myślę, że najmocniej odczuwam szczęście, kiedy przestaję mieć świadomość końca. Kiedy szczęśliwe czucie ogarnia mnie całą i unosi gdzieś w przestworza. Zapadał zmierzch, słońce już zaszło. Tajemnicza ciemność ogarniała ziemię. Barwy wygasły, ucichły odgłosy ptaków, cisza nocy otulała świat do snu. Poczułam senność i błogie zmęczenie. Powoli, mocno przytuleni do siebie, powracaliśmy do hotelu.

Zjedliśmy kolację i poszliśmy na górę do pokoju. Szybko usnęłam wtulona w ramiona Łukasza. Pomimo, że mocno spałam, cały czas miałam świadomość, że on jest przy mnie.

Rano obudziły mnie jego pieszczoty. Dopiero przy Łukaszu zrozumiałam czym jest rozkosz, pożądanie, pragnienie całkowitego zlania się z drugim człowiekiem. Jego pragnęłam nie tylko ciałem, ale całą swoją duszą. To pragnienie ciągle potęgowało się, im bardziej go poznawałam. Było jak ogień, który płonie nie spalając się. Kilka godzin rozkoszy minęło szybko. Późno poszliśmy na śniadanie. Byliśmy wypoczęci, głodni i pełni radości życia. Po śniadaniu wybraliśmy się na długą wycieczkę samochodem. Wszędzie były góry, pagórki, złote drzewa i strumienie górskie. Zatrzymaliśmy się przy strumieniu, który tworzył mały wodospad. Czysta, zimna woda spływała po kamieniach. Dalej rozciągał się iglasty las. Zostawiliśmy samochód i poszliśmy ścieżką w las. Z oddali słychać było szum spadającej wody, lekki wiatr szumiał w jesiennych liściach. Minęliśmy zagajnik złotych brzoź i weszliśmy w gęsty sosnowy las. Zapach wilgoci i igliwia unosił się w powietrzu. Zupełnie jakby była wiosna. Był ciepły i słoneczny dzień. Zawsze jesienią jest kilka takich ciepłych dni. Ma się wtedy wrażenie, że powróciło lato, jest tak ciepło. Teraz też powróciło do nas lato, aby ostatecznie pożegnać nas bogactwem barw i zadziwiającą swoją urodą. Rozkoszowaliśmy się tym pięknem, oddychając pełną piersią. Jak cudownie było czuć Łukasza blisko i widzieć tyle piękna wokół nas. Łukasz opowiadał mi o sobie, o swoim dzieciństwie, o kobietach, które spotykał. Niektóre historie były śmieszne i głośno się śmiałam. Czułam się jak dziecko, które na skutek spełnienia własnych pragnień, staje się bohaterem najpiękniejszej ze swoich ulubionych bajek. Czy to możliwe, aby rzeczywistość przerastała marzenia swoim pięknem? Myślałam, że to chyba sen. Zarzuciłam ręce na szyję Łukaszowi śmiejąc się serdecznie z jego opowiadań.

Po kilku godzinach spaceru byliśmy już trochę zmęczeni. Powracaliśmy tą samą drogą obok wodospadu. Z żalem żegnaliśmy ten piękny zakątek. Wróciliśmy do hotelu. Po zjedzeniu obiadu udaliśmy się do pokoju. Błogo znużeni odpoczywaliśmy wtuleni w siebie. W takich chwilach byłam przekonana, że pozostanę na zawsze szczęśliwa, że ta pełnia bogactw, które odczuwam teraz, nigdy nie przeminie. Takie chwile równoważyły wszystkie cierpienia z przeszłości i z przyszłości. Byłam przekonana, że po takich przeżyciach, całkiem odmieniona przywitam przyszłość, która już nie będzie dla mnie tym, czym byłaby bez tych wzbogacających przeżyć. Przekraczałam siebie samą w szczęśliwym spełnieniu miłosnym, a jednocześnie utwierdzałam się w swojej istocie.

Leopold Staff w jednym ze swoich wierszy napisał: „Szaleństwo jest w rozkoszy, lecz i mądrość w szale”. Przymykając powieki w błogim znużeniu zwierzałam Łukaszowi swoje myśli. Człowiek jest dla siebie samego tajemnicą. Kiedy rozkosz przeżywana jest całą duszą i ciałem, człowiek unosi się gdzieś w inny świat. Pomimo, że odpływałam daleko poza ten świat, to gdy powracałam, mój byt stawał się pełniejszy, niż przed tym przeżyciem. Próbowałam jakoś wyrazić to, co odczuwałam, ale nie potrafiłam. Nie da się zamknąć w ramach słów Tajemnicy Miłości. Wiedziałam tylko jedno, że całe życie nieświadomie przedzierałam się przez labirynt ciemności do tego, co teraz odnalazłam w Łukaszu i w sobie. Właśnie za tą Tajemnicą, której nadal nie pojmuję, tęskniła moja dusza, gdy patrzyłam na zachód słońca, piękny majowy księżyc w pełni, wstający, zimowy dzień w poświęcie różowej zorzy. W takich momentach czułam bolesne rwanie tęsknoty w moim sercu. Zastanawiałam się wówczas, jak można tęsknić za czymś, co może w ogóle nie istnieje? Mój rozum nie wiedział, ale moja dusza właściwie prze-czuwała i wiedziała za czym tęskni. Teraz też bardziej czułam niż rozumiałam, że odnalazłam to, czego szukałam i pragnęłam. Szczęśliwe spełnienie odrywało mnie od samej siebie. Przystawałam czuć własną odrębność i osamotnienie. Kiedy człowiek jest smutny, jest skoncentrowany na sobie. Bolesnie odczuwałam swoją inność w chwilach smutku i rozpacz. Szczęście jakie daje spełnienie miłosne, wyzwalało mnie z ograniczeń i z poczucia izolacji. Stawałam się częścią Wszechświata.

Łukasz kochał mnie tak prawdziwie, jak ja jego. Jego miłość odbierałam całą sobą. Nauczyłam się odbierać sercem, a nie rozumem. Już teraz nigdy nie dałabym zwieść się pozorom. Teraz widziałam w ludzkich twarzach, co naprawdę wyrażają i żadne maski nie mogły mnie zmylić. Większość ludzi maskuje się. Łałosne, jak wiele energii wkładają w to, aby ukryć przed innymi i przed sobą, kim są naprawdę. Jednak nie zdają sobie sprawy, jak ich ciało i oczy zdradzają prawdę o nich.

Przez te kilka razem spędzonych dni dzieliliśmy się swoimi refleksjami i pragnieniami. Przez cały czas syciłam się jego bliskością. Kiedy byliśmy sami, wtulałam się w niego całym ciałem. Będąc na świeżym powietrzu trzymaliśmy się za ręce, a gdy nikogo nie było, tuląc się do siebie szliśmy powoli rozkoszując się każdym krokiem. Te kilka dni minęło jak krótki sen. Miłość nie pozwala nasycić się sobą, tylko jeszcze bardziej roznieca żar i pragnienia. Zaczęłam pragnąć, abyśmy nigdy się nie rozstawali. Miałam odczucie jakbym powróciła z bajkowej planety na ziemię. Lecz nie były to już pełne lęków i bóleści powroty z mojego dzieciństwa i mojego małżeństwa.

Obecna rzeczywistość była taka, jaką sama tworzyłam. Moje mieszkanie było dla mnie azylem bezpieczeństwa. Bardzo dobrze się w nim czułam. Moja praca dawała mi szanse rozwoju. Uczylam się, jak pomagać innym. Pomagając innym, również sama nadal wzrastałam w swoim człowieczeństwie. Teraz nadszedł czas na dzielenie się tym, co otrzymałam. Mój wewnętrzny pokój i harmonia duszy udzielała się pacjentom. Profesor wiele rzeczy mi wskazywał i pomagał uświadomić sobie. Zaczęłam rozumieć, że już w tej chwili mam czym się dzielić z innymi. Nagromadziłam wiele bogactw. Miłość, którą dane było mi poznać, w szybkim tempie wspomagała mój rozwój. Radość i ból, który jej towarzyszył odmieniał moje postrzeganie świata. W ciągu kilku lat wyrosłam z małego, pragnącego miłości dziecka na dojrzałą, świadomą siebie istotę. Bardzo dużo uczyniłam w związku ze swoim rozwojem, ale widziałam jeszcze wyraźnie czego mi brakuje, jakie obszary są jeszcze nierozwinięte. Ale co najważniejsze, zachowałam to, co było tak ważne dla mnie: czystość duchową. Pomimo, że wiele dokonałam, nie odczuwałam pychy, ani wyższości nad innymi. Byłam pełna pokory i powagi, czasem smutku z powodu nie rozumienia mnie przez innych.

Kiedy pomagam innym ludziom, odnajduję siebie i sens. Nie wiem, jaką drogą dalej poprowadzi mnie Bóg, natomiast wiem, że każdemu napotkanemu człowiekowi będę starała się coś dać z siebie. Teraz uczę się dawać z rozważą, nie przekraczając granicy swoich możliwości.

Pewna młoda dziewczyna zwróciła się do mnie o pomoc, spotkałyśmy się przypadkowo na letniej wycieczce. Na imię ma Inga, jest ładną brunetką. Postanowiłam jej pomóc, choć nie wierzyłam w swoje możliwości. Poradziłam się profesora, co robić. Mój szef dodał mi odwagi mówiąc, że gdyby miał choćby małą wątpliwość, nie dopuściłby mnie do udzielania pomocy innym ludziom. Dlatego też postanowiłam spróbować. Poświęcałam jej swój prywatny czas. Spotykałyśmy się raz w tygodniu. Inga jest bardzo zdolna. Jestem przekonana, że kiedyś będzie dobrą poetką i pisarką. Jest bardzo wrażliwa i bogata wewnętrznie. Niestety, rodzice nie potrafili darzyć ją miłością. Inga wskutek tego bardzo cierpiała. Postanowiłam wypełnić jej tę lukę i stać się dla niej oparciem i drogowskazem. Ona zwróciła na mnie uwagę dzięki mojej wewnętrznej harmonii, która uwidaczniała się na zewnątrz. Inga długo mi się przyglądała, zanim zdecydowała się na rozmowę. Przypadek ułatwił jej ze mną kontakt. Starałam się jej pokazać świat Miłości i Prawdy.

Inga od początku ufała mi i otworzyła swoje serce. Dziwiło mnie to, że tak szybko. Gdy ją pytałam, odpowiadała, że czuje to intuicyjnie, że może mi ufać, że jej nie skrzywdzę. To cudowne uczucie, gdy ktoś odkrywa nam swój świat pełen bogactw. Bardzo wzruszało mnie jej zaufanie. Przywiązałam się

do niej i bardzo zależy mi na niej. Inga posiada bardzo bogate życie wewnętrzne i ma możliwość stania się w pełni człowiekiem. Teraz tylko od niej zależy, jaką drogą pójdzie. Już sporo zrobiła ku wolności duchowej, ale teraz zatrzymała się i musi przemyśleć, co dalej. Praca nad sobą, jest pracą twórczą, piękną i dającą wiele satysfakcji, ale jest pracą trudną. Wymaga wiele odwagi, samozaparcia i wiary w zwycięstwo. Mówiłam Indze bez lukrowania prawdę o trudzie wzrastania. Chciałam, aby była świadoma tego co wybierze.

Teraz, gdy miałam swój własny kąt, zresztą przyjemnie umeblowany, nie tylko ja bywałam u Łukasza, lecz i Łukasz przychodził do mnie. Te długo wyczekiwane godziny wspólnego przebywania z sobą miały jak kilka minut. Cały czas był wypełniony Prawdą i Miłością. Niecierpliwie opowiadaliśmy sobie wydarzenia ostatnich dni i odczucia im towarzyszące. Zawsze mówiliśmy sobie prawdę. Nawet, gdy bywała gorzka. Opowiedziałam mu swoją przeszłość, nawet takie rzeczy, których sama nie pamiętałam. Dopiero jego mądra miłość obudziła we mnie pamięć. Czułam to, że on akceptuje mnie całą z moimi zaletami i wadami. Bardziej obawiałam się swojej własnej krytyki i nie akceptacji, niż dokonanej przez niego. On zawsze wszystko rozumiał i niczego nie oceniał. Moja otwartość i szczerość wzbudzała u niego jeszcze większą miłość. Łukasz wie, że należę do niego całkowicie. W całej różnorodności i odrębności świata my tworzymy jedność woli i pragnień.

Minęły trzy lata. Łukasza już nie ma... Już trzy lata się leczę. Duchowo bardzo rozwinęłam się. Terapia pomagająca w uświadomieniu współzależnienia, jest terapią trudną i ogarniającą wszystkie nasze relacje. Za każdym razem od nowa zadaję sobie pytanie: „Na ile jeszcze uzależniam się od innych ludzi, rzeczy tego świata, od swoich iluzji?” Czy jestem teraz w stanie zobaczyć rzeczywistość, czy nadal przysyłają mi ją pragnienia, żądze i iluzje? Czy moja miłość do Łukasza i innych ludzi jest wolna od uzależnienia i chęci kontroli? Czy na tyle rozwinęłam skrzydła swojej duszy, że mogłabym bez żalu odlecieć z tego świata? Czy mój duch jest na tyle wolny od materii, abym zrozumiała, czym jest wolność? – Moim zdaniem podstawowym warunkiem zrodzenia się prawdziwej miłości jest wolność. Niewolnik nie potrafi kochać, myśli tylko o swojej niewoli. Zdaję sobie sprawę ze swoich braków, ale one już mnie nie unieszczęśliwiają.

Mam świadomość, że zdobyłam już dość wysoki pułap rozwoju duchowego, który dla innych na zawsze pozostanie niedostępny. Dziękuję Bogu w codziennej modlitwie, za danie mi możliwości rozwoju i poznanie swojej głębi. Teraz już powoli, bez pośpiechu pracuję nad tym, aby jaśniej widzieć

i więcej rozumieć. Dawniej cierpienie przygniatało mnie i przerażało swoją bezdennością. Wydawało mi się, że nie istnieje jego kres, że jeśli zobaczę to wszystko, to cierpienie może mnie przerosnąć i unicestwić. Cierpienie było większe ode mnie. Więc jak mogłam stawić mu czoła? Teraz również dostrzegałam wiele cierpienia wokół siebie i sama nadal cierpię. Cierpienie jest nieodłączną częścią życia. Ale teraz jestem silniejsza, niż cierpienie. Moja, głęboko tkwiąca we mnie istota ludzka, mój rdzeń człowieczeństwa jest mocniejszy niż cierpienia tego świata. Przedtem, gdy tak bardzo bałam się cierpień, nie byłam świadoma swojej siły i mocy ludzkiej, jaką dał mi Bóg. Bóg mówi do nas: nie lękaj się. Otrzymaliście ducha mocy, miłości i trzeźwego myślenia, a nie ducha bojaźni. Bardzo często powtarzałam sobie to zdanie w trudnych momentach, gdy zaczynałam nowe życie. W ciężkiej walce o przetrwanie zrozumiałam, że posiadam dużą moc. Każda pokonana przeszkoda umacniała we mnie wiarę w swoje siły, w zwycięstwo ducha nad materią i w zwycięstwo dobra nad złem. Dobro zawsze wcześniej czy później zwycięży. Bóg, którego ukazywała mi mama w dzieciństwie, czyli Bóg, który jest Miłością powrócił do mojego serca. Wiele rozterek i zwątpień przeszłam w swojej wierze w Boga. Poprzez wszystkie te ciernie doszłam do tej samej prawdy, już teraz utwierdzonej doświadczeniem, że Bóg jest Miłością. Wszystko, o co gorąco prosimy Boga - to otrzymujemy. Chyba, że jest to złe dla nas lub dla innych ludzi. Często zło przychodzi do nas pod przykrywką dobra. Bóg widzi to od razu, co my możemy zobaczyć dopiero po wielu doświadczeniach.

Przeczytałam gdzieś zdanie, że sprawdzianem prawdziwości wiary jest takie doświadczenie, w którym człowiek chce tego, czego Bóg nie chce. Cierpienie związane z chorobą Łukasza pozwoliło mi zobaczyć swoją wiarę i to jak jeszcze wiele brakuje mi, aby moja wiara stała się głęboka. W chwilach rozpaczki bałam się, że Bóg może zesłać na mnie cierpienie, które mnie przerośnie. Modliłam się słowami: „Niech się stanie wola Twoja” - i lękałam się tej woli. W takich chwilach gorycz przemawiała za mną. Buntowałam się przeciw cierpieniu, którego było tak dużo w moim życiu, że wystarczyłoby na obdarowanie całej gromady. Potem dopiero zaczynałam rozumieć, że Bóg zawsze daje mi tyle bólu, ile jestem w danym momencie w stanie znieść. Potem również zauważałam, że poprzez to cierpienie, które przeszłam, dojrzałam i stałam się bliższa Prawdzie. Chciałabym osiągnąć taką wiarę, aby nie lękać się cierpienia. Wiara człowieka jest na miarę człowieka. Również chciałabym dojrzeć do takiej wolności duchowej, aby być w tym świecie, lecz nie z tego świata. Chciałabym nie potrzebować ludzi, gdyż kochać ludzi - znaczy ich nie potrzebować. Aby wszystko to sobie uświado-

mić, potrzebne jest cierpienie. Takie cierpienie, które dociera do najgłębszych warstw naszego jestestwa. Niestety, bez cierpienia rozwój jest niemożliwy. Odnalazłam swoją duszę dzięki cierpieniu. Również wzrastam w swoim człowieczeństwie i szlachetnieję dzięki cierpieniu. Uczę się już jako dorosła osoba, godzić się i radzić sobie z cierpieniem. Pragnę również pomóc w tym innym ludziom. Myślę, że trzeba przejść wiele bólu, rozterek i buntu, aby pokój nastał w naszych sercach. Najdziwniejsze jest to, że pomimo takiej ilości zła, głupoty i cierpienia ten świat jest piękny.

Leopold Staff pisze po wielu doświadczeniach i przemyśleniach taką oto pochwałę życia w wierszu „Przedśpiew”:

*„Znam gorycz i zawody, wiem co ból i troska,
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia,
A jednak śpiewać będę wam Pochwałę Życia”
Dalej zaś w tym samym wierszu pisze:
„I uczę miłowania, radości w uśmiechu,
W łzach widzieć słodycz smutną, dobroć chorą w grzechu,
I pochwalam Tajń życia w pieśni i w milczeniu,
Pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu”.*

Posłowie

W pierwszy czwartek października rozpoczęły się, jak co roku, nasze zebrania naukowo-kliniczne w pracy. Był piękny jesienny dzień. Właśnie zakończyło się nasze spotkanie. Siedząc w blasku słońca i patrząc na drzewa ubarwione złotymi liśćmi, których złoto podsyczał intensywny błękit nieba, zamyśliłam się. Pomyślałam o tym jak dobrze, że jestem tutaj, że mogę tu pracować i wzrastać jako człowiek.

Bardzo podobało mi się to, co mówił mój Szef, znany Profesor, na zebraniu. Jego umiłowanie mądrości, prawdy i zapal do sensownego działania dla dobra innych udzielał mi się, dodawał wiary w człowieka i nadziei na przyszłość. Jestem taka szczęśliwa, że dane było mi go spotkać.

Dawniej wstydziłam się swoich rozterek duchowych, swoich poszukiwań sensu w każdym działaniu, swoich refleksji. Odczuwałam wyobcowanie wśród ludzi, których myśli zajmowało tylko to co namacalne, tylko to, co można wyrwać z życia. Moja codzienna potrzeba zadawania sobie egzystencjalnych pytań, jakoś ironicznie nie pasowała do takiej atmosfery. Jak również wzbudzałam śmiech swoimi rozterkami duchowymi. Natomiast mój Szef i Mistrz zarazem ukazał mi swoim życiem i swoją postawą, że wszystko to, co ludzkie można pogodzić w naszym codziennym bytowaniu. Troskę o chleb powszedni i troskę o strawę dla ducha. Przestałam czuć się inna i nie rozumiana. Teraz bez żadnego zahamowania stawiam sobie trudne pytania i dzielę się nimi z moim Szefem.

Jest zupełnie czym innym czytać o kimś, kto jest światły, mądry i ludzki, kto spełnia nasze sny człowiecze, a zupełnie czym innym jest mieć możliwość wzrastać przy nim, obserwować go, naśladować go i uczyć się od niego. Ja otrzymałam ten wymarzony dar losu i wdzięczność wypełnia moje serce.

Upłynęły trzy lata mojej pracy w Zakładzie i właśnie w ten piękny, jesienny dzień uzmysłowiłam sobie, jak wiele tu się nauczyłam, jak bardzo wzbogaciłam się wewnętrznie, jak wiele rozwinęło się we mnie nowych bogactw duchowych. Te przyjemne rozważania przerwał telefon. Telefonował do mnie pracownik mojego byłego męża. Na początku rozmowy nie mogłam nic zrozumieć, nawet nie wiedziałam kto mówi. Gdyż on mówił niejasno i szybko. Zresztą byłam tak pochłonięta myślami i całą sobą byłam w miejscu mojej codziennej pracy. Wreszcie zrozumiałam kto telefonował i o co mnie prosi. Ten pan prosił mnie, abym przyjechała do letniego domu mojego byłego męża, który był oddalony 100 km od Warszawy, ponieważ on leżał pijany. Zachciało mi się śmiać, ale z cierpliwością i serdecznością tłu-

maczyłam, że to już nie jest moja sprawa, że teraz zajmuję się swoim życiem, że los mojego męża przestał być moim losem, jak to było dawniej. Zapytałam, jak czuje się mama mojego męża. Wyraziłam chęć odwiedzenia ich, gdyby nie było tam mojego byłego męża. Powiedziałam, z jakim ciepłem i życzliwością wspominam jego, tego z którym rozmawiam, i mamę. On zaś powiedział, że nigdy mnie nie zapomni. Trochę zdziwiło mnie to wyznanie. Pomyślałam, jak wiele ciepłych słów otrzymuję od innych, które mnie zadziwiają i sprawiają radość.

Usiadłam, uśmiechając się do siebie po tej rozmowie. Czułam ulgę, radość z poczucia wolności i dumę z siebie. Dumę, że zdołałam przy tylu przeciwnościach całkowicie odmienić swoje życie. Westchnęłam, coś za szczęście czuć się wolnym człowiekiem! Już nie muszę zamartwiać się o swojego męża, o którym obecnie już prawie w ogóle nie myślę. Czasem, gdy mi się przypomni, modłę się o miłosierdzie dla niego. Jego życie pełne zgryzot i uwikłania w sprawy materialne nie jest już moim życiem, które teraz jest pełne treści i bogactw duchowych. Jakże innym człowiekiem stałam się w ciągu ostatnich kilku lat. Mogę sama rozstrzygać o swoim losie i planować działania na przyszłość. Gdy byłam z alkoholikiem, czyli swoim mężem, wszystkie moje pragnienia i plany na przyszłość odebrała mi choroba zwana współuzależnieniem i mąż, który wymagał całkowitego podporządkowania się jego potrzebom i celom. Nawet delikatne wspomnienie o sobie i swoich, innych od jego, potrzebach, wyzwalalo w nim furię. Wtedy całą swoją złość i nienawiść do siebie i do świata wyładowywał na mnie. Doszło do tego, że czułam się ciągle winna; winna za swoje potrzeby i marzenia, winna, że w ogóle taka się urodziłam. A teraz oto mogę pragnąć, marzyć, układać swoje życie według własnych potrzeb i zdolności. Nikt nie może mnie ograniczać i zatruwać mi życia swoją goryczą, nienawiścią i nieumiejętnością życia. Mogę w wolności serca uczyć się żyć na własny rachunek.

Zrozumiałam, że wszystkie skarby ludzkie tylko w wolności ducha mam szansę odkryć. Tyle skarbów bezcennych już okryłam w sobie jak: samoświadomość; umiłowanie wolności; miłość do siebie, ludzi, świata; wiarę w Boga i Prawdę, która jest głęboko w nas ukryta, jedyna i niepowtarzalna dla każdego człowieka; Prawdę, której nigdzie nie sposób poza sobą odnaleźć.

Właśnie ta Prawdą, która jest ukryta na dnie ludzkiego serca, staje się drogowskazem na każdy dzień. Świeci jak gwiazda betlejemaska i ukazuje drogę każdemu, kto ją w sobie odkryje.

Echo czytelników

Joanna Tomaszewska lat 27 lekarka. Koleżanka z zakładu pracy.

„Z trudem mogę uwierzyć, że osoba odznaczająca się tak widoczną harmonią wewnętrzną mogła przechodzić tyle cierpień i strasznych sytuacji w swoim życiu. Wstrząsające są opisy śmierci mamy w dzieciństwie. Trudny do zrozumienia jest dla mnie koszmar małżeństwa z alkoholikiem. Więcej napisałabym o terapii. Wydarzenia w książce świadczą o wielkiej odwadze autorki. Wzbudza szacunek desperacki krok odejścia od męża donikąd. Zupewnie inaczej (choć również z trudem) wyglądałoby odejście od męża do kochających rodziców. Wszystko to dowodzi wielkiej determinacji i odwagi duchowej. Patrząc na Panią trudno sobie wyobrazić, że tyle mogła Pani przejść. Książkę czyta się z zainteresowaniem. Wzbudziła we mnie duży żal historia z Łukaszem. Po tylu cierpieniach oczekiwałam wreszcie szczęśliwych wydarzeń.”

Anna Kwaśniewska-Bieniak lat 29, psycholog. Koleżanka z zakładu pracy.

„Proszę przyjąć moje uznanie. Bardzo dobrze, że napisała Pani tę książkę. Wydaje mi się to niesamowite, że mogła Pani przejść taki koszmar. Dom Opieki Społecznej – po prostu wstrząsa człowiekiem. Myślę, że książka może dać nadzieję podobnie uwikłanym kobietom. Czyta się ją z zaciekawieniem i uczuciowym zaangażowaniem.”

Ewa Blacho lat 52. Koleżanka z zakładu pracy.

„Najprawdziwsza prawda. Książka wzrusza swoją autentycznością. Czyta się ją jednym tchem. Niesamowicie ciekawa, poruszająca. Pięknie napisała. Przeczytałam całą do późnej nocy.”

Wiesia lat 55, psycholog. Koleżanka z grupy Al-Anon. Ucałowała mnie dziękując za wzloty duchowe, które opisałam w książce.

„Książka jest pełna nadziei i duchowości”.

Bożena lat 40. Koleżanka z grupy Al-Anon. Po przeczytaniu książki jej stosunek do mnie wyraźnie się zmienił. Stała się bardziej otwarta, ciepła, blisko mnie siada. Widać, że czuje się przy mnie bezpiecznie.

„Stałaś mi się bliższa po przeczytaniu tej książki. Czyta się ją jednym tchem. Nie można po prostu oderwać się od niej. Wzruszało mnie podo-

bieństwo przeżyć i uwikłań rodzinnych. Książka ta odrywała mnie od codziennych problemów. Jest pełna nadziei”.

Profesor Teresa Zielińska lat 64, Moja matka chrzestna, która uprzednio okazała mi dużo serca i pomocy w najtrudniejszych chwilach mojego życia.

„Ciekawie czyta się tę książkę. Ładnym, bogatym językiem jest napisana. Gładka w czytaniu. Najbardziej wstrząsające są opisy dzieciństwa po śmierci mamy. Nigdy nie sądziłam, że w wieku dziecięcym można mieć tak głębokie przeżycia. Teraz inaczej spostrzegam dzieci”.

Ewa lat 57. Koleżanka z grupy Al-Anon.

„Książka bardzo mi się podobała. Stałaś mi się bliższa. Dwie noce płakałam nad twoim losem i swoim również. Bardzo trafnie ukazuje ona przebieg współuzależnienia. Gratuluję ci odwagi.”

Magda lat 55. Koleżanka z grupy Al-Anon. Jest w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Dojrzuje do podjęcia decyzji odejścia od męża, lecz paraliżuje ją strach. Jej mąż i syn czynnie piją. Wszyscy mieszkają razem. Przed rozpoczęciem zajęć grupowych uściślała mnie i poprosiła o przytulenie. Bardzo wzruszyła mnie jej spontaniczna reakcja. Współczuję jej bardzo. Tak niedawno ja podobnie cierpiałam. Doskonale rozumiem jej ból, zagubienie i lęk przed normalnym życiem, którego nie zna, gdyż nigdy go nie zaznała. Magda spisała sobie dużo fragmentów z mojej książki. Z płaczem mówiła:

„Dziękuję ci za to, że jesteś i za to, że napisałaś tę książkę. Ujrzałam siebie w twoich losach. Byłam bardzo poruszona. Jestem ci bardzo wdzięczna za możliwość przeczytania twojej książki.”

Basia lat 42. Koleżanka z grupy Al-Anon. Z blaskiem w oczach powiedziała, że przeczytała moją książkę i pożyczyła ją kilku znajomym. Po zajęciach grupowych uściśniła mnie dziękując za napisanie książki. Basia jest pełna szacunku wobec mojej odwagi. Uważa, że to wielka odwaga napisać tak autentyczną książkę o sobie i dzielić się tym co najdroższe i najintymniejsze w człowieku z innymi ludźmi. Basia patrzyła na mnie z ciepłem w oczach i z wdzięcznością. Spełniły się moje marzenia, że ktoś, czytając to co napisałam, będzie się wzruszać, odczuwać ze mną bliskość doli ludzkiej, współodczuwać. Basia powiedziała, że kilka razy płakała czytając moją książkę. Dla tej jednej osoby warto było pisać o swoim cierpieniu, o swojej nadziei, o sobie bez maski i fałszu. Ktoś, kto maskuje się i zważa na to, jak

widzą go inni, nigdy nie odczuje tego wszechogarniającego szczęścia. Szczęścia dzielenia się swoją prawdą z innym głęboko i prawdziwie czującym człowiekiem. Basia poprosiła mnie o dłuższą rozmowę na temat problemów poruszanych w książce.

„Cudowna, bardzo ciekawa książka. Czyta się ją jednym tchem! Poruszająca uczucia. Stałaś mi się bliska. Te piękne opisy przyrody, podobnie i ja odbieram świat. Te refleksje i pytania bez odpowiedzi – takie mi bliskie, autentyczne, piękne. Cała książka porusza swoją głębią i autentycznością. Książka wzbudza ogromną nadzieję.”

Krzysztof lat 50. Bliski znajomy. Jest człowiekiem, który żyje obok siebie. Czasami mam wrażenie, że jest duchowo martwy. Został w dzieciństwie odrzucony przez rodziców. Podarował mi piękne czerwone róże z podziękowaniem za napisanie książki.

„Całą noc nie mogłem spać po przeczytaniu tej książki. Jej autentyczność rozbroiła mnie. Podziwiam cię za odwagę. Książka jest bardzo ciekawa i nie można oderwać się od czytania. Bardzo wzrusza, tak bardzo, że wytrąca z równowagi na jakiś czas.”

Bogusia lat 32. Koleżanka z grupy Al-Anon, która także wiele przeszła w swoim życiu. Jest zachwycona książką.

„Bardzo wciąga i zaciekawia. Gdybyś pisała powieści, to byłyby bardzo poczytne. Po prostu nie sposób oderwać się od czytania. Książka wzbudza zainteresowanie wielu znajomych.”

Maria Bik-Matuszczyk lat 51, lekarka. Bardzo życzliwa ludziom.

„Napisałaś piękną książkę. Trudno wyobrazić sobie, że za tą uśmiechniętą buzią kryje się tyle cierpień i ciężkich przeżyć. Jestem już stara, ale wzruszyłam się. Piękna i wciągająca jest ta książka.”

Janusz Choroszuca lat 46. Dyrektor Kodak Polska.

„Książka poruszyła we mnie wiele myśli i odczuć, ale trudno mi o tym mówić. Bardzo mi się podobała Pani wewnętrzna, życiowa uczciwość. Książka wciągnęła mnie. Pod koniec czułem niedosyt, gdyż chciałbym czytać i czytać ją bez końca. Żadnej książki nie odkładałem z takim żalem, że już się skończyła.”

Wiera lat 48. Koleżanka z grupy Al-Anon. Kiedy przyszłam na kolejne spotkanie grupy Wiera powiedziała, że wszędzie mnie szukała, aby natych-

miast podzielić się ogromnym wrażeniem, jakie wywarła na niej moja książka. Podarowała mi piękne kolczyki ręcznej roboty wykonane ze srebra i bursztynu. Powiedziała, że jest to podarunek od serca dla mnie za wzruszenia jakich doznała.

„Trzy dni chodziłam wytrącona z równowagi. Płakałam bardzo. Książka jest piękna, wzruszająca, prawdziwa. Wiele odnalazłam tam z siebie. Zawiera ogromne pokłady mądrości. Dobrze, że ją napisałaś. Nigdy nie czytałam czegoś tak pięknego, choć wiele czytam. Wszystkie teoretyczne książki spadają przy twojej. Bardzo dużo da ona ludziom cierpiącym”.

Bożena lat 37. Koleżanka z grupy Al-Anon.

„Bardzo poruszyła mnie twoja książka. Całą noc nie mogłam spać. Czytałam ją z wielkim zainteresowaniem i wzruszeniem. Po prostu współodczuwałam twoje cierpienia i z zapartym tchem czekałam na rozwój akcji i zakończenie tych cierpień. Kilka dni byłam ogromnie poruszona emocjonalnie. Refleksje w niej zawarte zmuszały mnie do myślenia. Niesamowita książka! Dzieci pytały mnie, co za bestseller czytam, że tak nie mogę się oderwać ... Bardzo cieszę się, iż nareszcie przestałaś cierpieć.”

Jerzy X, lat około 50. Towarzysz wspólnych górskich wędrówek na wczasach.

„Jestem poruszony i zaskoczony tą książką. To aż nieprawdopodobne, że jedna osoba mogła przeżyć tyle cierpień. Myślę, że te przeciwności oszłifowały Ciebie, tak jak twardy kamień. Zapewne teraz nie ma sytuacji w których byś sobie nie poradziła.

Akcja książki wciąga jak kryminał i trzyma w napięciu czytelnika. Książka ta daje ogromną nadzieję i powinna być zażywana jak lek na receptę. Dla wielu ludzi może okazać się zbawienną.

Zawiera głębokie i trafne przemyślenia. Teraz aż mi trochę głupio, że moje rozmowy były powierzchowne i nie takie, jak bym teraz chciał aby były.

Jestem zaskoczony Twoim głębokim widzeniem świata.”

Marian Kowalski lat 55. Dyrektor w Polskiej Agencji Prasowej w Warszawie.

„Wyprowadziła Pani epokę swoją książką. Jest Pani polską Dianą. Jestem ogromnie wzruszony, wręcz wstrząśnięty Pani książką. Wiele odnalazłem tam ze swoich przeżyć. Dziękuję Pani za to, że opisała Pani swoje życie w

sposób tak wstrząsający. Pani książka jest opisem pasma cierpień w obronie godności ludzkiej, zawiera ona również wiele mądrych refleksji”.

Bogdan Hinek lat 52. Mgr inż. w Instytucie Elektrotechniki w Warszawie.

„Czyta się tę książkę jednym tchem. Napisana jest pięknym językiem i z wielką subtelnością. Budzi emocje wzruszenia i niedowierzania, że taki łańcuch cierpień można przejść i tak wyglądać jak Pani. Dziwne, że można przejść tyle bólu i być tak pogodnym człowiekiem, Pani przecież jest taka zawsze uśmiechnięta i ciepła.

W trakcie czytania z trudem odrywałem się, zauważyłem, że postać Pani opisana w książce jest tak autentyczna, prawdziwa i żywa, iż złapałem się na rozmowie z Panią po odłożeniu książki. Napisana jest tak autentycznie i szczerze, że niepodobna myśleć, że to nie może być prawdziwe, mimo tylu strasznych, budzących niedowierzanie, cierpień. Pani dusza w tych zwierzeniach jest równie piękna jak ciało. Napisałem dla Pani wiersz pod wpływem wzruszeń jakie dostarczyła mi ta książka.

Ksiądz Stefan Kornas, teolog, moralista. Doświadczony w niesieniu pomocy cierpiącym ludziom. Wieloletni konsultant Zakładu Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich CMKP w Warszawie.

„Piękną książkę Pani napisała i bardzo wartościową. Urzeka swoją autentycznością. Właśnie to, że jest oparta na prawdziwych przeżyciach jest jej ogromną wartością, która może dać wiele innym ludziom. Sam wiele z niej skorzystałem i na pewno pomoże mi to w rozmowach z ludźmi, którzy spowiadają się u mnie. Szczere Pani wyznania ukazują, jak łatwo można niesprawiedliwie ocenić człowieka krzywdząc go. Na okładce można zobaczyć młodą, uśmiechniętą kobietę. Któż by pomyślał, że tyle cierpienia i trudnych sytuacji mogła przejść ta uśmiechnięta kobieta. Książka ta ukazuje prawdę o człowieku, jego rozterkach, pragnieniach, zwątpieniach, poszukiwaniach sensu. Ukazuje wrażliwość i bogactwo kobiecej duszy i porusza do głębi. Zmusza do refleksji. Przecież tak łatwo oceniamy innych opierając się na pozorach, tak łatwo serwujemy wyroki. Szczerość z jaką książka jest napisana może wiele nauczyć ludzi. Już wielu ludziom poleciłem przeczytanie jej. Księża również powinni ją czytać. Dobrze, że Pani krytykuje to, co na krytykę zasługuje. Bez tego nie ma szans zmienić tego, co nieprawidłowe, na lepsze. Każdy kto ją przeczyta będzie zmuszony do szacunku i refleksji. Książka jest napisana z talentem. Czyta się ciekawie, wręcz wciąga jak narkotyki.”

Halina Romanowska-Łakomy, prof. dr hab., Kierownik Katedry Antropologii Filozoficznej i Aksjologii, Instytut Filozofii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. (wypowiedź skierowana do autorki).

„Rewelacja, zjawisko niepowtarzalne. Czyta się ją z zaciekawieniem, wzruszeniem i zachwytem. Wzruszyła mnie ogromnie. Pięknie opisana miłość matki i świat dzieciństwa. Atmosfera jaką tworzyła twoja mama przypomina XIX wiek. Napisana jest pięknym językiem, jakoś widzi się wszystko plastycznie. Wzrusza ogromnie swoim autentyzmem i pięknem. Miłość i przyjaźń opisana jest cudownie. Odejście Łukasza bez melodramatyczności, przejście genialne i subtelne. Cała książka ukazuje twoją wrażliwość i talent. Napisana jest poetycką prozą. Wiele odnalazłam tam siebie. Stałaś mi bliska i pragnęłam cię zobaczyć jak najprędzej. Książka ta ukazuje twoją delikatność, jak np. opisy męża i wybaczenie mu. Ukazuje również świat prawdy i miłości. Ja również podobnie spostrzegam świat. Refleksje tak trafne i głębokie, że można napisać z nich traktat naukowy. Genialne spostrzeżenia. Nie mogłam oderwać się od czytania, wciąga niesamowicie. Pożyczyłam ją innym do czytania.”

Autorka w 2001 roku



We własnym,
przytulnym
mieszkanu



Po zebraniu naukowym w gabinecie kierownika Zakładu



W gronie lekarzy seksuologów na Zamku Królewskim w Warszawie



Z profesorem Christiaanem Barnardem,
sławnym kardiochirurgiem z Kapsztadu



Na Międzynarodowym Sympozjum na Zamku Królewskim.
Siedzą od lewej: prof. Radzisław Sikorski z Lublina,
prof. Siegward-Horst Gunther z Niemiec i prof. Katsutaro Nagata z Japonii



W gronie odznaczonych Złotym Medalem Alberta Schweitzera



W trakcie przemówienia po dekoracji na Zamku Królewskim w Warszawie.
W tle stoi prof. Abdulatif Al-Bader z Kuwejtu

Recenzje

Prof. dr hab. med. Marek Jarosz. Kierownik Katedry i Kliniki Psychiatrii Akademii Medycznej w Łodzi. Z wykształcenia psycholog i psychiatra.

„Przeczytałem z uwagą Pani książkę i jestem pod jej wrażeniem. Zaimponowała mi Pani, i to z kilku względów. Już samo napisanie obszernej pracy i przedstawienie w sposób jasny złożonych zagadnień psychologicznych – wymaga talentu i bystrości umysłu oraz delikatności emocjonalnej. Potrafi Pani wnikać w stan psychiczny innych i pisać o własnych doznaniach, a to nie jest łatwe.

Przywiązuje Pani dużą wagę do miłości i przyjaźni i zarazem przedstawia Pani w sposób dramatyczny załamanie się tych wartości w swoim życiu i następnie – powolne próby wyzwolenia.

Wzruszająca jest i piękna część książki poświęcona prawdziwej przyjaźni i głębokiemu uczuciu. Zapewne jest dość dużo ludzi, którzy przeżyli i jedno i drugie, i rozpacz, zawód i miłość – ale Pani potrafiła przekazać to innym.

Pani książka może pomóc niejednej osobie i w tym jest istotna wartość tej książki – obok walorów psychologicznych i literackich. Zachęcam do pracy nad kolejnym – studium nad motywami ludzkiego działania.”

Prof. dr hab. filoz. Halina Romanowska-Łakomy. Kierownik Katedry Antropologii Filozoficznej i Aksjologii, Instytut Filozofii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

„Książka jest rodzajem studium przypadku z dziedziny psychologii rozwoju osobowego człowieka. Jest gatunkiem z pogranicza autobiografii i analizy jednego przypadku. Z powodzeniem można ją zakwalifikować do eseju naukowego sięgającego do jakościowych metod autobiograficznych.

Autorka poprzez treść swojej książki wzbogaca nurt psychologii holistycznej. Poprzez sposób przekazu natomiast wzbogaca współczesną metodę psychologii fenomenologicznej i analizy egzystencjalnej. W całości zaś jest przykładem doskonałego studium przypadku.

Mimo, że książka jest bardziej autobiografią niżeli rozprawą naukową, to reprezentuje przykład holistycznego sposobu przeżywania i doświadczania. Jest opisem subiektywnych przeżyć przedstawianych bez silnego ładunku emocjonalnego, w sposób obiektywny.

Autorka stosując – nieświadomie – metodę fenomenologicznego opisu własnych przeżyć zdecydowanie bardziej obiektywizuje je niżeli uczyniłaby to klasyczna metoda introspekcji. Pokazuje czytelnikowi poznaną i zarazem przeżytą przez siebie prawdę. Stosuje kluczowy punkt fenomenologicznych opisów przeżyć i doświadczeń wewnętrznych. Jej własne spostrzeżenia, jakie prezentuje są fenomenologicznym sposobem opisu wewnętrznego życia osoby uzależnionej od alkoholu.

Autorka zdaje sobie sprawę z tego, że prezentowany przez nią sposób opisu autoobserwacji powinien być jak najbardziej obiektywny. Sięgając do własnych przeżyć, które były dla niej bardzo dotkliwym doświadczeniem i prawdziwym cierpieniem oraz strasznym zawodem, wykorzystuje jako obiektywny, aczkolwiek wewnętrzny układ odniesienia. Czuwa nad tym, aby układ ten mógł stać się obiektywnym punktem odniesienia dla innych osób znajdujących się w podobnej sytuacji. Czyni to z dużą dozą świadomości. Stosuje tu następną podstawową zasadę badań fenomenologicznych.

Pierwotnym motywem napisania książki było prawdopodobnie dążenie do złagodzenia dramatycznego bólu. Był to cel autoterapeutyczny książki. W trakcie pisania autorka poczuła pewną odpowiedzialność za tych, którzy cierpią z tego samego powodu co ona, którzy doświadczają podobnego bólu i decyduje się pokazać im drogę wyjścia z cierpienia. Chce nauczyć ich odnajdywania w sobie siły i metody korzystania z niej. Książka stała się „podręcznikiem” psychoterapeutycznym dla innych.

W czasie opisu trudnego etapu swojego życia autorka przestaje partykularnie doznawać bólu i cierpienia. Jej prywatny ból staje się uniwersalnym bólem istnienia. Z tego punktu widzenia książka dotyka swoim zasięgiem traktatu filozoficznego i może być zakwalifikowana do filozoficznego eseju opisującego ból egzystencji ludzkiej.

Autorka dystansuje swój ból, przekracza go i transformuje. Pokazuje możliwość i drogę tej transformacji oraz konieczność konstruktywnego przekształcania bólu. Jej własne życie jest egzemplifikacją założeń polskiego psychiatry – twórcy teorii dezintegracji pozytywnej – Kazimierza Dąbrowskiego. Autorka, nieświadomie, stosuje opracowane i stosowane przez niego metody pracy nad rozwojem poprzez cierpienie. Zdaniem tego wybitnego uczonego i psychoterapeuty cierpienie może stać się królewską drogą do rozwoju w kierunku wyższego rozwoju. Życie autorki jest tego przykładem, a stosowany przez nią opis jest propozycją konkretnej pracy z sobą na drodze cierpienia, która może służyć innym.

Opisane w książce przeżycia, mimo ich dramatyczności i pewnej fabularnej oraz chronologicznej struktury, przedstawiane są – jak widzimy –

bardziej w sposób fenomenologiczny niżeli subiektywno-autobiograficzny. Z dużą dozą świadomości autorka czuwa nad tym, aby jej subiektywne cierpienie nie posiadało wyłącznie aspektu interesownej subiektywności.

Barbara Kosacka dokonując autoobserwacji zmierza do poznania obiektywnych aspektów swojego wnętrza. Próbuje zdysansować swoje cierpienie i dąży do poznania kim jest człowiek i jakie są jego możliwości. Stara się w sposób obiektywny opisać wewnętrzną stronę swoich najdramatyczniejszych przeżyć.

W bardzo stonowany sposób dotyka dramatycznych sytuacji z mężem – alkoholikiem, okazując mu współczucie, mimo stałego zagrożenia z jego strony. Nie biadoli nad rozczarowaniem, jakiego doznała ze strony swego ojca, siostry i jej męża, mimo, że zachowanie ich było nie tyle obojętne ile wyrafinowane. Nie rozdziera szat i nie lituje się nad sobą, kiedy opisuje śmierć ukochanego człowieka. Jedynie dyskretnie o tym wspomina, zachowując milczenie, poprzez które czci Jego pamięć.

W czasie fenomenologicznych autoobserwacji odkrywa, iż w każdym człowieku istnieje prawda wewnętrzna, przez co książka sięga do problematyki antropologii filozoficznej. Antropologiczny charakter książki ujawnia się w momentach, kiedy autorka poszerza świadomość w zakresie doświadczanych przez nią wyższych wartości. Pokazuje jak można, mimo cierpienia, realizować te wartości w swoim życiu i odnajdywać sens życia. Jest swoistym przykładem zastosowania terapii przez sens życia, której twórcą jest V. E. Frankl.

Ze względu na wielorakie i wielopłaszczyznowe znaczenie książki, terapeutyczne i poznawcze, a i również metodologiczne (uwzględnienie najważniejszych zasad badań fenomenologiczno-egzystencjalnych, jakim jest sięganie do wewnętrznego układu odniesienia z zachowaniem dystansu w autoobserwacji) należałoby wznowić jej nakład. Przekracza ona interesowny cel autorki i staje się już osiągnięciem poznawczym i jednocześnie terapeutycznym. Pokazuje jak można transformować swoje własne cierpienie. Wprowadza i zapoznaje z drogą duchowego rozwoju, mimo tego cierpienia, mimo zaistniałych sytuacji dramatycznych, rozczarowań, mimo uzależnienia.

Książka, w szczególny sposób, opisuje zjawisko „prawdy wewnętrznej”, którą ja sama zajmuję się i opracowuję w swoich stricte naukowych pracach. Stanowi ona egzemplifikację moich własnych założeń teoretycznych, powstałych w oparciu o badania i praktykę terapeutyczną.

Zdecydowanie popieram ponowne wydanie pozycji Pani Barbary Kosackiej.

Spis treści

Wstęp	5
Świat dzieciństwa	8
Utrata ukochanej Mamy	18
Wczesna młodość i poszukiwanie sensu	24
Początki małżeńskiej miłości i początki utraty zaufania	29
Moja prawdziwa przyjaciółka	38
Wspólne życie bez wspólnoty duchowej i rozwój uzależnienia	42
Alkoholizm męża i współuzależnienie	49
Początki mojej terapii	59
Dni powszednie małżeństwa z alkoholikiem	63
Odejście od męża	80
W Domu Pomocy Społecznej	88
Rozpoczęcie pracy zawodowej	100
Poznałam czym jest Miłość	105
Miłość uskrzydla, nadając sens	110
Moje pierwsze samodzielne mieszkanie	120
Trud rozwoju poprzez miłość i cierpienie	122
Posłowie	137
Echo czytelników	139
Recenzje	145

Od wydawcy

Barbara Kosacka jest młodą utalentowaną literatką. Posiada niezwykle intuicyjną zdolność wnikania w tajniki ludzkiej duszy. Jej sposób widzenia świata oparty jest na prawdzie, pięknie, dobru i miłości. Zrozumienie go wymaga nowego myślenia i odczuwania.

Utraciwszy w dzieciństwie matkę, niezwykle wrażliwa, nie znajdując zrozumienia ani oparcia w rodzinie, przeżyła koszmar cierpień, udręk i rozczarowań. Prawdopodobnie stąd wywodzi się Jej niezwykle uwrażliwienie na krzywdę i cierpienie ludzi oraz pragnienie niesienia im pomocy. Głęboko wierząca odrzuca jednak dogmaty, które dzielą religie i ludzi stając się przyczyną konfliktów.

W twórczości swej porusza problemy bliskie człowiekowi. Ukazuje różne oblicza cierpienia, osamotnienia, pustki wewnętrznej, płytkości więzi międzyludzkich, pozornych wartości oraz braku sensu. Akcentuje rozwój ku człowieczeństwu stwarzając nadzieję oraz nadając transcendentny wymiar miłości.

Jej pisarstwo jest nie tylko ciekawe i mądre oraz czytane "jednym tchem", lecz także budzące refleksje, które stają się formą "katharsis" wskazującą drogę rozwoju w kierunku człowieczeństwa. Jej piękne opisy przyrody i porównania budzą zachwyt, podziw i wzruszenie. Pisarstwo to odbiera się nie tylko intelektem, lecz i sercem.

Zadebiutowała książką autobiograficzną pt. "Poszukiwanie własnej duszy", która została entuzjastycznie przyjęta przez recenzentów i czytelników. Potem jeszcze wydano Jej książkę pt. "Kontemplacja istnienia", która jest zbiorem luźnych odczuć i analiz, których oryginalność i głębia pobudza do refleksji nad sensem życia i rozwojem ku człowieczeństwu, oraz powieść pt. "Spełnienie" która toruje drogę nowemu myśleniu i wzorcom współżycia międzyludzkiego opartego na miłości.

Niniejsza książka pt. "Poszukiwanie własnej duszy" stanowi niezwykle wnikliwą kazuistykę współzależnienia opisaną z naukową precyzją a zarazem talentem popularyzatorskim.